

MAGAZYN STARYCH POWĄZEK

DeNews

2/2026(3)

SYBIR – tam, gdzie mróz nie zgasił pamięci

To opowieść o rodzinie wyrwanej z domu na Wileńszczyźnie i zesłanej w głąb sowieckiej Syberii, gdzie mróz, głód i łagier miały złamać człowieka. Nie złamały jednak pamięci, wiary, języka polskiego i matczynej miłości, która ocaliła dzieciom życie oraz tożsamość.

Gdy piękno świeci

To duchowe serce stolicy, w którym piękno sztuki, dramat dziejów i codzienna troska o zmarłych spletają się w opowieść większą niż zwykły spacer po cmentarzu.

Warto wejść w tę opowieść, bo Stare Powązki przypominają, że Warszawa żyje nie tylko dzisiejszym rytmem, lecz także pamięcią, wdzięcznością i modlitwą za tych, którzy byli przed nami.

DUSZA WARSZAWY

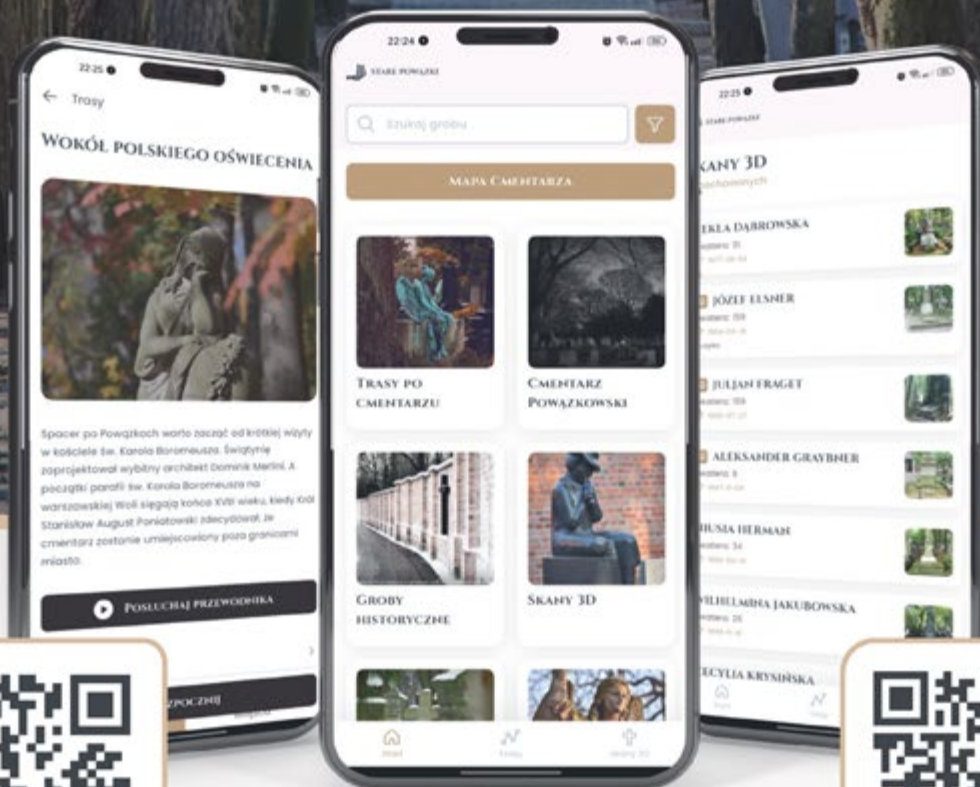
WWW.STARE-POWAZKI.PL



FUNDACJA
STARE POWĄZKI

APLIKACJA MOBILNA STARE POWĄZKI

Ponad 230 lat tradycji



POBIERZ Z
App Store

OFICJALNA APLIKACJA
CMENTARZA

Zeskanuj kod QR
i pobierz aplikację



POBIERZ Z
Google Play

PARTNERZY PROJEKTU



Fundacja

fundacja arp

ul. Powązkowska 14, 01-797 Warszawa

✉ fundacja@stare-powazki.pl

KRS: 0000886931 | NIP: 5272951999

🖱 fundacja.stare-powazki.pl



Ks. Laskowski Jacek

Oddajemy w Państwa ręce nowy numer „DeNews”.

Tym razem zapraszamy do zatrzymania się przy prawdzie Uroczystości Wszystkich Świętych – dnia, który na Starych Powązkach wybrzmiewa szczególnie głęboko. Są takie miejsca, gdzie historia nie potrzebuje wielkich słów. Wystarczy cisza alei, światło zniczy, kamień pomnika, nazwisko wyryte na płycie, ślad czyjegoś życia. Powązki są właśnie takim miejscem. Tu Warszawa mówi ciszej, ale pełniej. Tu pamięć staje się modlitwą, a modlitwa wdzięcznością.

Stare Powązki są duszą Warszawy. Nie ma drugiego takiego miejsca, w którym tak wyraźnie można zobaczyć dawną stolicę; miejsca, gdzie historia czyta się biografiami ludzi tu spoczywających, a pomniki opowiadają o sztuce, wierze, cierpieniu, nadziei i losach Polski. Każdy grób jest tu jak otwarta księga. Każda alejka prowadzi nie tylko przez cmentarz, ale także przez pamięć narodu.

Nie sposób opowiedzieć wszystkiego, co znajdują Państwo w tym numerze. Warto samemu przejrzeć go strona po stronie. Powoli. Bez pośpiechu. Czytając słowa, artykuły i opowiadania. Spoglądając na zdjęcia. Zatrzymując się nad tym, co poruszy serce, obudzi wdzięczność, przypomni czyjąś twarz, czyjeś życie, czyjąś zasługę. Czasem jedno zdanie potrafi zostać w człowieku na dłużej niż cały artykuł. Czasem jedna fotografia mówi więcej niż wiele słów.

Pozwólcie Państwo, że wspomnę tu o Siostrze Sebastianie – Dobrej Duszy Starych Powązek. Po szesnastu latach cichej, wiernej i serdecznej posługi powróciła do macierzystego domu zakonnego w Krakowie, na Prądniku Białym. W kilku kadrach wracamy do jej obecności, dobroci i pracy, która nie szukała rozgłosu, a przecież zostawiła ślad bardzo głęboki. Są ludzie, którzy przechodzą przez miejsca jak wiatr. I są tacy, którzy zostawiają po sobie ciepło. Siostra Sebastiana należy do tych drugich.

Warto także wsłuchać się w opowieść z Babki Tower – historię Sióstr Dominikanek i „małego kościoła” pośród wielkomiejskich mieszkańców. Warto zobaczyć, jak dr Franciszek Wielądek przypomina tych, którzy „zszywali Polskę torami”, łącząc przestrzeń, miasta i ludzkie losy. Warto również wejść w świat wielkich postaci polskiej literatury: Henryka Sienkiewicza i Bolesława Prusa. Przyjaciele czy rywale? To pytanie prowadzi nas ku ludziom, których pióro budowało wyobraźnię, sumienie i pamięć kolejnych pokoleń.

A cały numer spaja jedna myśl: Stare Powązki to Dusza Warszawy.

Myślisz: Stare Powązki – usłysz: Dusza Warszawy.

Zapraszamy do lektury nowego numeru „DeNews”!

Spis treści

Dusza Warszawy	5
Trzy myśli na uroczystość Wszystkich Świętych	9
Zapach tytoniu i Eucharystia: o pamięci, która ratuje	13
Wojna nigdy nie jest wielka	17
Myśli Papieskie	22
Lekarki na Powązkach	25
Myśli Pasterskie	28
Zapach, który niesie pamięć	32
Rozumność wiary i granice rozumu	36
Przykazania a wspólnota	38
Ciepło Kościoła	41
Dusza Warszawy	43
Dusza Warszawy – symbolika	44
Spotkanie z Piotrem	47
Humanistyczny aspekt astrologii Marsilia Ficina	48
Jak „kupić Rosję” i ocalić Polskę?	53
Gdy nikt nie widzi: tam rodzi się jedność	57
Betlejem Bożego Miłosierdzia w Płocku	61
I po wizytacji	63
Ewolucja miłości i więzi pomiędzy małżonkami kontra sakrament małżeństwa	66
Porwanie Europy	72
Gdy piękno świeci	74
Obowiązek wobec życia i śmierci	82
Pamięć i mózg	85

Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus. Przyjaciele czy rywale?	89
Cyfrowy wymiar pamięci	94
Dobry czas	97
Msze święte gregoriańskie	100
Poezja – słowo, które budzi	102
Piknik parafialny	104
Wejście do Starej Warszawy	106
Czy On mnie widzi?	112
Brama, której nie ma	116
Korzenie, które trzymają świat	123
Cytaty – Tomasz à Kempis, „O naśladowaniu Chrystusa”	125
SYBIR. Tam, gdzie mróz nie zgasił pamięci	126
Ostatnio przeczytane	128
Ojciec Benoit – człowiek posłany z radością	129
Zszywali Polskę torami	131
Babka Tower	135
Siostra Sebastiana	139
Powrót po latach milczenia	140

Tytuł DeNews – Magazyn Starych Powązek
Wydawca Parafia Rzymskokatolicka pw. Św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach
ul. Powązkowska 14, 01-797 Warszawa
e-mail: magazynedenews@gmail.com | stare-powazki.pl
Redakcja Redaktor naczelny: Ksiądz Kanonik Jacek Laskowski
Sekretarz redakcji: Karol Gądzik

ISSN dla wersji drukowanej: ISSN 3072-4090

ISSN dla wersji online: ISSN 3072-4104

Wszelkie prawa zastrzeżone



Zdjęcia i ujęcia
fot. Lera Ferlij





**Nie ma drugiego
miejsca w Warszawie,
gdzie historia byłaby
tak blisko życia**



Dusza Warszawy

**ks. Jacek Laskowski
fot. Lera Ferlij**

Są miejsca, które nie potrzebują słów, by mówić. Wystarczy tam wejść i pozwolić, by cisza zaczęła opowiadać. Stare Powązki należą do tych przestrzeni, w których historia nie leży w muzealnych gablotach, lecz oddycha pod każdym drzewem, pod każdą płytą, w każdym westchnieniu wiatru. To nie tylko cmentarz – to duchowy organizm miasta, jego pamięć i sumienie.

Założone w 1790 roku na darowanej ziemi, miały być miejscem praktycznym, oddalonym od centrum ze względów sanitarnych. Stały się jednak czymś o wiele większym – zwierciadłem Warszawy. Początkowo skromne, wiejskie niemal w charakterze, przez dziesięciolecia nabierały powagi i blasku, aż wrosły w tkankę narodowej tożsamości. Dziś, gdy mówi się o nich jako o najważniejszym cmentarzu w Polsce, nie chodzi o statystyki, lecz o pewien rodzaj duchowej hierarchii. Bo tu spoczywa nie tylko ponad milion osób – tu śpi pamięć o Polsce.

Powązki są jak księga bez tytułu, której nie sposób przeczytać od początku do końca. Wystarczy otworzyć ją w dowolnym miejscu – przy Rey-

moncie, Staffie, Jaraczu, Ordonównie – by usłyszeć głosy przeszłości. Każdy nagrobek jest tu zdaniem w większym tekście, a każda rzeźba – przypisem do ludzkiego losu. W tej różnorodności postaci, zawodów, epok i historii kryje się niezwykła harmonia: wspólnota ludzi, których połączyła śmierć, ale także miasto, które im zawdzięcza swoje trwanie.

Nie ma drugiego miejsca w Warszawie, gdzie historia byłaby tak blisko życia. W czasie okupacji

.....

To nie tylko cmentarz – to duchowy

organizm miasta, jego pamięć i sumienie.

.....

cmentarz stawał się kryjówką i arsenałem, w czasie powstań – świadkiem ofiary, po wojnie – miejscem odrodzenia. Kościół św. Karola Boromeusza, wzniesiony według projektu Dominika Merliniego, przetrwał zniszczenia i dziś znów jest sercem nekropolii. W jego cieniu odbywają się modlitwy, koncerty, zaduszki artystów – spotkania tych, którzy pamiętają, z tymi, o których pamięć trwa.





Każdego roku 1 listopada to miejsce zamienia się w morze światła. Tysiące płomieni drży w ciszy jak puls miasta, które przyszło odwiedzić swoją duszę. Ludzie stoją przy grobach, często nieznanym, i milczą – jakby przez moment wszyscy rozumieli, że śmierć nie kończy opowieści, lecz otwiera jej najprawdziwszy rozdział.

.....

Powązki są jak księga bez tytułu, której nie sposób przeczytać od początku do końca.

.....

Powązki nie są już tylko cmentarzem. Są wspólnotą, która obejmuje żywych i umarłych, przeszłość i teraźniejszość. Są lekcją, którą Warszawa odczytuje każdego dnia: że trwać znaczy pamiętać. Że kamień, jeśli nosi imię człowieka, nie jest martwy. Że nawet wśród ciszy można usłyszeć bicie serca miasta.

Bo jeśli Warszawa ma ciało zbudowane z ulic, placów i domów, to jej dusza mieszka tutaj – wśród nagrobków, w cieniu lip, w blasku zniczy, które nie gasną nawet w listopadowym deszczu.

Stare Powązki to dusza Warszawy.

Nie pomnik, nie muzeum, nie przeszłość.
Żywa pamięć, która trwa, póki trwa miasto.





fot. Lera Ferlij



Trzy myśli na uroczystość Wszystkich Świętych

ks. Jacek Laskowski

Stare Powązki to nie tylko cmentarz. To dusza Warszawy. Tu wciąż przemawia stolica. W uroczystość Wszystkich Świętych to miejsce przypomina nam, że świętość nie rodzi się z rozgłosu, lecz z cichości, miłosierdzia, wierności i modlitwy.

Trzy myśli na uroczystość Wszystkich Świętych

Siostro moja, Bracie,

są takie miejsca, które się tylko ogląda. I są takie miejsca, które się przeżywa. To miejsce się przeżywa.

Bo to nie jest tylko cmentarz. To nie jest tylko zbiór grobów. To nie jest tylko historia zapisana w kamieniu. To jest dusza Warszawy.

Dusza. A więc to, co najgłębsze. To, co niewidzialne. To, co trwa, nawet kiedy zmieniają się domy, ulice, pokolenia i czasy.

I właśnie tutaj, pośród grobów, pośród ciszy, pośród modlitwy, można zrozumieć, czym naprawdę jest miasto. Miasto nie jest tylko przestrzenią. Miasto jest pamięcią. Miasto jest wdzięcznością. Miasto jest sercem ludzi, którzy je tworzyli i kochali.

Myśl pierwsza: To miejsce jest duszą Warszawy, bo tutaj można zobaczyć stolicę, której już nie ma

Tutaj jest Warszawa dawnych lat. Warszawa, której już nie ma na mapie codzienności. Warszawa, której nie spotkamy już na ulicach. A jednak ona tutaj żyje.

Żyje w imionach. W nazwiskach. W datach. W pomnikach. W kaplicach. W ciszy.

Tutaj można odwiedzić tych, którzy budowali stolicę i Polskę. Na wszystkich płaszczyznach życia.

Jedni budowali mosty. Inni prowadzili kolej. Jeszcze inni tworzyli teatr, film, muzykę i sztukę. Byli tu ludzie nauki. Ludzie pracy. Ludzie odpowiedzialności. Ludzie sumienia. Ludzie ducha.

Tutaj człowiek widzi, że Warszawa nie została zbudowana tylko z cegieł. Ona została zbudowana z poświęcenia. Z talentu. Z odwagi. Z wiary. Z codziennej pracy.

I właśnie dlatego dzisiejsza Ewangelia tak mocno tu brzmi. Bo Jezus nie mówi, że błogosławieni są najpojętniejsi. Nie mówi, że błogosławieni są najbogatsi. Nie mówi, że błogosławieni są ci, o których najwięcej się mówi.

Jezus mówi: błogosławieni ubodzy w duchu, błogosławieni cisi, błogosławieni miłosierni, błogosławieni czystego serca, błogosławieni, którzy wprowadzają pokój.

A więc błogosławieni są ci, którzy niekoniecznie robią wokół siebie wielki szum, ale robią wielkie dobro.

I kiedy patrzymy na to miejsce, to widzimy nie tylko ludzi znanych. Widzimy także ludzi wiernych. A przecież właśnie z takich ludzi Bóg najczęściej buduje historię.

Świętość nie zawsze jest głośna. Czasem jest cicha. Jak modlitwa matki. Jak uczciwość ojca. Jak praca wykonywana bez rozgłosu. Jak życie oddane innym.

To miejsce przypomina nam, że wielkość człowieka zaczyna się w sercu. Nie na piedestale. Nie w świetle reflektorów. Ale w sumieniu.

Trzy myśli na uroczystość Wszystkich Świętych

Myśl druga: To miejsce jest duszą Warszawy, bo tutaj Warszawa przychodzi się modlić

Na ten cmentarz nie przychodzi się tylko po to, żeby zobaczyć historię. Tu przychodzi się także po to, żeby się modlić.

I w tym jest coś bardzo pięknego. Bo Warszawa przychodzi tutaj nie tylko jako stolica. Przychodzi jako córka. Jako syn. Jako wdowa. Jako ojciec. Jako człowiek tęskniący. Jako człowiek wierzący. Jako człowiek, który pamięta.

W listopadzie widać to szczególnie. Ale nie tylko wtedy. Także w codzienności. Także w zwykłe dni. W ciszy poranka. W szarym popołudniu. W chwili samotności. W chwili bólu. W chwili wdzięczności.

Tu przychodzą ci, którzy mają tu groby swoich bliskich. Ale przychodzą też ci, którzy nie mają tu nikogo z rodziny. A jednak czują, że trzeba tu być. Że trzeba się zatrzymać. Że trzeba pomodlić się za tych, którzy byli przed nami.

Bo to miejsce stało się sumieniem miasta. Miejszem, gdzie Warszawa przypomina sobie, że nie żyje tylko teraźniejszością. Że jest komu dziękować. Że jest za kogo się modlić. Że jest od kogo się uczyć.

Tutaj szczególnie rozumiemy słowa Jezusa: **błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni.**

Bo cmentarz jest miejscem łez. Ale dla człowieka wierzącego łzy nie są ostatnim słowem. Ostatnim słowem jest nadzieja.

Tutaj przynosimy Bogu nasze tęsknoty. Nasze wspomnienia. Nasze modlitwy za dusze zmarłych. Naszą wdzięczność. I naszą bezradność.

A Bóg mówi: „Nie bój się”. Twoja modlitwa nie ginie. Twoja miłość nie ginie. Człowiek nie kończy się w grobie.

Dlatego to miejsce jest duszą Warszawy. Bo dusza miasta modli się. Dusza miasta pamięta. Dusza miasta nie odcina się od swoich zmarłych. Ale niesie ich w sercu.

Myśl trzecia: To miejsce jest duszą Warszawy, bo wzywa nas, by dalej pisać jego historię

Moi drodzy, to miejsce nie jest tylko wspomnieniem przeszłości. To miejsce jest także zadaniem.

Bo tutaj nieustannie znajdują miejsce spoczynku także ludzie współcześni. Ci, którzy zasłużyli się dla Warszawy. Dla Polski. Dla Kościoła. Dla kultury. Dla życia publicznego. Dla ducha naszej Ojczyzny.

A to znaczy, że ten szczególny panteon wciąż się tworzy. Historia nie została zamknięta. Ona wciąż się dopisuje.

I teraz pytanie nie brzmi tylko: kto tutaj spoczywa? Pytanie brzmi także: jak my żyjemy?

Czy nasze życie będzie budowało? Czy będzie niszczyło? Czy będzie zostawiało po sobie pokój? Czy zamęt? Czy będzie zostawiało dobro? Czy tylko ślad egoizmu?

Trzy myśli na uroczystość Wszystkich Świętych

To jest bardzo konkretne pytanie uroczystości Wszystkich Świętych. Nie tylko podziwiać świętych. Ale iść ich drogą.

Nie tylko wspominać wielkich ludzi. Ale samemu próbować być człowiekiem błogosławieństw.

Bo może nie każdy z nas zbuduje most. Nie każdy stworzy wielkie dzieło sztuki. Nie każdy zapisze się w historii Warszawy wielkimi literami. Nie każdy będzie miał pomnik. I może to nawet dobrze, bo nie każdy pomnik świadczy o wielkim sercu.

Ale każdy może zostawić po sobie dobro. A dobro jest najpiękniejszą biografią człowieka. Każdy może być miłosierny. Każdy może być cichy. Każdy może być czystego serca. Każdy może wnosić pokój. Każdy może pragnąć sprawiedliwości. Każdy może żyć tak, by jego codzienność była małym błogosławieństwem dla innych.

I właśnie tak dalej buduje się ten panteon. Nie tylko przez nowe groby. Ale przez nowe piękne życiorysy.

Przez uczciwe życie. Przez wiarę. Przez służbę. Przez miłość do Ojczyzny. Przez odpowiedzialność za Warszawę. Przez troskę o Kościół. Przez serce otwarte dla drugiego człowieka.

Moi drodzy, to miejsce jest duszą Warszawy. Bo przechowuje pamięć o stolicy, której już nie ma. Bo przyjmuje modlitwę miasta, które tutaj wraca. Bo wzywa nas, byśmy dalej pisali jego historię.

Nie kamieniem. Nie brązem. Nie marmurem. Ale życiem.

A Jezus dziś przypomina nam, jakie to ma być życie. Nie pyszne. Nie hałaśliwe. Nie skupione na sobie. Ale błogosławione. Ciche. Miłosierne. Czyste. Sprawiedliwe. Pokorne. Wierne.

Niech więc ta uroczystość nie będzie tylko chwilą wzruszenia. Niech będzie pytaniem o nasze serce.

Czy ja żyję tak, by po mnie zostało dobro? Czy ja buduję duszę mojego miasta? Czy moje życie jest choć odrobinę podobne do błogosławieństw?

Bo najpiękniejszy pomnik człowiek zostawia nie na cmentarzu. Najpiękniejszy pomnik zostawia w sercach ludzi. A najtrwalszy zapis jego życia pozostaje w sercu Boga.



Zapach tytoniu i Eucharystia: o pamięci, która ratuje

ks. Jacek Laskowski

Wyszedłem z zakrystii chwilę po Mszy. Taki zwyczajny ruch: klucz w kieszeń, szalik poprawić, spojrzeć na ludzi, którzy już rozchodzą się do swoich spraw. A jednak w tej codzienności zawsze jest coś, co mnie zatrzymuje. Dziś zatrzymała mnie starsza pani. Nie dlatego, że mówiła głośno. Właśnie przeciwnie – mówiła cicho, jakby nie chciała obudzić wspomnień.

.....
„To czyńcie na Moją pamiątkę”

Łk 22,19

– Proszę księdza... ja już nie pamiętam twarzy mojego ojca. Pamiętam ręce. Takie spracowane. I zapach tytoniu. A twarzy... nie umiem.

.....
Znam tę nutę w głosie. To nie jest skarga na słabą pamięć. To jest lęk, że ktoś, kogo kochaliśmy, odchodzi po raz drugi – tym razem w zapomnienie.

I pomyślałem wtedy o zdaniu, które brzmi jak prosta prośba, a jest jak ratunek: „To czyńcie na Moją pamiątkę” (Łk 22,19). W Kościele słowo pamiątka nigdy nie znaczyło „ładnego wspomnienia”. To jest pamięć, która podnosi człowieka z krzesła i każe mu żyć inaczej.

Zapach tytoniu i Eucharystia: o pamięci, która ratuje

Pamięć nie jest archiwum – jest spotkaniem

Kiedy ludzie mówią: „Pamiętam”, rzadko mają na myśli daty. Pamiętają drobiazgi: śmiech w kuchni, szelest płaszcza, kubek z wyszczerbieniem, ślad po ołówku w kalendarzu, zdanie rzucone niby mimochodem. Pamięć to nie katalog faktów. To czyjaś obecność, która wraca – czasem nagle, bez zapowiedzi.

Po południu zajrzałem do kancelarii. Na parapecie leżała kartka, zostawiona przez kogoś w pośpiechu: imię, nazwisko, data pogrzebu i dopisek: „proszę powiedzieć coś o jego dobroci”. To był cały „życiorys”. Żadnych stanowisk, dyplomów, sukcesów. Dobroć.

I wtedy wróciło do mnie zdanie z Biblii, które czasem czyta się jak notatkę kronikarską, a ono przecież jest jak fotografia miłości: „A Jezus zapłakał” (J 11,35). To najkrótszy werset, ale mieści w sobie całą teologię pamięci: Bóg pamięta człowieka nie w tabelce, tylko w sercu. Łzy Jezusa podpowiadają, że pamięć nie jest zimnym wspomnieniem. Jest relacją, która boli, bo była prawdziwa.

.....

„Pytaj ojca, a opowie ci; starców, a oznajmią ci”

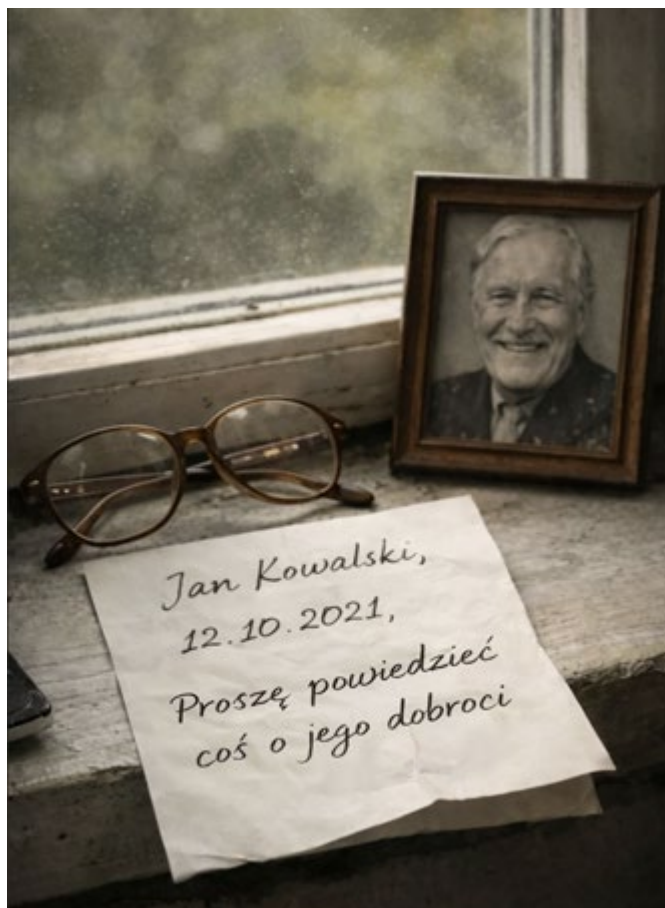
Pwt 32,7

.....

Zresztą każdy z nas ma w głowie swoich „świętych codzienności”. Nie wszyscy trafiają do encyklopedii, ale wielu trafiło do czyjegoś życia. Pamięć jest jak chleb: nie musi być wyszukany, by karmił. Wystarczy, że jest prawdziwy.

Zapominanie bywa raną – ale opowieść potrafi leczyć

Niektórym wydaje się, że zapominanie to tylko „naturalny proces”. A przecież bywa jak dziura w domu. Wchodzi w nią zimno. Człowiek zaczyna się bać, że wszystko, co kochał, rozsypie mu się w dłoniach.



Kilka dni temu spotkałem młodego mężczyznę. Wysoki, pewny siebie, ale gdy zaczął mówić o ojcu, głos mu się załamał, jakby w nim pękła cienka tafla lodu.

– Ja go nie zdążyłem poznać. U nas się nie rozmawiało. Teraz mam swoje dzieci i... nie wiem, co im opowiedzieć.

To jedno z najbardziej przejmujących zdań, jakie słyszę w duszpasterstwie: „Nie wiem, co opowiedzieć”. Bo brak opowieści to brak korzeni. A człowiek bez korzeni łapie się byle czego: opinii, mody, udawanego sukcesu. Jak roślina, której nie dali wody, tylko postawili obok zdjęcie deszczu.

Dlatego Pismo Święte tak często wraca do pamięci jako do obowiązku miłości. „Pytaj ojca, a opowie ci; starców, a oznajmią ci” (Pwt 32,7). To nie jest sentyment. To jest pedagogika życia. Jeśli starsi nie opowiedzą – młodszy będzie musiał wymyślić. A wymyślone korzenie zwykle nie trzymają, kiedy przychodzi burza.

Zapach tytoniu i Eucharystia: o pamięci, która ratuje

Opowieść leczy w jeszcze jeden sposób: pozwala zobaczyć, że nikt nie był „idealny”, a mimo to był kochany. W rodzinach często największą ulgę przynosi zdanie: „On miał swoje trudne strony, ale...” i dopiero po tym „ale” zaczyna się prawdziwe człowieczeństwo. Ewangelia wcale nie tuszuje pęknięć; ona je oświecla.

I tu wchodzi humor, taki cichy, trochę domowy: czasem mamy wrażenie, że pamięć rodzinna działa jak parafialny mikrofon – jedne rzeczy wzmacnia, inne ucina, a najczęściej i tak zapisz-
czą w najmniej odpowiednim momencie. A jednak nawet to „piszczenie” jest znakiem, że wciąż nam zależy.

.....
„Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem”

J 11,25
.....

Pamięć przekazywana dalej – to forma wiary w życie

Wieczorem wróciłem do tej starszej pani. Nie dosłownie – wróciłem do jej zdania o twarzy ojca. Pomyślałem, że dziś łatwo przechowujemy zdjęcia, ale trudniej przechowujemy sens. Mamy tysiące plików, a brakuje nam kilku zdań, które nadają życiu kierunek.

W kościele pamięć ma swoją bardzo konkretną formę: Eucharystię. „To czyńcie na Moją pamiątkę” (Łk 22,19) – czyli nie tylko „wspominajcie”, ale „czyńcie”. Pamięć Chrystusa jest pamięcią, która staje się czynem: pojednaniem, obecnością, troską o słabszego, cierpliwością wobec własnych ograniczeń.

I to jest chyba najpiękniejszy most między pamięcią rodzinną a wiarą. Bo jeśli pamiętam czyjaś dobroć, to nie po to, żeby się wzruszyć i zamknąć album. Pamiętam po to, żeby spróbować żyć podobnie. Pamięć staje się wtedy „dziedziczeniem światła”.

Dlatego, gdy ktoś przychodzi i mówi: „Proszę księdza, on był dobry”, to ja słyszę w tym echo jeszcze jednego biblijnego zdania: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem” (J 11,25). Pamięć w chrześcijaństwie nie kończy się na nostalgii. Ona prowadzi dalej: ku nadziei, że życie nie jest tylko tym, co możemy odtworzyć w głowie. Jest większe niż nasze wspomnienia.

Na koniec tamtego dnia zapisałem sobie w notesie jedno zdanie, trochę jak reporterską notatkę z terenu:

Ludzie nie boją się starości. Boją się, że nikt nie będzie o nich opowiadał.

A potem dopisałem drugie:

Może właśnie dlatego Bóg daje nam Kościół – żeby pamięć nie była samotna.





*„Pan Bóg widzi nas, grzeszników,
i myśli sobie: jaki piękny materiał
na świętego”*

*ks. Piotr Pawlukiewicz
Stare Powązki - kwatera 153*

Wojna nigdy nie jest wielka

ks. Jacek Laskowski

Powązki są duszą Warszawy: bo niosą pamięć tych, którzy oddali życie w różnych konfliktach zbrojnych na przestrzeni wieków, i przypominają z uporem kamienia, że wojna nigdy nie jest wielka.

Są słowa, które człowiek wypowiada dziś zbyt lekko. Jednym z nich jest słowo „wojna”.

Pada w wiadomościach. Pada w telewizyjnych studiach. Pada w komentarzach ekspertów, jakby była jednym z elementów codziennego krajobrazu. Jak deszcz. Jak korki. Jak kolejna informacja, którą można przesunąć palcem i po chwili zapomnieć.

A przecież wojna nigdy nie jest zwyczajna. Nigdy nie jest normalna. Nigdy nie jest tylko wydarzeniem politycznym. Wojna zawsze trafia w człowieka. Zawsze schodzi z map do domów. Zawsze przenika z gabinetów do kuchni, z komunikatów do ludzkiego serca.

Dziś wojna trwa na Bliskim Wschodzie i w Ukrainie. Ale mapa cierpienia nie kończy się na tych dwóch miejscach, które najłatwiej przebijają się do nagłówków. Sudan pozostaje jednym z największych kryzysów humanitarnych współczesnego świata. Mjanma nadal wyrzuca ludzi z domów. Wschodnie Kongo żyje pod ciężarem przemocy, która nie pyta o imię ani o wiek. Haiti pokazuje, że nie trzeba klasycznej wojny między państwami, by całe społeczeństwo żyło jak na froncie. Syria, Sudan Południowy i inne miejsca współczesnego świata przypominają, że obok konfliktów między narodami istnieją jeszcze wojny wewnętrzne – często może nawet okrutniejsze, bo toczące się przez sąsiedztwo, przez ulicę, przez rodzinę.

.....

Są słowa, które człowiek wypowiada dziś zbyt lekko. Jednym z nich jest słowo „wojna”

.....

Historia nie pisze się dziś tylko w podręcznikach. Pisze się teraz. Na żywo. Na oczach świata, który coraz częściej patrzy, a coraz rzadziej drży.

Wojna ma dwa języki. Pierwszy jest językiem wielkiej polityki. Mówi o interesach, granicach, bezpieczeństwie, odstraszeniu, odpowiedzi strategicznej, racjach i konieczności. To język map, sztabów, kamer, konferencji i analiz. Brzmi chłodno. Rzeczowo. Profesjonalnie. Tak, jakby wszystko dało się opisać z bezpiecznego dystansu. Jakby człowiek był jedynie elementem większego układu.

.....

Wojna zawsze trafia w człowieka

.....

Drugi język jest zupełnie inny. To język zwykłego życia. Mówi: wróć. Mówi: odbierz telefon. Mówi: dzieci pytają o ciebie. Mówi: czy jeszcze żyjesz?

Wielka polityka opowiada o racjach. Zwykły człowiek zna raczej cenę. I właśnie tutaj wojna odsłania swój najgłębszy bezsens. Bo to, co na górze nazywa się strategią, na dole staje się ruiną domu, pustym łóżkiem, strachem dziecka, kalectwem, wdowieństwem, ciszą po kimś, kto już nie wróci.

Na Bliskim Wschodzie obecna eskalacja przemocy znów uderza w cywilów i grozi dalszym rozlaniem się lęku na cały region. W Ukrainie wojna trwa już nie jako nagły wstrząs, lecz jako długie wyniszczenie miast, rodzin i pamięci. Sudan, Mjanma, Haiti czy wschodnie Kongo przypominają, że wojna nigdy nie zostaje tam, gdzie chcieliby ją zamknąć analitycy. Nie zatrzymuje się na linii frontu. Schodzi niżej – do piwnicy, do szpitala, do kuchni, do telefonu, który przestaje dzwonić, do dziecka, które uczy się odgłosu wybuchu szybciej niż alfabetu.

Wojna jest zawsze bardziej osobista, niż przyznają to polityczne komunikaty. Zawsze rozgrywa się ostatecznie nie na mapie, lecz w ludzkim wnętrzu.

Wojna nigdy nie jest wielka

Dlatego tak mocno przemawiają miejsca pamięci. A w Warszawie nie ma miejsca, które mówiłoby o tym mocniej niż Powązki.

Powązki są duszą Warszawy. Są nią dlatego, że przechowują pamięć. Niosą ją cierpliwie, warstwa po warstwie, pokolenie po pokoleniu. Przypominają tych, którzy oddali życie w różnych konfliktach zbrojnych na przestrzeni wieków. Powstańców. Żołnierzy pierwszej wojny światowej. Ofiary drugiej wojny światowej. Tych znanych i tych, których nazwiska pamięta już tylko kamień i Bóg.

Warszawa ma wiele symboli. Ale duszę ma właśnie tutaj – tam, gdzie pamięć nie jest dekoracją, lecz obowiązkiem. Powązki przypominają, że wolność kosztuje, że historia boli i że wojna nigdy nie jest opowieścią o chwale bez cienia. Jest opowieścią o cenie.

To właśnie dlatego Powązki uczą więcej niż jeden podręcznik i więcej niż niejeden polityczny komentarz. Uczą, że wojna nigdy nie jest naprawdą daleko. Nawet kiedy wydaje się, że dzieje się „gdzieś obok”, „na wschodzie”, „na innym kontynencie”, ona i tak w końcu przychodzi do czyjeś domu, do czyjejś rodziny, do czyjejś pamięci.

Na Powązkach leżą nie tylko ofiary dawnych konfliktów. Leżą tam także ci, których zabrała wojna współczesna. I nagle człowiek rozumie, że historia wcale się nie skończyła. Ona nadal dopisuje nazwiska. Nadal stawia krzyże. Nadal zostawia niedomknięte opowieści.

.....

Bo wojna nie zabija „zasobów ludzkich”.

Zabija ludzi

.....

Jednym z takich imion jest Daniel Szyber – Polak, żołnierz Międzynarodowego Legionu Obrony Terytorialnej Ukrainy, poległy 25 listopada 2022 roku w obwodzie ługańskim i pochowany na Starych Powązkach. Był człowiekiem niezwy-

kle sprawnym i wszechstronnym: ratownikiem medycznym, pletwonurkiem, spadochroniarzem, alpinistą, instruktorem strzelectwa, członkiem Fundacji Żołnierzy AK i Bractwa Kurkowego.

Łatwo widzieć w nim tylko odważnego żołnierza. Ale wojna nie zabiera przecież wyłącznie żołnierza. Zabiera syna. Zabiera brata. Zabiera człowieka, na którego ktoś czekał.

I właśnie dlatego jeden taki grób potrafi powiedzieć o bezsensie wojny więcej niż długie polityczne komentarze. Daniel nie jest tutaj osobnym tematem. Jest znakiem. Jednym imieniem spośród wielu. Jednym losem, który odsłania prawdę o tysiącach innych.

Najbardziej przejmujące bywają nie raporty, lecz świadectwa. Ojciec Daniela, Mirosław Szyber, mówił o nagraniu z dźwiękiem, o krzyku własnego dziecka, który zostanie z nim do końca życia. I w takim jednym wspomnieniu kończy się geopolityka, a zaczyna prawda.

Bo wojna nie zabija „zasobów ludzkich”. Zabija ludzi. Konkretnych. Jedynych. Niepowtarzalnych.



Dla świata bywają nazwiskiem na liście ofiar. Dla rodziny pozostają całym światem, którego już nie da się odzyskać. I właśnie tu odsłania się ostateczny bezsens wojny: że nawet jeśli mówi o wielkich sprawach, zawsze ostatecznie przechodzi przez ciało, serce i łyżę konkretnego człowieka.

W tym świecie, który coraz łatwiej usprawiedliwia przemoc, szczególnego znaczenia nabiera głos Stolicy Apostolskiej. Papież Leon XIV wielokrotnie apelował o pokój w Ukrainie, o zatrzymanie przemocy w Gazie, o uwolnienie zakładników, o poszanowanie prawa humanitarnego i o wybór dialogu zamiast spirali odwetu. W marcu 2026 roku modlił się, by przywódcy narodów mieli odwagę porzucić „projekty śmierci”, zatrzymać wyścig zbrojeń i wybrać drogę pokoju, rozbrojenia oraz troski o najbardziej bezbronnych.

To nie jest język słabości. To jest język sumienia. Świat, który mówi już głównie siłą, potrzebuje właśnie takich głosów – nie po to, by zagłuszyć prawdę o zagrożeniach, ale po to, by przypomnieć, że człowiek nie może być kosztem ubocznym żadnej strategii.

Ale Stolica Apostolska nie działa wyłącznie przez słowa. Jej siłą jest dyplomacja – cierpliwa, cicha, mało widowiskowa, a jednak nieraz skuteczna. Kardynał Pietro Parolin, sekretarz stanu i główny dyplomata Watykanu, ostrzegał ostatnio, że świat doświadcza niebezpiecznej erozji prawa międzynarodowego, w której „siła prawa” bywa zastępowana „prawem siły”. Krytykował również logikę wojny prewencyjnej, wskazując, że uznanie takiej zasady mogłoby doprowadzić do podpalenia całego świata.

To nie jest retoryka jednego dnia. To jest konsekwentna linia myślenia Stolicy Apostolskiej: prawdziwy pokój nie rodzi się z unicestwienia przeciwnika, ale z odbudowy prawa, zaufania i dialogu. Parolin mówił też wprost, że pokój sprawiedliwy i trwały nie może być owocem upokorzenia ani wzajemnego lęku, lecz poważnego dialogu.

Watykan podejmuje także bardzo konkretne działania. Utrzymuje kanały komunikacji tam, gdzie inni już nie rozmawiają. Korzysta z globalnej sieci nuncjuszy i relacji dyplomatycznych, by spotykać się z rządami, organizacjami międzynarodowymi, Kościołami lokalnymi i wspólnotami religijnymi. Oferował również gotowość udostępnienia neutralnej przestrzeni dla ewentualnych rozmów pokojowych dotyczących Ukrainy. Równocześnie stale zabiera głos na forum międzynarodowym w obronie prawa humanitarnego, ludności cywilnej i zakładników. To jest dyplomacja, która nie szuka błysku fleszy. Szuka dróg wyjścia z przemocy.

.....

To jest język sumienia

.....

Ktoś mógłby powiedzieć: piękne słowa, ale świat i tak rządzi się siłą. Historia odpowiada: nie tylko.

Stolica Apostolska już nieraz przyczyniała się do realnych pokojowych rozwiązań. Jednym z najważniejszych przykładów pozostaje jej rola w zażegnaniu konfliktu między Chile i Argentyną o Kanał Beagle. Papieska mediacja pomogła oddalić widmo wojny i doprowadziła ostatecznie do Traktatu Pokoju i Przyjaźni. Innym przykładem była rola Watykanu w przełamaniu wieloletniego impasu między Stanami Zjednoczonymi a Kubą.

To nie znaczy, że Watykan rozwiąże każdy konflikt. To znaczy coś innego: że dyplomacja oparta na zaufaniu, dyskrekcji i moralnym autorytecie nadal ma sens i nadal może wpływać na bieg historii.

W tym miejscu nie sposób nie wspomnieć także o św. Janie Pawle II. Jego pontyfikat był nie tylko duchowym przewodnictwem, ale także wielką szkołą pokojowej odwagi. To on wielokrotnie przypominał światu, że wojna nigdy nie jest rozwiązaniem, lecz zawsze porażką człowieka.

Wojna nigdy nie jest wielka

Jego głos miał znaczenie nie tylko religijne, ale także historyczne. Jan Paweł II przyczynił się do osłabienia i ostatecznego upadku komunizmu w Europie – nie przez rozlew krwi, ale przez przebudzenie sumień, obronę godności człowieka i odwagę mówienia prawdy. Pokazał, że można zmieniać historię nie czołgami, ale siłą ducha, słowa i moralnego autorytetu. To właśnie dlatego pozostaje jednym z najmocniejszych znaków, że sumienie bywa w dziejach silniejsze niż przemoc.

Największym zwycięstwem wojny nie jest zdobyte miasto ani przesunięty front. Największym zwycięstwem wojny jest chwila, w której człowiek przestaje się nią naprawdę przejmować. Gdy cudze cierpienie staje się tłem. Gdy śmierć zaczyna brzmieć jak statystyka. Gdy słowo „pokój” wydaje się zbyt miękkie dla twardego świata.

A przecież jest odwrotnie. Pokój nie jest naiwnością. Jest najtwardszym realizmem. Wymaga cierpliwości większej niż gniew, wyobraźni większej niż odwet i odwagi większej niż naciśnięcie przycisku.

Wojna zawsze trafia w człowieka. Nawet wtedy, gdy zaczyna się od traktatów, sojuszy i map. Na końcu zawsze siada przy czyimś stole, przy pustym krześle, przy niedojedzonej kolacji, przy telefonie, który już nie zadzwoni.

A Powązki, dusza Warszawy, przypominają o tym z cichą stanowczością. Niosą pamięć tych, którzy oddali życie. Przechowują nie tylko historię

.....

Wojna nigdy nie jest wielka

.....

miasta, ale także jego sumienie. Mówią, że wojna nie jest legendą ani romantycznym obrazem. Jest raną.

I jeśli Warszawa ma duszę, to właśnie dlatego, że pamięta. A kto pamięta naprawdę, ten nie może już mówić o wojnie lekko.

Dlatego trzeba to powtarzać, nawet jeśli świat woli już nie słyszeć: wojna nigdy nie jest wielka. Wielki bywa tylko ból po niej. I wielka bywa praca tych, którzy uparcie, cierpliwie, czasem pod prąd historii, budują pokój.

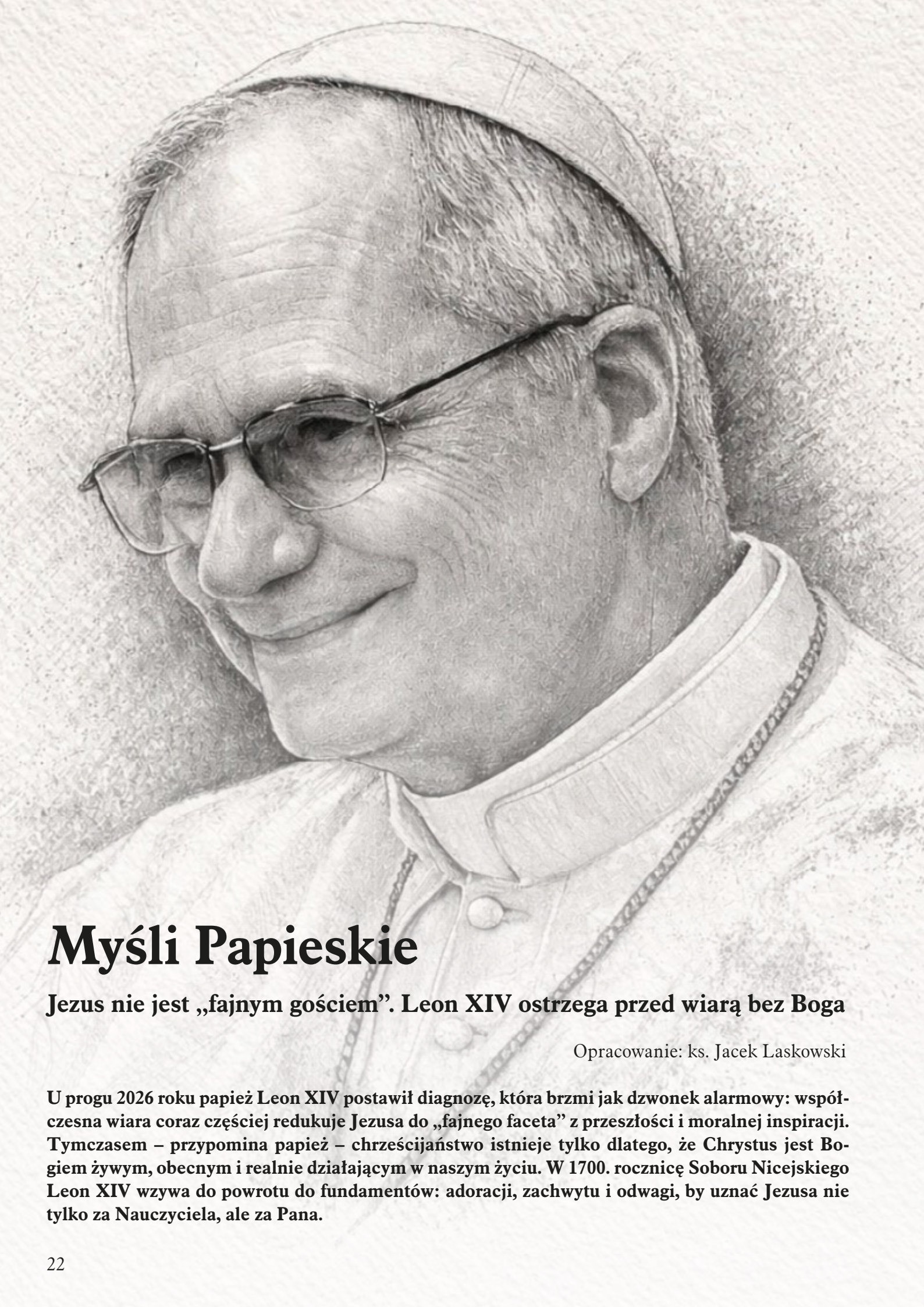
W tym sensie dyplomacja Stolicy Apostolskiej nie jest dodatkiem do świata. Jest przypomnieniem, że świat bez sumienia bardzo szybko staje się polem walki.

A człowiek bez pokoju przestaje być naprawdę człowiekiem.





fot. Lera Ferlij



Myśli Papieskie

Jezus nie jest „fajnym gościem”. Leon XIV ostrzega przed wiarą bez Boga

Opracowanie: ks. Jacek Laskowski

U progu 2026 roku papież Leon XIV postawił diagnozę, która brzmi jak dzwonek alarmowy: współczesna wiara coraz częściej redukuje Jezusa do „fajnego faceta” z przeszłości i moralnej inspiracji. Tymczasem – przypomina papież – chrześcijaństwo istnieje tylko dlatego, że Chrystus jest Bogiem żywym, obecnym i realnie działającym w naszym życiu. W 1700. rocznicę Soboru Nicejskiego Leon XIV wzywa do powrotu do fundamentów: adoracji, zachwyty i odwagi, by uznać Jezusa nie tylko za Nauczyciela, ale za Pana.

Jezus to nie tylko „fajny gość” z przeszłości. Papież Leon XIV ostrzega przed modną pułapką w wierze

Kiedy w maju 2025 roku Robert Prevost przyjął imię Leon XIV, wielu zastanawiało się, jaki będzie kierunek jego pontyfikatu. Dziś, u progu 2026 roku, odpowiedź jest jasna: Papież chce, abyśmy przestali „lukrować” postać Jezusa i zobaczyli w Nim kogoś więcej niż tylko postać z kart historii.

Leon XIV w swoich przemówieniach coraz częściej używa pojęcia, które brzmi skomplikowanie – „nowy arianizm”. Ale za tym trudnym słowem kryje się problem, który dotyczy każdego z nas, niezależnie od tego, jak blisko Kościoła jesteśmy.

Pułapka „autorytetu moralnego”

Wyobraźmy sobie Jezusa, o którym mówi dzisiejszy świat: to mądry nauczyciel, prekursor walki o prawa człowieka, postać inspirująca jak Gandhi czy Martin Luther King. Brzmi dobrze, prawda?

Papież Leon XIV mówi: „To za mało!”. Według niego największą chorobą dzisiejszej wiary jest robienie z Jezusa „fajnego faceta” sprzed 2000 lat, przy jednoczesnym zapominaniu, że jest On Bogiem. To właśnie jest ów „nowy arianizm” – podziwianie Jezusa jako człowieka, ale po cichu odrzucanie faktu, że ma On realną, Boską moc nad naszym życiem.

Dlaczego to ma znaczenie?

Można by zapytać: co za różnica, czy uznamy Go za Boga, czy tylko za genialnego filozofa? Leon XIV tłumaczy to w bardzo prosty sposób:

- Jeśli Jezus był tylko człowiekiem, to Jego nauki są tylko opinią, którą można przyjąć lub odrzucić.
- Jeśli był tylko człowiekiem, to śmierć na krzyżu była jedynie tragicznym końcem marzyciela, a nie ratunkiem dla nas.
- Jeśli nie jest Bogiem, to modlitwa do Niego jest tylko rozmową z samym sobą.





Papież zauważa, że współczesna kultura próbuje nas „uśpić”. Chce, byśmy postrzegali chrześcijaństwo jako zestaw ładnych zasad etycznych, a Kościół jako organizację charytatywną. Tymczasem Leon XIV przypomina: Kościół istnieje tylko dlatego, że Bóg naprawdę stał się człowiekiem.

Rok 2026: Powrót do fundamentów

Okazja do tych rozważań jest szczególna. W tym roku przypada 1700. rocznica słynnego Soboru w Nicei (z 325 r.), gdzie Kościół po raz pierwszy oficjalnie powiedział „stop” teorii, że Jezus jest „mniejszy” od Boga Ojca.

Leon XIV nie chce jednak świętować rocznic w bibliotekach. On rzuca nam wyzwanie:

1. Zatrzymaj się na chwilę: Czy wierzysz w Jezusa, który może zmienić Twoje życie, czy tylko w postać z obrazka?
2. Spójrz głębiej: Czy w drugim człowieku widzisz tylko potrzebującego, czy widzisz w nim Chrystusa?

3. Odkryj zachwyt: Papież zachęca do powrotu do adoracji – czyli po prostu bycia w ciszy z Bogiem, bez zbędnych słów.

Przesłanie na dziś

„Nowy arianizm” to dla Leona XIV wiara „letnia” i bezpieczna, która nikomu nie przeszkadza, ale też nikogo nie zbawia. Papież w 2026 roku stawia sprawę jasno: Jezus nie przyszedł na świat po to, byśmy czuli się „miło”. Przyszedł, by wyrzucić nasze życie do góry nogami i pokazać nam niebo.

Zamiast więc traktować Jezusa jak postać historyczną, Leon XIV zaprasza nas, byśmy zobaczyli w Nim kogoś, kto żyje tu i teraz. To nie jest kwestia teologii dla wybranych – to kwestia tego, czy wierzymy w Boga, który jest blisko nas.

Lekarki na Powązkach

Bożenna Ćwikła

MARIA LUTOSŁAWSKA, 1880–1967 – matka Witolda, słynnego na cały świat kompozytora.

Niezwykła matka, ale pozostająca nadal w cieniu.

Działaczka społeczna, tłumaczka i lekarka.

**Pochowana na Powązkach w Warszawie:
kwatery 118, rząd 4, miejsce 10**



Stare Powązki to cmentarz, można powiedzieć encyklopedia historycznych znanych i zasłużonych dla Warszawy i Polski postaci, ale też zwykłych, prostych ludzi. Groby zadbane, ale też zapomniane, groby tych, którzy żyli z wielkimi Polakami i niejako tworzyli ich wielkość, ale pamięć o nich ginie.

Szukając grobów pierwszych polskich lekarek spoczywających na Powązkach, przypadkiem znalazłam nazwisko Marii Lutosławskiej, która była jedną z nich. To właśnie Anna Tomaszewicz Dobrska, Bronisława Dłuska, siostra Marii Skłodowskiej-Curie, Teresa Ciszewiczowa, Teodora Krajewska, Justyna Budzińska-Tylicka, Zofia Sadowska, Eugenia Lewicka i wiele, wiele innych, które postaram się przedstawić w kolejnych artykułach, stworzyły początki polskiej kobiecej medycyny. Medycyny od podstaw i opieki medycznej nizin społecznych. Nauka higieny, walka z zacofaniem i przesądami, zdobywanie zaufania najuboższych, zwłaszcza kobiet, to był cel ich mozolnej, ale jakże pożądanej pracy.

Do nich należała także Maria Lutosławska z tej znanej rodziny Lutosławskich, związanej z dworkiem w Drozdowie koło Łomży.

Urodziła się i wychowała na Kresach w Kursku, gdzie o byciu lekarką marzyła od dziecka. Dzięki pomocy rodziców mogła ukończyć medycynę w Zurychu, bo niestety w Polsce nie było to jeszcze możliwe. Kobiety nie mogły studiować.

Na studiach poznała przyszłego męża, Józefa Lutosławskiego, także studenta działającego jak ona w Związku Młodzieży Studenckiej „Zet”.

Dyplom lekarski uzyskała w wieku 24 lat.



Po studiach wyjechali z mężem do Londynu i tam doktor Maria odbyła praktykę lekarską, tam także urodził się pierwszy syn Jerzy. Po powrocie do Polski mimo tak gruntownego wykształcenia i praktyki musiała zdać rosyjski egzamin państwowy. Mąż ziemianin zajął się prowadzeniem

Lekarki na Powązkach

majątku rodzinnego w Drozdowie, a ona otoczyła opieką medyczną lokalną społeczność. Założyła Koło Młodych Matek, udzielała bezpłatnych porad, sama sporządzała lekarstwa, korzystała z ziół. Miała własny konny ambulans, którym docierała do wszystkich potrzebujących medycznej pomocy.

.....

Szacunek za to, że w tak trudnych czasach potrafiła znaleźć swoją drogę i realizować młodzieńcze marzenia

.....

W tym czasie miała już dwoje dzieci – Jerzego i Anielkę, jedyną córeczkę, która niestety przedwcześnie zmarła. Była to dla niej wielka tragedia, bo mimo że była lekarką, poziom ówczesnej medycyny nie dawał szans na przeżycie dziecka.

Doktor Maria, nazywana ciepło przez rodzinę Myszka, miała jeszcze dwoje dzieci: Henryka i Witolda. Wszyscy trzej synowie zdobyli gruntowne wykształcenie i tak jak rodzice uczestniczyli czynnie w życiu publicznym. Drozdowo gościło wielu znanych Polaków, a wśród nich także Romana Dmowskiego. Losy Polski nie były im obojętne.

Podczas I wojny światowej doktor Maria pracowała jako lekarka w szpitalu polowym w Łomży. Zbliżający się front wojenny zdecydował jednak o wyjeździe do Moskwy. Tam także pracowała w szpitalu, była ordynatorem, a mąż wraz z bratem Marianem bardzo aktywnie działali na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości. Niestety ten pobyt dla Pani Doktor także okazał się wielkim ciosem. Bracia zostali aresztowani i mimo wysiłków rodziny zginęli w zbiorowej egzekucji.

Powróciła do Polski do Warszawy, gdzie ponownie pracowała w zawodzie w Szpitalu Ujazdowskim. Działała także społecznie jako radna miejska.

Znała angielski, niemiecki, rosyjski. Dodatkowo zajmowała się tłumaczeniami z języka angielskiego. W 1937 roku ukazały się „Mity greckie” w jej tłumaczeniu.

W domu państwa Lutosławskich rozbrzmiewała muzyka, na fortepianie grała także Pani Doktor. To właśnie ona zaszczepiła w najmłodszym z synów, Witoldzie, zamiłowanie do muzyki i wspierała w dalszej drodze jako kompozytora. To właśnie ona była jego pierwsza nauczycielką, dbała o jego muzyczne wykształcenie. Po tragicznej śmierci męża nie było łatwo wychować i wykształcić trzech synów, ale znalazła w sobie siłę.

Jerzy studiował na politechnice, Henryk ukończył SGGW, pracował w Anglii i finansowo wspierał studia Witolda.

Kolejna wojna – II wojna światowa – zastała ją w Drozdowie, ale czas okupacji spędziła w Warszawie. Witold brał udział w kampanii wrześniowej, przeżył niewolę niemiecką. Jerzy brał udział w obronie przeciwlotniczej i szczęśliwie wrócił do Warszawy. Niestety kolejna tragedia, bowiem Henryk ginie z wycieńczenia na Kołymie w obozie pracy. Po wojnie zamieszkała z rodziną Witolda i cieszyła się z jego sukcesów i sławy jako wielkiego kompozytora. To była, jak widzimy, bardzo dzielna kobieta, zarówno jako matka, żona, ale także zawodowo jako lekarka mimo życiowych ciężkich porażek.

Aktywnie żyła mimo problemów ze zdrowiem, a także problemów finansowych.

Szacunek za to, że w tak trudnych czasach potrafiła znaleźć swoją drogę i realizować młodzieńcze marzenia.

Zmarła w wieku 87 lat.

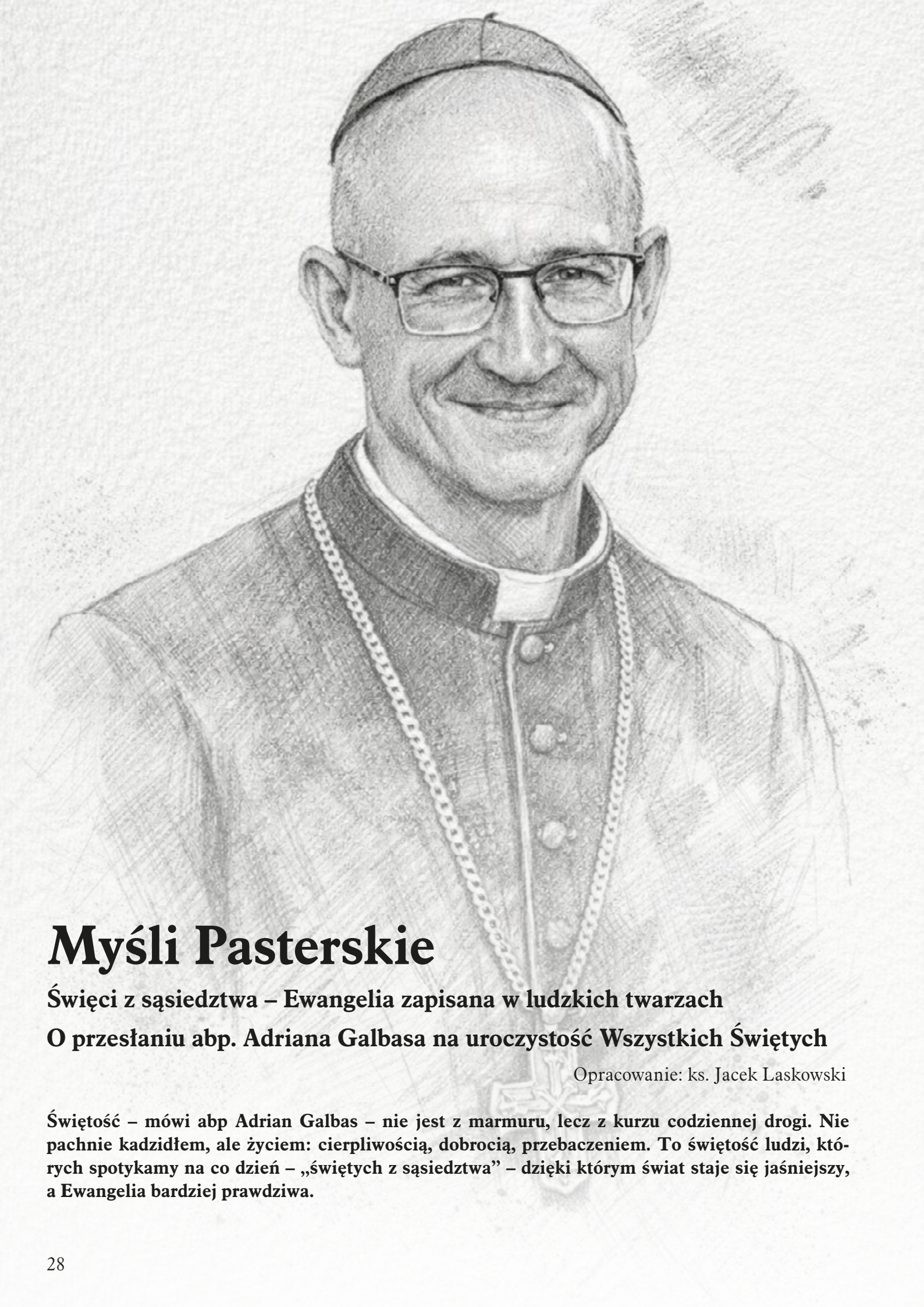
Jej grób jest prawie nieczytelny, ale można go znaleźć, więc zachęcam, aby poświęcić jej kilka chwil zadumy i zapalić znicz.

Bożenna Ćwikła – pediatra, specjalista psychiatra dzieci i młodzieży

Informacje o niezwyklej Doktor Marii uzyskałam dzięki książce wydanej w Drozdowie „Panie Lutosławskie” autorstwa Tomasza Szymańskiego.



fot. Lera Ferlij



Myśli Pasterskie

Święci z sąsiedztwa – Ewangelia zapisana w ludzkich twarzach

O przesłaniu abp. Adriana Galbasa na uroczystość Wszystkich Świętych

Opracowanie: ks. Jacek Laskowski

Świętość – mówi abp Adrian Galbas – nie jest z marmuru, lecz z kurzu codziennej drogi. Nie pachnie kadzidłem, ale życiem: cierpliwością, dobrocią, przebaczeniem. To świętość ludzi, których spotykamy na co dzień – „świętych z sąsiedztwa” – dzięki którym świat staje się jaśniejszy, a Ewangelia bardziej prawdziwa.

Święci z sąsiedztwa – Ewangelia zapisana w ludzkich twarzach

W czasach, gdy świętość bywa kojarzona z odległym ideałem, z niedościgłym wzorem z obrazka, abp Adrian Galbas przywraca jej puls ludzkiego serca. W uroczystość Wszystkich Świętych metropolita warszawski mówił o świętości, która ma twarz sąsiada, głos przyjaciela, ciepło dłoni współmałżonka. „Dziękujemy za świętych z sąsiedztwa” – powiedział, a te słowa zabrzmiały jak echo Ewangelii rozbrzmiewającej nie w chmurach, lecz pośród naszych domów, szkół, biur i rozmów przy kuchennym stole.

Arcybiskup przypominał, że z tymi, którzy odeszli, łączy nas coś większego niż pamięć – miłość. Nie nostalgia, nie wspomnienie, lecz siła, która przenika nawet śmierć. „Miłość potrafi przebić trumnę, urnę, kamień, a nawet samą śmierć” – mówił. To zdanie jest jednym z najgłębszych teologicznych wyznań, jakie można usłyszeć w dzień, w którym cmentarze milkną pod ciężarem zniczy. Miłość – nieustępliwa, cicha, wciąż obecna – jest mostem między światami. Dzięki niej ci, którzy odeszli, wciąż „są z nami”. Nie w sensie sentymentalnym, lecz w prawdziwym: ich dobro trwa, ich spojrzenia są zapisane w naszych gestach, ich słowa wciąż kierują nasze kroki.

.....

***Dziękujemy za świętych z sąsiedztw –
za tych, którzy swoim codziennym życiem
odbijali blask Ewangelii***

.....

Abp Galbas mówił o wdzięczności. O tym, by nie przeoczyć świętości, która wydarza się blisko. Bo święci to nie tylko ci kanonizowani przez Kościół, ale także ci, których codzienność była przejrzysta jak szkło – ludzie, którzy kochali bez rozgłosu. „Święci z sąsiedztwa” – to mąż, który czekał cierpliwie przy łóżku chorej żony. Żona, która przez lata znosiła trudności z łagodnością. Przyjaciel, który umiał słuchać. Nauczyciel, który nie tracił wiary w ucznia. Ludzie, w których życiu odbijała się Ewangelia – nie w słowach, lecz w sposobie bycia.

Odwołując się do papieskiej adhortacji *Gaudete et exsultate*, arcybiskup przypominał, że świętość to nie heroizm dla wybranych, lecz codzienna decyzja, by żyć w świetle Boga. To zgoda, by On był obecny w naszych reakcjach, planach i drobiazgach. „Nie musimy być Herkulesami” – mówił z prostotą. Wystarczy, że pozwolimy się prowadzić, nawet przez nasze błędy, słabości i pomyłki.

A potem przyszły słowa, które rozbrajają ludzkie kompleksy: Franciszek z Asyżu był leniwy, Teresa Wielka miała trudności z czystością, Ignacy Loyola był despota, a Karol Boromeusz – bałaganiarzem. A jednak każdy z nich pozwolił, by Bóg przemienił jego słabość w siłę. To obraz świętości, która nie boi się ludzkiej niedoskonałości. Świętości, która pachnie kurzem drogi, nie kadzidłem.



.....

***Miłość potrafi przebić trumnę, urnę,
kamień – potrafi przebić samą śmierć***

.....

Święci z sąsiedztwa – Ewangelia zapisana w ludzkich twarzach



Kazanie abp. Galbasa nie było więc tylko homilią – było duchową mapą. Pokazało, że świętość nie jest szczytem dla wybranych, ale drogą, którą każdy może przejść. Że w świecie, gdzie tyle jest hałasu, święci z sąsiedztwa są jak cicha melodia dobra, która nie przestaje grać nawet wtedy, gdy człowiek odejdzie.

.....

***Świętość nie powinna pachnieć kadzidłem,
lecz kurzem drogi, po której idzie
człowiek z Bogiem***

.....

To dlatego tego dnia, na cmentarzach, zapalaliśmy znicze nie tylko z żalu, ale z wdzięczności. Bo w świetle tych maleńkich płomieni przegląda się sama Ewangelia – ta, która żyje w ludziach, których spotkaliśmy, i w nas, jeśli tylko zechcemy iść ich śladem.

Metropolita warszawski zatrzymał się też nad relacjami. To, jak traktujemy ludzi, jest drogą do nieba. „Nie krzywdzić, przebaczać, rozumieć słabości innych” – mówił. Świętość nie polega na tym, by czynić rzeczy nadzwyczajne, lecz by codzienność czynić w sposób nadzwyczajny – z miłością, która nie liczy, nie mierzy, nie stawia warunków.

I wreszcie pytanie, które padło jak ciche wyzwanie: Czy chcę być podobny do Jezusa? Nie teoretycznie, nie pobożnie – lecz naprawdę. Czy w moich słowach, decyzjach, spojrzeniach widać choć cień Jego Ewangelii?

.....

***Świętość nie jest dla nielicznych, ale dla
tych, którzy pozwalają, by Bóg działał
w ich niedoskonałości***

.....





fot. Lera Ferlij

Zapach, który niesie pamięć

s. Monika Tomczak

Ten sam smak i zapach

W listopadzie w każdym domu Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Duszy Chrystusa Pana zarówno w Polsce, jak i na misjach – a jest ich łącznie 13 (Kraków-Prądnik Biały, Kraków-Skotniki, Siedlec, Zielonki, Tenczyn, Ślemień, Kamień Pomorski, Białogard, Gdańsk, Warszawa-Stare Powązki, dwa domy w Kamerunie i jeden na Florydzie) – piecze się tradycyjne ciasteczka zwane korzykami. Skąd taka tradycja? Aby uzyskać odpowiedź na to pytanie, trzeba się cofnąć o ponad 100 lat i duchem przenieść na tereny dzisiejszej Ukrainy.



Mroczna historia zakończona happy endem

Dokładnie 15 listopada 1920 r. Zofia Tajber i jej pierwsze towarzyszki: panna Jamska i panna Żurowska podjęły niezwykle odważną decyzję, by wyruszyć z Żytomierza do Polski. Wyruszyć w czas zawieruchy wojennej – a trwała wtedy, jak dobrze wiemy wojna polsko-bolszewicka – i zanieść nad Wisłę sprawę kultu Najświętszej Duszy Chrystusa Pana i dać początek nowej rodzinie zakonnej. Kobietom towarzyszyło błogosławieństwo ówczesnego ordynariusza diecezji łucko-żytomierskiej – biskupa Ignacego Dubowskiego.



Jednak mimo tego, było to niezwykle odważne przedsięwzięcie, wymagające ogromnego zdeterminowania i hartu ducha.



Dziecięce zaufanie

Zofia wraz z towarzyszkami wyruszyła z Żytomierza w nocy ze śpiewem pieśni „Pod Twą obronę, Ojciec na niebie” na ustach. W rękach miały kufry z ubraniami. To był ich cały ekwipunek. Miały niewiele. Jednak w ich sercu oprócz lęku znajdowała się wiara w Opatrzność Bożą i dziecięce zaufanie w ojcowskie prowadzenie Boga Ojca.



Małe cuda

Każdy dzień podróży przynosił nowe przygody i małe cuda (wspomnę tylko nocleg w karczmie i rosół zaserwowany przez Magdalенę, której wygląd przypominał czarownicę, oraz podróż z woźnicą obok posterunku bolszewików, podczas której koniom obwiązano kopyta szmatami i pobłogosławiono je batem, by nie parsknęły. Wtedy to Zofia podziwiała wielkość końskiego rozumu!). Jednak punktem zwrotnym w całej historii był dzień 18 listopada.

Bóg Ojciec patronem nowo tworzącego się Zgromadzenia

Wówczas to trójka wspomnianych wyżej kobiet trafiła do komendantury. Żołnierzy nie przekonywał argument niesienia sprawy Duszy Chrystusowej do Polski. Swoją drogą zapewne niewiele osób dałoby jemu wiarę podczas wojennej pożogi. Zofia z towarzyszkami usłyszała wprost słowa: „Takich ptaszków jak Wy, to mamy dosyć!”. Kobiety powinny zginąć, jednak na posterunku po-



jawił się mężczyzna (którego nazwiska, niestety, nie znamy). Był on pracownikiem w fabryce Rudolfa Tajbera – ojca Zofii. Rudolf przechowywał go na fabrycznym strychu, dając dach nad głową. Będąc na komendanturze do razu rozpoznał Zofię i zaświadczył, że zna i ją, i całą jej rodzinę. Niezmiernie cieszył się, że mógł ją uratować.

A Zofia? Zofia słyszała w duszy słowa: „Ten człowiek jest uratowany dla Was i dla sprawy”. Należy jeszcze nadmienić, że ów mężczyzna miał zginać, ale cudem udało mu się zbiec nago pomiędzy zlewami i zaroślami, podczas gdy drugiego nazwiskiem D’Ersewil rozstrzeliwano.

Panna Tajberówna usłyszała również zdanie: „I co? Dobrego macie Patrona?”. Wspomniane wyżej wydarzenia przyczyniły się do tego, że Bóg Ojciec został Najwyższym Patronem Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Duszy Chrystusa Pana. Siostry co roku 18 listopada obchodzą swoje zakonne święto ku czci Boga Ojca.



Skąd ciasteczka?

Kobiety na trudną i niebezpieczną drogę z Żytomierza do Polski do pani Jaworskiej otrzymały suche ciastka zwane korzykami. Stąd właśnie wzięła się tradycja, że Siostry Duszy Chrystusowej wypiekają je. Znamy już odpowiedź na pytanie, dlaczego w listopadzie we wszystkich domach naszego Zgromadzenia unosi się ten sam zapach.

Zapach, który niesie pamięć



Pozostało jeszcze pytanie, co wchodzi w skład wspomnianych ciasteczek. Otóż potrzebna jest mąka, smalec, mak, cukier puder, proszek do pieczenia, jogurt naturalny i szczypta soli.

W parafii św. Karola Boromeusza w Warszawie na Starych Powązkach 16 listopada 2025 r. wierni na wszystkich Mszach Świętych mogli wsłuchać się w historię przejścia przez granicę Zofii Tajber i jej pierwszych towarzyszek oraz dowiedzieć się, skąd wzięły się korzyki u Sióstr Duszy Chrystusowej. Chętni mogli kupić ciasteczka i w ten sposób wesprzeć wyjazd wakacyjny młodzieży z Duszpasterstwa „Karol”.

Bez pracy nie ma nie tylko kołaczy, ale i... korzyków

Młodzież po zakupie 22 kg mąki i innych potrzebnych składników 14 listopada w piątek po południu rozpoczęła wypiekanie ciasteczek. Prace kontynuowane były przez całą sobotę. Salka parafialna w te dni bardziej przypominała piekarnię. A to wszystko dzięki życzliwości i otwartości Księdza Proboszcza – ks. kan. Jacka Laskowskiego oraz pomysłowi ks. Piotra Hejny i Adriana Ryczka. Pomimo zmęczenia i kilkunastogodzinnej piątkowo-sobotniej pracy w niedzielę nastąpiła eksplozja radości, z tego że Parafianie mogli usłyszeć historię o cudownych wydarzeniach z życia Zofii Tajber – późniejszej Założycielki Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Duszy Chrystusa Pana oraz skosztować tradycyjnych ciasteczek.



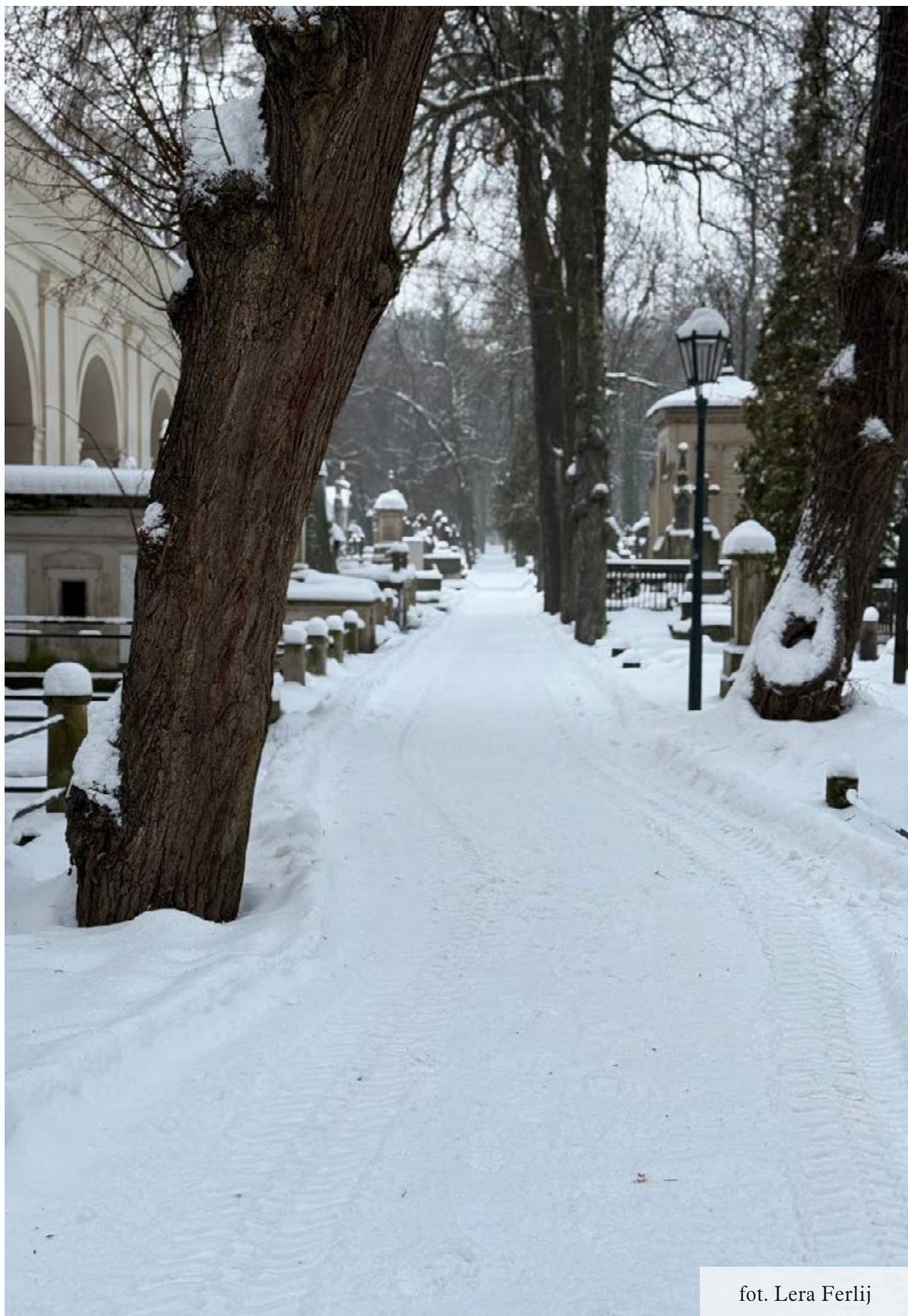
w Jego świetle



w_jego_swietle
siostry_z_warszawy



duszajezusa.pl



fol. Lera Ferlij

Rozumność wiary i granice rozumu

Analiza relacji *fides et ratio*

Tomasz Nasiłowski

Encyklika *Fides et ratio* Jana Pawła II otwiera się sugestywną metaforą dwóch skrzydeł, na których duch ludzki unosi się ku kontemplacji prawdy [1]. Ukazuje ona relację nie rywalizacji, lecz współdziałania, w którym jedność wiary i rozumu pozwala człowiekowi przekroczyć to, co doraźne i fragmentaryczne. Podobny sens niesie metafora katedry i witraży: rozum stanowi konstrukcyjny ład budowli, wiara zaś światło nadające jej sens; ich rozdzielenie prowadzi albo do pustej struktury, albo do beładnych barw [2].



Jan Paweł II podkreśla, że rozum z natury pyta o prawdę i sens, nie ograniczając się do użyteczności. Można go porównać do mapy opisującej rzeczywistość, która jednak bez kompasu wiary nie wskazuje celu drogi [3]. Podobnie w metaforze wzroku i światła: rozum jest okiem poznającym świat, wiara zaś światłem umożliwiającym widzenie [4]. Ich rozdzielenie prowadzi do relatywizmu lub do emocjonalizmu i fideizmu.

Biblijne źródła potwierdzają zdolność człowieka do poznania prawdy dzięki rozumowi jako

darowi Boga: Księga Mądrości mówi o poznaniu porządku świata (Mdr 7,17; 13,1-5), Księga Przysłów łączy mądrość z rozumnością (Prz 2,6), a św. Paweł wskazuje, że niewidzialne przymioty Boga są dostępne dla umysłu przez dzieła stworzenia (Rz 1,20). Tę wizję systematyzuje *Fides et ratio*, ukazując współpracę wiary i rozumu jako drogę ku prawdzie i pełni sensu.

Sugestywnie oddaje to metafora wędrowki przez puszcze życia, w której rozum toruje drogę, a wiara wyznacza kierunek [5]. Podobnie metafora

mostu pokazuje, że rozum może budować trwałe konstrukcje sensu, lecz – jak uczy św. Tomasz z Akwinu – najpewniejsze przejście powstaje tam, gdzie przyjmuje on światło Objawienia, nie tracąc własnej autonomii [6].

Relację wiary i rozumu można także ująć poprzez metaforę partytury i wykonania. Rozum pełni tu rolę partytury: porządkuje strukturę, zapisuje relacje i reguły harmonii, bez których muzyka nie mogłaby zaistnieć jako sensowna całość. Wiara natomiast jest wykonaniem, które ożywia zapis i pozwala mu wybrzmieć w czasie i historii. Sama partytura, choć kompletna formalnie, pozostaje martwa bez wykonania; samo wykonanie zaś, pozbawione zapisu, traci spójność i trwałość. W świetle *Fides et ratio* metafora ta podkreśla, że rozum jest niezbędnym warunkiem rozumności wiary, natomiast wiara nie znosi autonomii rozumu, lecz nadaje jego pracy ostateczny sens, prowadząc poznanie ku prawdzie, która przekracza samą strukturę formalną. Jeśli metafora mostu ukazuje możliwość przejścia między naturą a łaską, to metafora partytury i wykonania pozwala uchwycić wewnętrzną dynamikę tej relacji w samym procesie poznania.

Wszystkie te metafory prowadzą do jednego wniosku: prawda nie jest ani czysto subiektywnym doświadczeniem, ani wyłącznie wytworem kalkulacji. Jest ona celem wędrówki, światłem w katedrze, kierunkiem lotu. Jej poszukiwanie



stanowi rdzeń pytania o sens życia – pytania, którego nie da się uciszyć ani techniką, ani sceptycyzmem. W świetle *Fides et ratio* człowiek jest istotą zdolną do prawdy właśnie dlatego, że jest zdolny zarówno do myślenia, jak i do wiary. Relacja wiary i rozumu nie ma zatem charakteru konkurencji, lecz współpracy ukierunkowanej na poznanie prawdy. Rozdzielenie obu porządków prowadzi albo do redukcji poznania do czystej użyteczności, albo do subiektywizacji prawdy. Zintegrowane ujęcie ratio i fides pozwala natomiast uchronić ludzkie poznanie przed chaosem relatywizmu. Tym samym *Fides et ratio* stanowi istotny punkt odniesienia dla teorii poznania, przypominając, że pytanie o prawdę i sens nie może zostać wyłączone z racjonalnej refleksji filozoficznej.

Przypisy

1. Jan Paweł II, *Fides et ratio*, 1998.
2. A. Anderwald, *W obronie rozumności wiary*, 2024.
3. A. Lekka-Kowalik, *Fides et ratio w obronie wiary i rozumu*, 2024.
4. J.M. Angadiyil, *The Cognitive and Metaphysical Thrust of Fides et Ratio*, w: *Faith and Reason Today: Fides et Ratio in a Post-Modern Era*, red. V. Manimala, Council for Research in Values and Philosophy, 2008.
5. V. Manimala (red.), *Faith and Reason Today*, 2008.
6. P. Karpiński, *O stosunkach między wiarą i rozumem u Johna Henry'ego Newmana*, „*Studia Philosophiae Christianae*” 45 (2009)2, s. 91–108.



Przykazania a wspólnota

Co jest ważniejsze w drodze do zbawienia?

Tomasz Nasiłowski

Przykazania bardzo łatwo uczynić czymś prywatnym: listą obowiązków między „mną a Bogiem”, osobistym rachunkiem sumienia, miarą moralnej poprawności. W takim ujęciu są jak regulamin – poprawny, potrzebny, ale chłodny. Tymczasem biblijne przykazania nigdy nie rodzą się w próżni. Zawsze wyrastają z relacji i zawsze prowadzą do wspólnoty.



Bóg nie daje przykazań jednostkom zamkniętym w sobie. Daje je ludowi. Najpierw wyprowadza z niewoli, najpierw tworzy „my”, a dopiero potem mówi: tak będziecie żyć razem. Przykazania są więc nie tyle granicą wolności, ile instrukcją życia we wspólnocie ludzi wolnych.

I właśnie tu pojawia się poważne pęknięcie w dzisiejszym kościelnym myśleniu.

Czasem słyszę zdecydowane sformułowania „porządnych katolików” albo napominające kazania „prawdziwych księży” o konieczności przestrzegania przykazań jako jedynie słusznej drogi do zbawienia. Tymczasem tworzenie wspólnoty – od czego Kościół wziął swoją nazwę i czym jest w swej istocie – budowanie w niej więzi oraz

rozszerzanie jej na wszystkich ludzi traktowane są jako dodatek, a nie jako główna i jedyna misja Kościoła, czyli droga do zbawienia.

.....

Przykazania są więc nie tyle granicą

wolności, ile instrukcją życia

we wspólnocie ludzi wolnych

.....

Zamiast tego pojawia się twarda walka o przykazania, zasady, reguły, nakazy i zakazy. W praktyce oznacza to budowanie podziału: tu „my” – praworządni, a tam „oni” – źli. Między nami mur. My zbawieni, oni potępieni. Z ambon czasem grzmi zasiewanie strachu: jeśli wierni zapatrzą się na „tamtych”, zginą marnie. „Wyrzucimy ich na żer tamtym, a my będziemy wiernie i precyzyjnie wszystkiego przestrzegać, bo tylko na drodze przykazań osiągniemy zbawienie”. Miłość bliźniego staje się więc warunkowa: należy się tylko tym, którzy przestrzegają zasad. „Tamtych” potępiamy i odrzucamy – niech giną, niech się smażą.

I kościoły pustoszeją. Paradoksalnie – podobnych treści kiedyś słuchali niemal wszyscy, tłumnie chodząc do kościoła. Co z tego dziś zostaje? Coraz mniej. I coraz mniej.

Dlaczego tak niewielu zadaje sobie pytanie, czy stosowanie tych samych metod prowadzi do tych samych skutków? Dlaczego „prawowierni”, „porządni”, „prawdziwi” księża i katolicy nie widzą, że metody, które doprowadziły do obecnego stanu rozkładu, będą ten stan tylko pogłębiać?

W ten sposób budujemy plemiona – prymitywne, archaiczne formy grupowania się ludzi. Plemiona prawicowców i lewicowców, liberałów i konserwatystów, „tuskowców” i „kaczorowców”, przestrzegających i nieprzestrzegających. Przyklepamy sobie etykiety, wprowadzamy podziały, rozbijając wspólnotę narodową. I tą samą logiką

Przykazania a wspólnota: co jest ważniejsze w drodze do zbawienia?

podcinamy fundamenty Kościoła – nie z zewnątrz, lecz od środka.

Atawistyczna konieczność, instynktowny – wręcz zwierzęcy – przymus przynależności do „mojego” plemienia każe w głębi serca zwalczać przeciwnie plemię: atakować je, odwracać się od własnych, gdy wyciągają rękę do kogoś z innego obozu. Ileż pogardy spada na kardynała Rysia, gdy rozmawia z protestantem czy z Żydem. W głębi serca – często wypierając to ze świadomości – pogardzamy, a czasem wręcz nienawidzimy tych „z drugiej strony”. Stan polityki i stan Kościoła boleśnie to potwierdzają.

.....

Przylepiamy sobie etykiety, wprowadzamy podziały, rozbijając wspólnotę narodową

.....

A przecież nie tak uczy nas Jezus.

Nie tak uczy nas Biblia.

Nie tak uczą nas następcy św. Piotra od momentu ostatniego wielkiego nawrócenia Kościoła – od Soboru Watykańskiego II.

Czytanie z piątego dnia oktawy Narodzenia Pańskiego – z Pierwszego Listu św. Jana Apostoła (1 J 2,3–11; 29.12.2025) – jest w tym kontekście wyjątkowo jasne. Święty Jan wyjaśnia w nim, czym są przykazania po „reformie” religii Izraela, do których zachowywania zobowiązuje nas poznanie, czyli wiara w Jezusa:

„Po tym poznajemy, że znamy Jezusa, jeżeli zachowujemy Jego przykazania”.

A czym są te przykazania?

„Kto zaś zachowuje Jego naukę, w tym naprawdę miłość Boża jest doskonała”.

Przykazania Jezusa są więc Jego nauką.

I jaka jest ta nauka w kontekście przykazań?

Nie jest czymś innym niż wcześniej: „Umiłowani, nie piszę do was o nowym przykazaniu, ale o przykazaniu istniejącym od dawna”. Jan jasno mówi: istota przykazań pozostaje niezmienna. Bóg przez stare przykazania uczył Izraelitów miłości poprzez

prawa i zasady – tak jak rodzic uczy małe dziecko mówić „dzień dobry”, bo dziecko nie zrozumiało- by jeszcze abstrakcyjnego polecenia: „kochaj i szanuj innych”.

Z czasem jednak dziecko dorasta. Już wie, kiedy i jak pozdrowić drugiego, by wyrazić szacunek i miłość. I jeśli dorosły mówi „dzień dobry” wyłącznie z automatu – bo tak kazano – to wychowanie zawiodło. Analogicznie: jeśli dojrzały



człowiek nie rozumie, po co i w jakim celu przestrzega przykazań, jeśli robi to z przyzwyczajenia, strachu lub potrzeby akceptacji w swoim pleminiu, to – nawet skrupulatnie je zachowując – nie idzie drogą zbawienia.

Święty Jan mówi to wprost: „A jednak piszę wam o nowym przykazaniu, które prawdziwe jest w Nim i w nas, ponieważ ciemności ustępują, a jaśnieje już prawdziwa światłość”. Nowością nie jest zmiana zasad, lecz przejście od ślepego posłuszeństwa do wypełniania ich sensu. Trwanie przy samych regułach jest pozostawaniem w ciemności niedojrzałości.

I Jan natychmiast dopowiada, czym jest ta światłość: „Kto miłuje swego brata, ten trwa w światłości i nie może się potknąć”.

Przykazania a wspólnota: co jest ważniejsze w drodze do zbawienia?

Ewangelia bardzo precyzyjnie pokazuje to napięcie w rozmowie Jezusa z młodzieńcem, który pyta: „Nauczycielu, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?” (Mk 10,17; por. Mt 19,16).

Jezus najpierw odsyła go do przykazań. Młodzieńiec słyszy to, co zna i co potrafi unieść:

„Tego wszystkiego przestrzegałem od mojej młodości” (Mk 10,20).

Przykazania rzeczywiście zbliżają do Królestwa, porządkują życie, uczą relacji i wrażliwości na drugiego człowieka. Są drogą dojrzewania serca. Ale same w sobie nie są jeszcze wejściem do Królestwa.

Dlatego Jezus robi krok dalej.

„Jezus spojrzał na niego z miłością” (Mk 10,21) – i właśnie z tej miłości rodzi się zaproszenie:

„Jednego ci brakuje: idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim (...) potem przyjdź i chodź za Mną” (Mk 10,21; por. Mt 19,21).

To „bogactwo”, które ma zostać rozdane, nie ogranicza się do majątku. Obejmuje także talenty, zdolności, charyzmaty, wrażliwość, kompetencje – wszystko to, czym człowiek może się czuć „zabezpieczony” i samowystarczalny. Jezus zaprasza, by nie zatrzymywać tego dla siebie, lecz

wnieść w przestrzeń wspólnoty i oddać tym, którzy nie mają naszych darów. Przykazania prowadzą do progu Królestwa, ale wejście dokonuje się przez dar z siebie – przez rozdanie tego, kim jesteśmy i co mamy – i pójście za Jezusem we wspólnocie, razem z innymi.

.....

*Po tym poznajemy, że znamy Jezusa,
jeśli zachowujemy Jego przykazania*

.....

Tą światłością, tym nowym przykazaniem Jezusa, tym, po czym inni poznają, że jesteśmy Jego, jest miłość bliźniego. A więc Wspólnota: jej budowanie, umacnianie więzi i jej rozszerzanie. To wspólnota – nie indywidualna perfekcja – jest istotą oraz drogą naszego zbawienia. Przykazania są narzędziem wychowawczym na początkowym etapie – uczą, czym jest miłość i jak ją praktykować – ale nie mogą stać się celem samym w sobie.

Bo przykazania nie zostały dane po to, byśmy byli bezbłędni.

Zostały dane po to, byśmy nie byli sami.



Ciepło Kościoła

s. Monika Tomczak



4 lipca 2026 roku o godz. 11.00 Matka Weronika Magda Bednarska, Siostra Symeona Marie Kul-pith oraz Siostra Marcjana Katarzyna Pelczar-ska dziękowały Bogu za 25 lat życia zakonnego.

Podczas uroczystej Eucharystii, w obecności rodzin, przyjaciół, dobrodziejów Zgromadzenia i kapłanów, odnowiły swoje śluby zakonne: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa.

Mszy Świętej przewodniczył o. bp Jacek Kiciński CMF, biskup pomocniczy wrocławski oraz przewodniczący Komisji KEP ds. instytutów życia konsekrowanego i stowarzyszeń życia apostołskiego.

W homilii wybrzmiały piękne słowa o. Antoniego Jozafata Nowaka OFM: „Siostra zakonna jest ciepłem Kościoła”. Ten jubileusz był prostym i wzruszającym przypomnieniem, że życie zakonne rodzi dobro najczęściej po cichu, ale zostawia w Kościele światło, wdzięczność i ciepło.

Siostry Duszy Chrystusowej są obecne także w naszej parafii. Służą modlitwą, życzliwością i codzienną obecnością, która często mówi więcej niż wiele słów.

Jeżeli jesteś dziewczyną, która myśli o życiu zakonnym, zastanawia się, czy taka droga może być dla niej, albo po prostu nosi w sercu pytania o powołanie – podejdź śmiało, zagadaj. Postaram się odpowiedzieć na to, co Cię nurtuje, pomóc rozeznać i pokazać, że Pan Bóg nie zabiera życia, ale prowadzi do jego pełni.





fot. Lera Ferlij

Dusza Warszawy

ks. Jacek Laskowski

Osoby, na które patrzysz, pokazują, że Stare Powązki są niezaprzeczalnie duszą Warszawy. To tylko niektóre z nich – a przecież są ich setki, jeśli nie tysiące. Znani i zapomniani, ci z wielkich pomników i ci z małych tabliczek. Wszyscy współtworzyli to, co w najlepszym znaczeniu było warszawskie i było polskie.

To właśnie ich historie sprawiają, że Stare Powązki są miejscem niezwykłym: urzekającym, a jednocześnie mówiącym co krok o tym, co przeminęło. I o tym, co tutaj – w duszy Warszawy – nadal trwa.



Bolesław Prus
Kwaterna 209-1-4/6



Władysław Reymont
Aleja Zasłużonych



Karol Jaroszyński
Kwaterna 277-3-23



Wojciech Młynarski
Aleja Zasłużonych



Irena Kwiatkowska
Kwaterna 189-1-6



Czesław Niemen
Katakumby



Kalina Jędrusik
Aleja Zasłużonych



Jan Nowak Jeziorański
Kwaterna 7-4-30



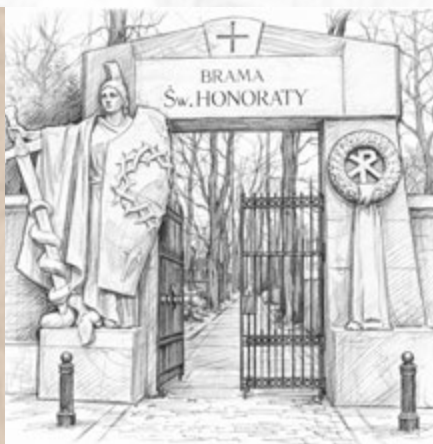
Hanna Bielicka
Kwaterna 37-1-1

Dusza Warszawy – symbolika

ks. Jacek Laskowski

Symbolika na cmentarzach bywa jak cichy język – nie krzyczy, nie narzuca się, a jednak potrafi powiedzieć o człowieku więcej niż niejedna tablica z życiorysem. Na Starych Powązkach w Warszawie ten język jest szczególnie bogaty. To nie tylko nekropolia, ale także galeria znaków: wyrytych w kamieniu, odlanych w brązie, ukrytych w geście anioła, w ułamanym pniu drzewa, w gałązce laurowej, w kotwicy czy w płomieniu lampki.

Kiedy przychodzimy tu 1 listopada, wśród świateł i tłumu łatwo przejść obok grobów jak obok kolejnych adresów. A przecież każdy nagrobek jest opowieścią – czasem bardzo osobistą, czasem publiczną. Rodziny nie wybierały motywów przypadkowo. Bywało, że piękno pomnika miało podkreślić status społeczny: „zobaczcie, kim był, kogo stać na taki kamień”. Bywało też, że symbol miał opowiedzieć o dokonaniach: artysta, żołnierz, lekarz, społecznik – każdy mógł zostać „opowiedziany” przez znak. A bywało wreszcie, że ktoś dostał prosty krzyż – i w tym też jest wielka mowa: o pokorze, o wierze, o tym, że człowiek nie chciał niczego dodawać do Ewangelii.



BRAMA

Symbolizuje drzwi – przejście ze świata doczesnego do świata zmarłych, połączenie życia i śmierci, dobra ze złem.



BRZOZA

Symbol osi świata, życia, śmierci i początku, ponieważ leśne brzozy najszybciej pokrywają się liśćmi na wiosnę.



CYPRYS

Drzewo, które po ścięciu nie odrasta, symbolizuje smutek. W Rzymie sadzono go na znak żałoby. Drzewo długowieczne, oznacza nieśmiertelność i drzewo życia.

Dusza Warszawy – symbolika

Stare Powązki uczą jednej rzeczy: warto wiedzieć, na co się patrzy. Bo mogiły mówią więcej, niż nam się zdaje – tylko trzeba się zatrzymać. Jeden krok wolniej, jedno spojrzenie uważniej. Anioł z opuszczoną głową może nie być „ładną dekoracją”, ale znakiem żałoby i nadziei. Wieniec laurowy – nie ozdobą, lecz opowieścią o zwycięstwie ducha i zasługach. Klepsydra lub pochodnia skierowana w dół – przypomnieniem o przemijaniu, ale czasem też o zgaszonym życiu. Kotwica – nie morskim kaprysem, lecz symbolem nadziei. Złamana kolumna – jak przerwane zdanie: życie ucięte, dom zamknięty, historia, która skończyła się zbyt wcześnie.

I właśnie tu dotykamy czegoś jeszcze głębszego: Stare Powązki są duszą Warszawy. Dusza nie objawia się hałasem ani reklamą – objawia się pamięcią. A pamięć na Powązkach ma swój kształt i swój alfabet. Ta symbolika jest jak warszawska modlitwa zapisana w kamieniu: trochę poważna, trochę czuła, czasem heroiczna, czasem bardzo zwyczajna. W tych znakach widać miasto, które umiało cierpieć, umiało walczyć, umiało tworzyć, ale też umiało kochać i żegnać. Warszawa na co dzień pędzi – a jej dusza, jakby na przekór pośpiechowi, mówi tu: „zatrzymaj się”.



DĄB

W sztuce sepulkralnej to drzwi do Nieba, długowieczność i nieśmiertelność. Dąb ma być narzędziem komunikacji pomiędzy Ziemią a Niebem.



DRZWI

Drzwi bez klamki lub zamknięte na kłódkę oznaczają, że po drugiej stronie zostanie się już na zawsze, nie ma już powrotu.



DZWON

W chrześcijaństwie symbolika dzwonu oznacza głos Boga, raj, a także żałobę. Dźwięk dzwonów podczas pogrzebu miał odpędzać złe duchy od dusz opuszczających ciała.

Dusza Warszawy – symbolika

I chyba to jest najpiękniejsze: Powązki nie pozwalają nam być turystami od „ładnych pomników”. Wciągają w rozmowę o sensie. O tym, co zostaje po człowieku. O tym, że pamięć ma swoje znaki, a wiara swój alfabet. Kto raz zacznie czytać tę kamienną księgę, wraca tu inaczej – nie tylko „odwiedzić”, ale zrozumieć. I oddać szacunek: nie tylko zmarłym, lecz także prawdzie o życiu, która na Powązkach jest wypisana dyskretnie, a jednak bardzo wyraźnie.



HARFA

Symbolika harfy oznacza boską chwałę, harmonię, wędrówkę duszy, śmierć. Postrzegana jako drabina łącząca Ziemię z Niebem. Jęk harfy często interpretowano jako zapowiedź śmierci.



KOTWICA

To przede wszystkim symbolika nadziei i cierpliwości. Oznacza oczekiwanie na zbawienie, a także zakotwiczenie łodzi życia w porcie wieczności. Spotykana na grobie marynarzy upamiętnia ich ziemską drogę.



KRZYŻ

Most do Nieba, symbol zbawienia i odkupienia grzechów, ofiary Jezusa Chrystusa. Postawiony na grobach upamiętniał wiarę i religijność zmarłego. Na grobach ateistów nie ma krzyży – symbolu męki i zmartwychwstania dla chrześcijan.

Spotkanie z Piotrem

ks. Jacek Laskowski

Czekaliśmy w skwarze słońca Wiecznego Miasta. Na placu św. Piotra panowała atmosfera modlitwy, wzruszenia i oczekiwania. Rozmawialiśmy. Ktoś odmawiał brewiarz, ktoś przesuwiał w palcach paciorki różańca. Jeszcze jedno zdjęcie. Jeszcze jedno spojrzenie w stronę trasy przejazdu. Czy już się zbliża? Czy już nadjeżdża Papamobile?

17 czerwca, podczas śródowej audyencji generalnej w Watykanie, razem z kolegami księżmi z diecezji płockiej przeżyliśmy spotkanie z Piotrem naszych czasów – Papieżem Leonem XIV. Udailiśmy się do Rzymu z racji 25. rocznicy święceń kapłańskich. Był to czas wdzięczności za dar kapłaństwa, za minione lata posługi i za wszystkich ludzi, których Pan Bóg postawił na naszej drodze.

Najpierw Ojciec Święty wygłosił śródową katechezę, w której nawiązał do swojej niedawnej pielgrzymki do Hiszpanii. Potem wspólnie odmówiliśmy modlitwę. A następnie nadszedł ten moment, który trudno opisać zwykłymi słowami.

Uścisnąć dłoń Papieża. Spojrzeć w oczy Piotra naszych czasów. Poprosić o błogosławieństwo dla swoich parafian i na dalsze lata kapłańskiej drogi. To są chwile, które zostają w sercu na zawsze.

Było w tym spotkaniu coś bardzo prostego, a jednocześnie wielkiego. Krótka rozmowa. Gest błogosławieństwa. Spojrzenie pełne pokoju. I świadomość, że Kościół naprawdę jest rodziną, która trwa przy Chrystusie i przy Piotrze.



Humanistyczny aspekt astrologii Marsilia Ficina

Paulina Piotrowska

Marsilio Ficino (1433–1499) to jedna z najważniejszych postaci włoskiego Renesansu i wspaniały przykład wszechstronności w tamtych czasach. Rozkwit Florencji szedł w parze ze wzrostem świadomości jej mieszkańców, a względnemu spokojowi politycznemu, któremu patronowała rodzina Medyceuszy, towarzyszył rozwój sztuk i nauk. Tak przedstawiające się warunki uformowały jednostkę wybitną – filologa, astrologa, filozofa, kapłana. Nieśmiertelną sławę zyskał Ficino dzięki przekładowi dorobku Platona i Plotyna, autor-skim utworom harmonizującym myśl pogańską z chrześcijaństwem pod hasłem pradawnej teologii (*prisca theologia*) i – jak na człowieka Renesansu przystało – dzięki dziełu łączącemu medycynę, magię i mistykę, *De vita libri tres* (Jak żyć). Ten ostatni utwór to przykład opanowania przez Ficina astrologicznego rzemiosła (oraz pokory wynikającej z zaufania Bożemu prowadzeniu), którego wyraz znajdujemy chociażby we wstępie do księgi III tego utworu:

Albowiem dzięki wieloletniej praktyce przekonałem się, że leki przyrządzone w oparciu o astrologię elekcyjną różnią się od pozostałych tak, jak wino od wody. Niech za przykład posłuży niemowlę urodzone we Florencji w ósmym miesiącu ciąży nocą marcową, kiedy retrogradujący Saturn znajdował się na ascendencie; półżywy osesek, dzięki moim, a w zasadzie Bożym staraniom, został ocalony, choć słuszniej powiedzieć – przywrócony życiu; aż do dzisiaj, czyli prawie trzy lata od tego zdarzenia, trwa w zdrowiu.

Jak doszło do uformowania się tak otwartego charakteru i jak toczyło się życie Ficina? Urodził się 19 października 1433 roku w Figline pod Florencją o godzinie 13.26 (wg kalendarza juliańskiego), a ukształtowało go przede wszystkim nie Słońce, lecz Saturn. Czy to w humanistycznych interpretacjach, czy to wśród naukowych poszukiwań to ta planeta często wprowadzała Ficina w piękne stany melancholii, prowadząc go również ku wyżynom nauki.



Ojców miał Marsilio dwóch. Pierwszy, fizyczny – Diotifeci, był lekarzem. Stąd materialistyczne podejście do astrologii i jej dosłowny odbiór nie tylko nie były mu obce, lecz były czymś naturalnym. Oddziaływanie ciał niebieskich na ciała ziemskie udowadniała codzienna ojcowska praktyka. Za sprawą ojca też poznał ojca duchowego Kosmę Medyceusza, który powziął wobec chłopca konkretne plany – chciał, żeby jak Diotifeci leczy ciała, tak Marsilio leczył dusze. I tak oto według świadectwa zaczęło realizować się przeznaczenie Ficina.

Nieodzowną częścią tej drogi było zadowolenie dwóch ojców. Co się tyczy materii i życia fizycznego, Ficino studiował medycynę, ale z czasem zajął się leczeniem dusz, czyli przekładem Platona, jako rezydent podarowanej mu przez Kosmę willi w podflorenckiej miejscowości Careggi, „świątyni medytacji i ośrodka neoplatonizmu”. Wprawiał się w tej roli na mistycznych pismach Proklosa, Pseudo-Orfeusza i Zoroastra. W 1463 roku ukończył pracę nad tłumaczeniem *Corpus Hermeticum* Hermesa Trismegistosa i wtedy dopiero przystąpił do samego Platona. Zdobytą w zakresie (neo) platonizmu wiedzę przekazywał w trakcie wykładów odbywających się w ramach tzw. Akademii Florenckiej, a gromadzących takie osobistości jak: Cristoforo Landino, Angelo Poliziano, Gentile Becchi (biskup Arezzo), których razem z Ficinem odmalował na fresku w kościele Santa Maria



Novella Domenico Ghirlandaio. Spotkania te nadały ton włoskiemu Renesansowi i ukierunkowały filozofię europejską.

Trzeba jednak pamiętać, że dla Marsilia filozofia była tak samo ważna, jak religia. Stąd w 1473 roku przyjął on święcenia kapłańskie, stworzył utwór *De Christiana religione* i spalił komentarze poświęcone epikurejczykowi Lukrecjuszowi, odrzucając tym samym istnienie przypadku.

W 1484 roku, w roku Wielkiej Koniunkcji Saturna z Jowiszem, opublikowano dzieła zebrane Ateńczyka wybrał. Wtedy też Ficino rozpoczął przekład Plotyna (ukończony w 1492 roku), a następnie stworzył i w 1489 roku wydał wspomniany utwór *De vita*, w którym jatromatematyka miesza się z arabską magią. W latach 1491–1492 powstały jeszcze opublikowane rok później etiudy *De Sole* i *De lumine* – utwory rozwijające i podsumowujące ważne punkty nowej teologii. Te bliźniacze traktaty, a zarazem krótkie pisma neoplatońskiego kaznodziejstwa, weszły w skład

wydanego zbioru listów florentczyka jako doktrynalne encykliki.

Zmarł 1 października 1499 roku, najpewniej na kolkę.

Ficino w swoim najważniejszym utworze autorskim *Theologia Platonica* poza poruszaniem się szlakiem odwiecznej filozofii (*philosophia perennis*) podkreślał, że to, co odróżnia człowieka od innych istot ożywionych, to świadomość (*mens, nous*), a także działanie po namyśle (*consilium*). *Każda istota ożywiona jest nieśmiertelna, a to za sprawą umysłu. Człowiek zaś przede wszystkim, gdyż pojmuje Boga, a jego istota odpowiada boskiej. Albowiem Bóg [...] obcuje tylko z człowiekiem: nocą poprzez sny, a za dnia dość często poprzez znaki. Pozwala przewidzieć wszystko, co niesie przyszłość, poprzez wróżby z lotu ptaków, ze zwierzęcych wnętrzności, poprzez natchnienie ducha, z szumu dębowych liści. To dlatego człowiek wie, co jest, co było i co będzie* (Poimandres XII, 19).

W księdze *De vita* z kolei wiele miejsca poświęcił pojęciu *Anima Mundi*, Duszy Świata, która jak eter wypełnia całą naturę, a w której mieszczą się tzw. racje zarodkowe, zarodki wszystkiego, co ożywione. W szczegółach omawia w trzeciej części utworu powiązania między zachowaniem a konsekwencjami. Wymienia czynniki, które mają wielki wpływ na przeznaczenie człowieka. A poprzez odwołania do funkcjonowania mikro- i makrokosmosu oraz zalecenia, by podobne leczyć podobnym (*similia similibus curantur*) zainspirował Paracelsusa w jego studiach nad homeopatią. Kiedy człowiek żyje w harmonii ze Wszechświatem, żyje zdrowo, długo i w pomyślności. Natomiast zharmonizować się z niebiosami można na siedem sposobów poprzez:

1. *obrazy harmonijnie stworzone*
[-> talizmany];
2. *lekarstwa we właściwych proporcjach*
sporządzone;
3. *tak samo przygotowane zapachy*
[-> aromaterapia, krople Bacha];
4. *śpiew i dźwięki (z towarzyszeniem ruchów ciała w tańcu i gestach rytualnych)* [-> choreoterapia];



5. koncepty i podążające za nimi ruchy wyobraźni
[-> wizualizacje, metoda Siły];
 6. odpowiedni dyskurs rozumu
[-> refleksje, modlitwa];
 7. spokojną kontemplację umysłu [-> medytacja].
- (...) Duch harmonizuje się ze wszechświatem, a wówczas wpływają na nas okultystyczne siły z gwiazd (De vita III, 22).

Takie siły można wykorzystać na płodzenie dzieci. Człowiek powinien obsiewać pole oraz sadzić pędy winorośli i oliwek, kiedy Księżycy i jego światła przybywa, a inne źródła nie sprawiają, że oddziaływa niepomysłnie. Dlaczego zatem nie wykorzystać przychylności Księżyca i Jowisza i Słońca do zasia-
nia (jak powiedzieliby cynicy) człowieka? Zawsze posługujemy się do tego Wenus, a w zasadzie powin-
nem powiedzieć – oni wykorzystują, bo dla mnie je-
dyną Wenus jest Diana (jako ksiądz żyję w celibacie)
(De vita III, 25).

Odpowiedni czas na płodzenie potomstwa nie trwa jednak wiecznie. Kiedy skończy się 49 lat i zbli-
ża do pięćdziesiątki, powinno się pamiętać, że młodzi
są pod skrzydłami Wenus, a starsi – Saturna – według

astronomów to najbardziej wroga sobie para. Dlatego
osoby saturnijskie powinny unikać aktów wenusjań-
skich, bo podczas nich i tak wyssana zostaje więk-
szość soków życiowych nawet u młodego człowieka
(De vita II, 8).

Nie należy też zapominać, że ludzki rozum jest
wyłączną prerogatywą człowieka i o ile, jak pisał
E.H. Gombrich, dolne części naszej duszy łączą
nas ze światem ciała i jego zmysłów, o tyle wywyż-
szona sfera umysłu uczestniczy w Boskości [1]. Fi-
cino rozwinął ulubioną tezę o zajmowanej przez
człowieka pozycji między Bogiem a zwierzęciem
w jednym z listów do przyjaciela, którego treść
według Gombricha ilustruje obraz obracające-
go się w kręgu filozofa Boticellego Pallas Atena
i centaur: Zrodzona z głowy Jowisza, stwórczyciela
wszech rzeczy, Mądrość nakazuje filozofom, jej mił-
śnikiem, że gdy pragną pochwytać to, co ukochali, po-
winni celować raczej w głowę niż w stopy. Albowiem
Pallada, boska latorośl zesłana z wysokich niebios,
sama mieszka na wyżynach, które zamieniła w swoją
twierdzę. Ponadto pokazuje nam, że nie można się-
gnąć szczytu, głowy, zanim nie dotrze się do głowy
duszy, czyli intelektu (mens), pozostawiając za sobą

jej niższe rejony. Obiecuje nam na koniec, że jeśli wycofamy się do najpłodniejszej części duszy, czyli do intelektu, to niewątpliwie zrodzi się z głowy taki intelekt, który stanie się towarzyszem samej Minerwy i pomocnikiem najwyższego Jowisza (Listy II, 1).

Nasze zwierzę, czyli zmysły – jak pisze Gombrich – zmuszają do celu jego zwierzęce popędy, niczym strzała do tarczy. Nasz człowiek, czyli rozum, nie znajduje satysfakcji w spełnianiu tych popędów. Za sprawą rozumu, dostrzegającego wyższy cel człowieka, nie zaznajemy spokoju i jesteśmy udręczeni. Postać (ale też: symbol i archetyp) Centaura, dzięki jego formie łączą w sobie obie istoty. Uzbrojony w łuk i strzały, symbol zwierzęcych popędów pozwala Minerwie (Mens) ująć jego duszę za głowę, co jest słusznym gestem dominacji. Gdy delikatnie ujmując dłoń jego głowę, by uspokoić jego niespokojne ruchy i poprowadzić na jego drodze, on nie stawia oporu, lecz poddaje się jej kierownictwu. Nie ma tu żadnej heroicznej walki, ponieważ walka toczy się w samym Potworze, który został stworzony ułomnym, a któremu każe się wyzdrowieć.

Tylko Łaska Boża może rozwiązać paradoks ludzkiej egzystencji. Tylko nieśmiertelność duszy nadaje sens naszemu trudowi na ziemi. Przebywając w ciele, dusza nie może osiągnąć stanu doskonałości i szczęścia, do którego jest przeznaczona.

Ficino całe życie oscylował między ziemią, czyli astrologią dokładną, mierzalną, arabską a astrologią wyobraźni i symbolu, dziś powiedzielibyśmy – humanistyczną, tworząc jej podwaliny. Nie traktował ich jako odrębnych gałęzi, lecz raczej jako jedno drzewo, a może drzewo i jego lustrzane odbicie, w myśl hermetycznej zasady: „jak na górze, tak na dole” – cokolwiek dzieje się w sferze ciał niebieskich, dzieje się w sferze ciał ziemskich. Zasługi Marsilia Ficina sprawiły, że dość powszechnie można spotkać się z jego wizerunkiem, czy to w postaci rzeźb, czy obrazów, na terenie Florencji. Jest on jedną z postaci zdobiących fasadę katedry Matki Boskiej Kwietnej. Filozof z przełomu XIX i XX wieku, Augusto Conti, tak rozumiał zamysł towarzyszący wykonaniu: *Marsilio Ficino to ta postać, która wskazuje*

prawą ręką ku Niebu, a to dlatego, że jak Rafael przedstawił Platona w tej samej pozycji na obrazie Szkoła Ateńska, tak też został wyrzeźbiony i platonik Ficino – stając się symbolem filozoficznej medytacji nad Wiecznymi Archetypami, wedle których Bóg stworzył świat.

Przypisy

1. E.H. Gombrich, *Botticelli's Mythologies: A Study in the Neoplatonic Symbolism of His Circle*, Journal of the Warburg and Courtauld Institutes, t. 8. (1945), s. 7–60.



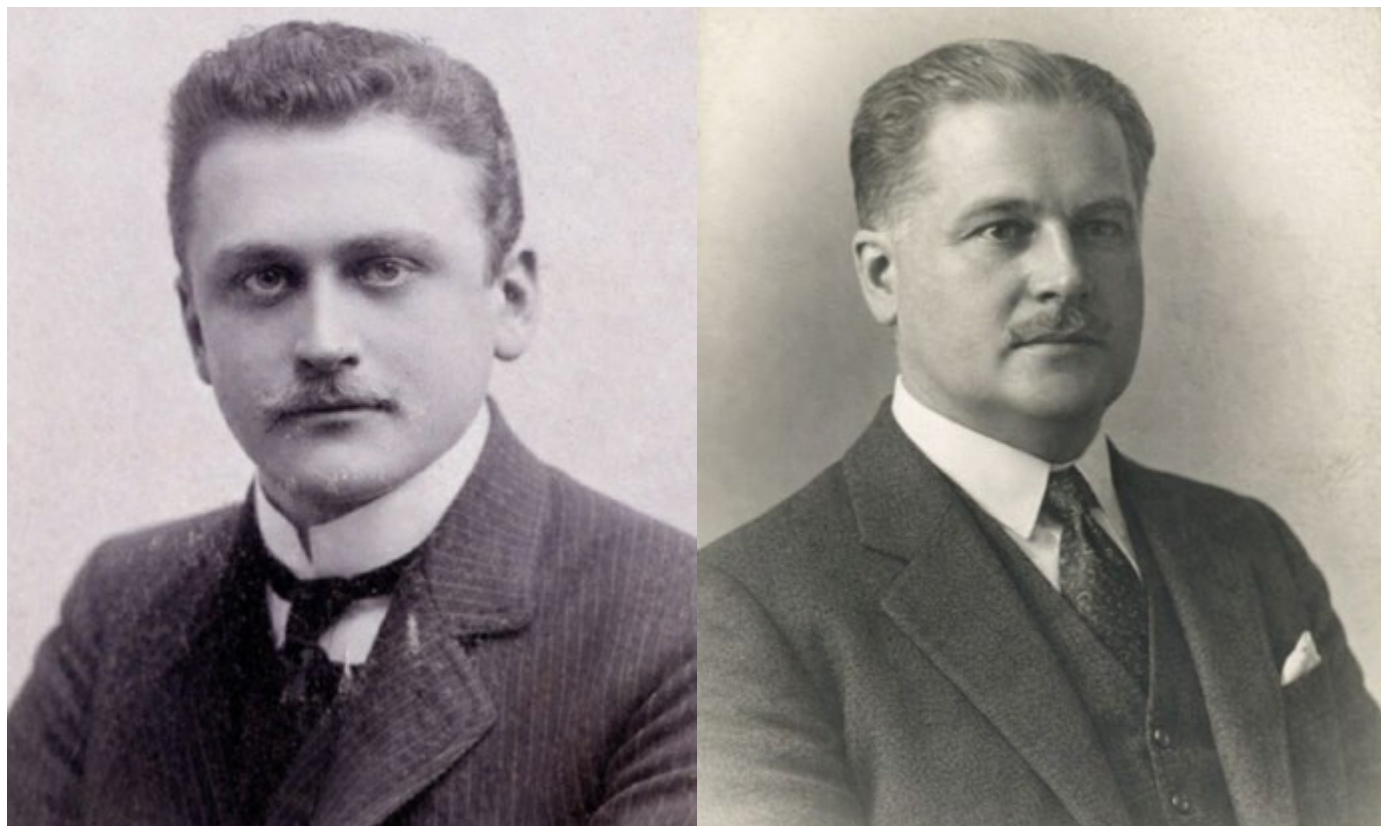


fot. Lera Ferlij

Jak „kupić Rosję” i ocalić Polskę?

Karol Jaroszyński

ks. Jacek Laskowski



Wychodzisz ze Starych Powązek z poczuciem, że miasto zostawiło tu swój szept – i że ten szept zna nazwiska lepiej niż my. A jednak człowiek, nawet gdy jest „u siebie” pośród mogił, wciąż potrafi się zdziwić. Bo moje ostatnie odkrycie w historii zapisanej na Starych Powązkach ma imię i nazwisko, które brzmi jak tytuł do filmu, a leży w ciszy jak dopisek na marginesie: Karol Jaroszyński.

W kwaterze 227 spoczywa hazardzista w najlepszym (i najbardziej ryzykownym) znaczeniu tego słowa – człowiek, który stawiał wszystko na jedną kartę, jakby życie miało jeden wielki stół do gry. Legenda ruletki z Monte Carlo, finansowy gigant carskiej Rosji, a zarazem patriota w wersji najtrudniejszej: bez fanfar, bez transparentu, za to z uporem, który nie robił hałasu, tylko skutki. Gdy przyszło do starcia z bolszewikami, nie ograniczył się do komentarzy przy kawie – walczył z nimi tak, jak walczy się z ogniem: nie słowem, lecz działaniem, ryzykiem i konsekwencją. Chciał wolnej Polski nie jako hasła, ale jako konkrety, który ma mieć szkoły, instytucje, ludzi wykształconych i niezależnych.

Wychodząc ze Starych Powązek, człowiek ma wrażenie, że miasto zostawiło tu swój szept – i że ten szept zna nazwiska lepiej niż my. Ale Stare Powązki są też mistrzem ironii: potrafią prowadzić wprost do katakumb, gdzie w kamieniu mieszka pamięć narodowa, i potrafią kazać iść dalej, dalej, aż w końcu zrozumieć, że prawdziwe historie nie zawsze leżą w alei głównej.

W kwaterze 227 jest ciszej. Nie ma tłoku, nie ma „obowiązkowego punktu programu”, nie ma pomnika, który robi zdjęcie za człowieka. Jest skromna płyta i nazwisko: Karol Jaroszyński. Człowiek, o którym można by nakręcić film – tylko reżyser musiałby mieć odwagę, by pokazać, że patriotyzm czasem nosi frak, czasem garnitur bankiera, a czasem ma na rękach kurz kredytowych tablic, bo funduje uniwersytet.



Ta opowieść zaczyna się daleko stąd – w Kijowie, w kresowym świecie polskich rodzin ziemiańskich. Jaroszyński nie był znikąd. Miał kapitał startowy: nazwisko, relacje, majątek. Ale miał też coś, czego nie dziedziczy się w testamencie: instynkt ryzyka. I dlatego w jego biografii jest scena, która brzmi jak legenda, a wraca z uporem refrenu: Monte Carlo, 1909 rok, ruletka. Mówi się, że „rozbił bank”, że wygrał sumę równą milionowi rubli, że z kasyna wyjechał z wygraną przeliczaną na setki kilogramów złota. W takiej chwili człowiek albo przepala szczęście w kolejnych nocach, albo robi z niego narzędzie. Jaroszyński zrobił narzędzie.

Potem przychodzi jego prawdziwe królestwo: banki, przemysł, inwestycje, wielkie pieniądze i jeszcze większe ambicje. Gdy wybuchą I wojna światowa, jego świat się nie kończy – on go wykorzystuje. Rosja potrzebuje dostaw, kredytów, zaplecza. Jaroszyński umie żonglować kapitałem tak, jak inni żonglują słowami: z lekkością, ale

i z wyrachowaniem. Staje się graczem ogromnym – takim, o którym mówi się z podziwem albo z lękiem. A przecież w tym samym czasie w nim zostaje Polska.

I właśnie to jest moment, w którym jego historia przestaje być opowieścią o bogaczu, a zaczyna być opowieścią o patriocie. Bo patriotyzm Jaroszyńskiego nie polega na deklaracji. Polega na decyzji, że w samym sercu rosyjskiego świata tworzy przestrzeń dla Polaków. Kupuje budynek w Piotrogradzie i oddaje go na Dom i Klub Młodzieży Polskiej „Zgoda” – miejsce, gdzie polskość ma oddychać, rosnąć, organizować się, trzymać pion. Nie jest to patriotyzm z transparentu. To patriotyzm z kluczem do drzwi.

A potem przychodzi rok 1917. Rewolucja. Chaos. Nacjonalizacja banków. Przewartościowanie wszystkiego, co wydawało się nie do ruszenia. W tym czasie Jaroszyński – człowiek od pieniędzy – zaczyna działać jak człowiek od polityki. Bo pieniądź w tamtej epoce bywa bronią. Są plany, kontakty, gry, które pachną tajemnicą gabinetów i archiwów. W skrócie: Jaroszyński wierzy, że bolszewików można powstrzymać nie tylko karabinem, ale także mechanizmem finansowym. Jakby chciał powiedzieć: „jeśli zmienili świat na ideologię, ja spróbuję go zmienić na bilans”. I gdzieś między romantyzmem a pragmatyzmem rodzi się legenda o człowieku, który „chciał kupić Rosję” – nie po to, by ją mieć, ale by ją zatrzymać, zanim pożre wszystko.

.....

Historia przestaje być opowieścią o bogaczu, a zaczyna być opowieścią o patriocie

.....

Na tle tej wielkiej gry jest jego gest najbardziej długowieczny: Katolicki Uniwersytet Lubelski. Jaroszyński angażuje się w ideę uczelni katolickiej – i daje jej pieniądze wtedy, gdy pieniądze są jeszcze potężne, a potem także wtedy, gdy jego fortuna kruszy się jak tynk na starej kamienicy. To nie jest ładny gest na końcu życia. To jest konsekwencja: skoro Polska ma przetrwać, musi



mieć nie tylko granice i wojsko, ale też myślenie, formację, sumienie. Uniwersytet jest jego odpowiedzią na chwilowość świata.

W II Rzeczypospolitej pojawia się jeszcze jeden epizod: Jaroszyński jako doradca finansowy państwa, człowiek, który wraca do Polski i próbuje odnaleźć się w młodej, czasem chaotycznej rzeczywistości. Tu jest już mniej legendy, a więcej gorzkości. Bo Polska dopiero uczy się własnej państwowości, a on ma doświadczenie imperium. I wygląda na to, że to doświadczenie bywa w kraju nie tyle darem, co podejrzeniem.

Umiera w Warszawie w 1929 roku. I wtedy dzieje się rzecz, która brzmi jak ostatni błysk dawnej potęgi: pogrzeb. Przy trumnie jest Kościół, są ludzie związani z uczelnią, są kwiaty, jest tłum – taki, który przychodzi nie po sensację, ale po dług wdzięczności. To ważne, bo pokazuje, że jego życie nie było tylko plotką o pieniądzach. Było realnym śladem.

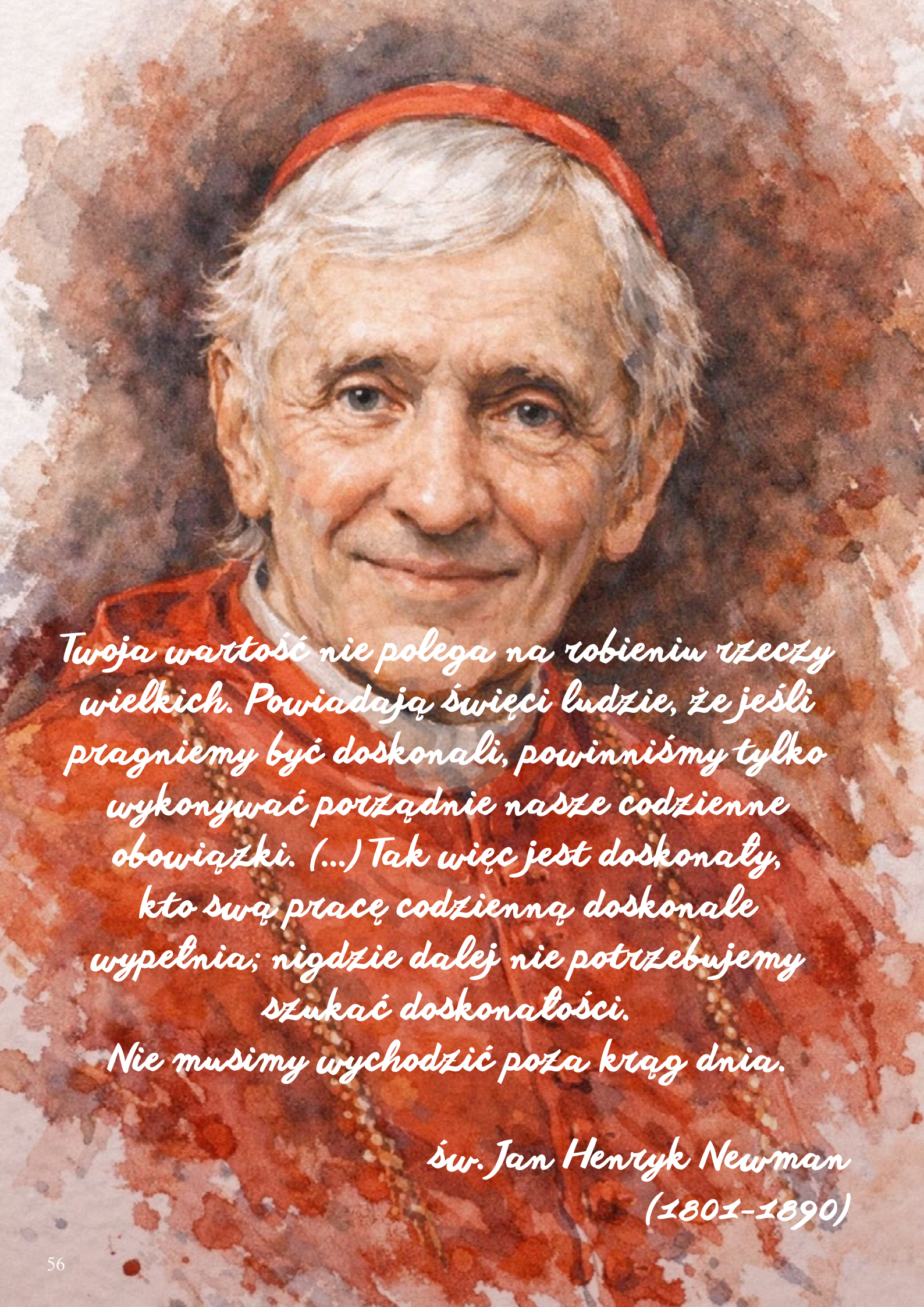
A potem następuje cisza. Jego nazwisko wędruje na margines pamięci. Z czasem nawet miejsce pochówku staje się skromniejsze: dziś spoczywa w kwaterze 227 na Starych Powązkach, z dala

od tego, co „reprezentacyjne”. I w tym jest chyba najbardziej przejmująca puenta: człowiek, który obracał sumami większymi niż wyobrażnia, leży pod płytą, którą można przeoczyć.

Kiedy wracam z tej alejki, myślę, że paradoks Jaroszyńskiego nie polega na tym, że wygrał w kasynie, a przegrał z rewolucją. Paradoks jest ostrzejszy: zostawił Polsce instytucję, która uczy myślenia, a sam został przez myślenie zbiorowe zepchnięty w cień. Jakbyśmy umieli korzystać z owoców, ale nie zawsze pamiętali, kto zasadził drzewo.

I dlatego ta historia – choć pachnie sensacją – powinna zostać w tonie poważnym. Bo jeśli ktoś pyta, co zostaje po człowieku, który miał wszystko, odpowiedź bywa zaskakująco prosta: zostaje to, co potrafi przetrwać bez niego. Jaroszyński nie zostawił nam tylko legendy o ruletce. Zostawił „Zgodę”, zostawił KUL, zostawił gesty, które nie dają się łatwo przeliczyć na złoto.

A złoto? Złoto bywa głośnie. Uniwersytet działa po cichu. I właśnie dlatego jest większym zwycięstwem.



Twoja wartość nie polega na robieniu rzeczy wielkich. Powiadają święci ludzie, że jeśli pragniemy być doskonali, powinniśmy tylko wykonywać porządnie nasze codzienne obowiązki. (...) Tak więc jest doskonały, kto swą pracę codzienną doskonale wypełnia; nigdzie dalej nie potrzebujemy szukać doskonałości. Nie musimy wychodzić poza krąg dnia.

*św. Jan Henryk Newman
(1801-1890)*



Gdy nikt nie widzi: tam rodzi się jedność

ks. Jacek Laskowski

Jedność chrześcijan bywa dziś traktowana jak ładny plakat: powiesić, uśmiechnąć się, zrobić zdjęcie i wrócić do swoich „prawd”. A przecież jedność nie jest dekoracją. Jest jak chleb: albo karmi, albo jest tylko rekwizytem. I właśnie dlatego odważę się postawić tezę – prostą, ale wymagającą: jedność narodów zaczyna się od jedności chrześcijan. A jedność chrześcijan nie zaczyna się w salach konferencyjnych ani w dokumentach. Zaczyna się w domu. Ba, jeszcze wcześniej: zaczyna się we mnie.

Niech to będzie droga w czterech krokach – jak schodzenie po schodach do fundamentu. Bo jeśli fundament jest kruchy, to nawet najpiękniejsza fasada pęknie przy pierwszym mrozie.

Gdy nikt nie widzi: tam rodzi się jedność

1) Jedność człowieka z samym sobą: kiedy sumienie nie ma rozdwojenia jaźni

Znamy ten moment: człowiek mówi jedno, myśli drugie, robi trzecie, a w niedzielę – w najlepszej wersji – wierzy w czwarte. I wtedy rodzi się wewnętrzne zmęczenie. Nie dlatego, że życie jest trudne, ale dlatego, że ja sam jestem dla siebie sprzeczny. To jest cicha wojna domowa, tylko że to dom nazywa się „serce”.

Jedność zaczyna się wtedy, gdy w środku pojawia się zgoda: myśli są jednością ze słowami, słowa są jednością z czynami, a czyny są jednością z wyznawaną wiarą. To brzmi jak ideał, ale w praktyce jest bardzo konkretnym pytaniem:

Czy ja żyję tak, jak mówię? Czy mówię tak, jak myślę? Czy moje czyny zdradzają moją wiarę – czy ją potwierdzają?

Najbardziej prawdziwy test jedności nie dzieje się na ambonie ani na zebraniu. Dzieje się tam, gdzie nie ma publiczności. Kim jestem, kiedy nikt nie widzi? Bo wtedy wychodzi na jaw, czy noszę wiarę jak odświętny płaszcz, czy jak skórę – codziennie, bez teatralności.

I tu jest pierwsza dobra wiadomość: Bóg nie żąda perfekcji. On żąda prawdy. Jedność nie polega na tym, że nie upadam, tylko że nie udaję, iż nie upadłem. Człowiek zintegrowany to nie człowiek bez ran, ale taki, który nie buduje z ran usprawiedliwienia dla zła.

2) Jedność w domu: gdzie miłość nie jest sloganem, tylko stylem

Ktoś powie: „Dobrze, świat się kłóci, narody się kłócą, Kościoły się kłócą... co ja mogę?”. A ja odpowiem: zacznij od kuchni. Od stołu. Od korytarza. Od zdania, którego nie powiedziałeś, bo wolałeś mieć rację niż pokój.

Bo jedność chrześcijan zaczyna się od jedności we własnym domu. I nie chodzi o to, żeby

w domu nie było różnic. Różnice są normalne. Problem zaczyna się, gdy różnice stają się bronią, a nie rozmową.

W domu uczymy się najważniejszej ekumenii świata:

- czy potrafię przeprosić, zanim udowodnię,
- czy potrafię wysłuchać, zanim ocenię,
- czy potrafię powiedzieć „rozumiem”, nawet jeśli nie mówię „zgadzam się”.

Dom jest pierwszą szkołą Kościoła. Jeśli w domu nie ma łagodności, to potem w przestrzeni publicznej będę głosił pokój z twarzą człowieka, który jest w stanie wojny. I to ludzie wyczuwają szybciej niż najpiękniejsze argumenty.

3) Jedność chrześcijan: kiedy Ewangelia jest ważniejsza niż „moja wersja Ewangelii”

Jedność chrześcijan jest trudna, bo dotyczy dumy: tej dumy, która lubi mówić „my mamy rację”. Tymczasem chrześcijaństwo nie jest konkursem na bezbłędność. Chrześcijaństwo jest drogą uczniów za Chrystusem. A uczniowie – nawet ci najbardziej gorliwi – potrafią się spierać. Różnica jest taka, że uczeń nie może pozwolić, by spór zabił miłość.

Jedność chrześcijan nie zaczyna się od rezygnacji z prawdy. Zaczyna się od rezygnacji z pogardy. Od przyjęcia, że drugi chrześcijanin – nawet jeśli inaczej akcentuje, inaczej modli się, inaczej rozumie pewne sprawy – jest przede wszystkim bratem, a nie wrogiem.

I tu rodzi się kluczowa myśl: kiedy chrześcijanie żyją w jedności, świat zaczyna wierzyć, że pokój jest możliwy. Bo chrześcijanin, który nie umie żyć w jedności, jest jak latarnia bez światła: stoi, ale nie prowadzi.

Jedność chrześcijan jest więc zaczynem. Jeśli my – uczniowie Jezusa – nie umiemy mówić do siebie językiem szacunku, jak mamy uczyć tego narody?

4) Jedność religii i narodów: szacunek, który promieniuje

Teraz dopiero widać całą logikę: jedność chrześcijan otwiera przestrzeń dla jedności różnych religii – jedności rozumianej jako wzajemny szacunek, współpraca w dobru, obrona godności człowieka. To nie jest „wszyscy myślimy tak samo”. To jest: „wszyscy uznajemy, że człowiek nie jest narzędziem”.

Kiedy chrześcijanie są pojednani, mogą być wiarygodnymi budowniczymi mostów: w dialogu, w kulturze, w polityce, w sąsiedztwie. Wtedy rodzi się jedność narodów, nie jako uniform, lecz jako wspólna zgoda na to, że różnica nie upoważnia do nienawiści.

Narody uczą się od swoich wspólnot religijnych – czasem wprost, czasem przez klimat społeczny. Jeśli wspólnoty karmią gniew, narody będą ostrzejsze. Jeśli wspólnoty karmią pojednanie, narody staną się spokojniejsze. W tym sensie jedność narodów zaczyna się od jedności chrześcijan, bo chrześcijanie mają w rękach najbardziej odważne narzędzie społecznego pokoju: przebaczenie, które nie jest słabością, tylko siłą.

Zakończenie: pokój zaczyna się ode mnie – od tego, co robię, gdy nikt nie widzi

I wracamy do początku, do miejsca najbardziej osobistego. Można mówić o jedności narodów jak o wielkim projekcie. Ale wielkie projekty kończą się często na konferencjach. Jedność zaczyna się w małych decyzjach, które mają ogromną konsekwencję.

Pokój na świecie zaczyna się ode mnie. Od tego, czy ja sam potrafię żyć w zgodzie ze sobą. Od tego, czy moje myśli, słowa i czyny tworzą jedną linię – linię wiary. Od tego, co wybieram w ukryciu: czy plotkę, czy prawdę; czy szyderstwo, czy szacunek; czy wyższość, czy pokorę.

Tak wierzysz i tak żyjesz: że jedność zaczyna się od serca, które nie jest rozdarte. A potem idzie dalej – do domu, do Kościoła, do spotkania z innymi, aż w końcu promieniuje na narody. To jest droga, która wydaje się zbyt prosta, żeby była skuteczna... a jednak to właśnie tak działa Ewangelia: zaczyna od ziarnka gorczycy.

Bo Bóg nie zaczyna od imperiów. Bóg zaczyna od człowieka. I dlatego jedność – ta prawdziwa – zaczyna się nie „gdzieś”. Zaczyna się tu. W nas. Dzisiaj.





fot. Lera Ferlij

Betlejem Bożego Miłosierdzia w Płocku

ks. Jarosław Kamiński

Są miejsca, których nie da się zmierzyć miarą ulic ani murów. Miejsca, które nie krzyczą swoją wielkością, lecz mówią ciszą. Jakby ktoś zostawił w nich ślad światła. Takim miejscem jest Płock – Betlejem Bożego Miłosierdzia. To tutaj, w skromnym domu przy Starym Rynku, 22 lutego 1931 r. niebo pochyliło się nad ziemią. W ubogiej celi zakonnej Jezus po raz pierwszy objawił się siostrze Faustynie Kowalskiej ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia i powierzył jej tajemnicę, która miała obiec cały świat – orędzie miłości silniejszej niż grzech, nadziei większej niż lęk. „Pragnę, aby ten obraz czczono w kaplicy waszej i na całym świecie” – powiedział. Z tych słów narodził się wizerunek Jezusa Miłosiernego i proste wołanie serca: Jezu, ufam Tobie. Stąd wyruszyło w świat światło, które do dziś zapala w ludzkich sercach odwagę zaufania.

Zanim jednak Płock stał się kolebką orędzia o Bożym Miłosierdziu, był już domem miłosierdzia ludzkiego. Od końca XIX w. siostry pochylały się tu nad poranionymi losami dziewcząt i kobiet. W murach tego domu uczono się na nowo wiary w godność, sens i przyszłość. W ten cichy nurt codziennej dobroci Bóg wpisał misję św. Faustyny – jakby chciał, by orędzie Miłosierdzia wyrosło z miłosiernych rąk.

Historia tego miejsca nosi także znamię krzyża. Po II wojnie światowej siostry zostały wygnane, a dom pograżył się w ruinie. Lecz miłosierdzie – jak życie – potrafi powracać. Gdy w 1990 r. siostry znów przekroczyły próg zniszczonych murów, rozpoczął się czas cichego zmartwychwstania. Z gruzów rodziło się sanktuarium, a wraz z nim modlitwa, adoracja i nieustanne wołanie: „miej miłosierdzie dla nas i całego świata”.

Dziś do Płocka przybywają pielgrzymi z bliska i z daleka. Wielu z nich mówi, że tutaj łatwiej oddycha duszą, łatwiej uwierzyć, że Bóg naprawdę



jest blisko. Dlaczego Jezus wybrał właśnie to miasto – pozostanie tajemnicą. Ale jedno jest pewne: Płock stał się miejscem początku. To stąd wyruszyło w świat słowo, które nie starzeje się nigdy. Słowo, które podnosi z upadków, koi lęki i uczy zawierzenia: „Jezu, ufam Tobie”.





Tu śnieg nie jeno śniegiem jest – lecz płaszczem ciszy,
co świat nim okrył brzemie, którego nie uniósł.
A dłoń anielska, w marmur zaklęta, bez mowy rzecze:
„Miejsce strzegę dla tych, co byli tu krócej niżli zdanie,
a jednak dość długo, by serce całe na nowo napisać”.
O, jakże krótka chwila, a jak długi cień miłości!
Bo nie mierzy się jej w dniach, ni w kołyskach, ni w oddechach,
lecz w drgnieniu duszy, gdy nagle pojmie: „to było moje”.
I choć imię ledwie szeptem powiedziane,
w Niebie brzmi jak dzwon – i trwa, i trwa.

fot. Lera Ferlij

I po wizytacji

Wizytacja kanoniczna parafii za lata 2020–2025

ks. Jacek Laskowski



Kochani,
gdyby ktoś pytał, jak wypadła wizytacja kanoniczna w naszej parafii, to odpowiem jednym słowem: elegancko.

Naprawdę.
To był dobry czas. Intensywny, bardzo konkretny, wypełniony co do minuty. Jedno spotkanie za drugim. Jedna rozmowa za drugą. Jedna modlitwa po drugiej. W dniach 15 i 18 marca nasza parafia przeżywała wizytację kanoniczną, której przewodniczył ks. biskup Michał Janocha.

Wizytacja to nie tylko sprawdzenie dokumentów, ksiąg i formalności. Choć oczywiście i to było. Księgi zostały przejrane, sprawy duszpasterskie omówione, kwestie finansowe sprawdzone. I mogę spokojnie powiedzieć, cytując wizytatorów: mamy te sprawy „na najwyższym poziomie”. Choć pewne przecinki w każdej rzeczywistości można poprawić.

Ale wizytacja to przede wszystkim spotkanie. Spotkanie z parafią, czyli nie z adresem, nie



z budynkiem, nie z rubryką w kurialnych dokumentach, ale z ludźmi. Z twarzami. Z historiami. Z tym wszystkim, co tworzy codzienne życie naszej wspólnoty.

Odwiedziliśmy Siostry Duszy Chrystusowej, które mieszkają i posługują w naszej parafii. Było to szczególne spotkanie, ponieważ ks. Biskup po raz pierwszy miał okazję bliżej poznać to zgromadzenie i jego duchowość. A siostry – jak to siostry – nie robią wielkiego hałasu, ale robią wielkie dobro. Cicho, wiernie, codziennie.

Byliśmy także u Sióstr Dominikanek, które prowadzą swój dom zakonny w mieszkaniu, w bloku. I to jest obraz, który naprawdę zostaje w pamięci. Dom zakonny pośród zwykłych mieszkań. Modlitwa pośród codziennego życia. Cisza pośród wind, klatek schodowych i miejskiego pośpiechu. O tym szerzej pisze siostra Julietta w artykule „Babka Tower”, ale już samo spotkanie pokazało, że Pan Bóg potrafi urządzić sobie kaplicę także tam, gdzie człowiek spodziewałby się raczej domofonu niż kontemplacji.

Wizytacja kanoniczna parafii za lata 2020–2025

Ważnym momentem było również spotkanie z grupami parafialnymi. Młodzież z duszpasterstwa Karol podzieliła się swoim doświadczeniem wiary i Kościoła. I było to spotkanie wyjątkowe, bo obecne były na nim trzy pokolenia: młodzież, grupa Solaris, czyli nasze pokolenie średnie, oraz Żywy Różaniec – nasze niezastąpione seniorki, prawdziwy filar modlitwy parafialnej.

I powiem szczerze: kiedy widzi się obok siebie młodych, dorosłych i starszych, to człowiek rozumie, że parafia naprawdę żyje. Może nie zawsze wszystko jest idealne. Może czasem coś skrzypi. Ale skrzypią też dobre, stare drzwi, przez które od lat wchodzi się do domu.

Nie mogło zabraknąć spotkania z Radą Parafialną. Rozmawialiśmy o współczesnych problemach życia parafii i Kościoła. O tym, co nas cieszy. O tym, co nas boli. O tym, gdzie potrzeba cierpliwości, a gdzie odwagi. Bo parafia nie jest muzeum religijnych pamiątek, ale żywą wspólnotą, która musi umieć odpowiadać na pytania dzisiejszego człowieka.

Wizytacja to nade wszystko wspólna modlitwa. Były więc Msze Święte, podczas których poszczególne grupy dzieliły się swoją formacją duchową. Były schole, ratownicy, lektorzy, ministranci.

Byli ci, którzy często stoją trochę z boku, ale bez nich wiele rzeczy po prostu by się nie wydarzyło.

Ks. Biskup Michał skierował do nas Słowo Boże. Spokojne, mądre, głębokie. Takie, które nie krzyczy, ale zostaje w człowieku. A to jest chyba najlepszy rodzaj słowa.

W ramach wizytacji odwiedziliśmy również szkołę. Odbyło się bardzo dobre spotkanie z dyrekcją. Bez pośpiechu, spokojnie, rzeczowo porozmawialiśmy o edukacji, młodzieży i wyzwaniach współczesnego wychowania. Potem było spotkanie z młodzieżą. I ono było naprawdę świetne. Młodzi zadawali pytania ważne dla nich, a ks. Biskup odpowiadał, wchodząc z nimi w dialog. Bez tonu „z góry”, bez kazania do mikrofonu, ale po prostu – człowiek do człowieka.

A młodzież, jak wiemy, ma bardzo dobry radar na autentyczność. Można powiedzieć, że czyta szczerść szybciej niż telefon kod QR. I właśnie dlatego takie spotkania są potrzebne.

Dziękujemy za ten czas.

Za dobry czas wspólnej refleksji, modlitwy i rozmowy. Za spojrzenie z zewnątrz, które pomaga zobaczyć, co jest piękne, ale też co jeszcze





wymaga pracy. Bo wizytacja nie zamyka żadnego rozdziału. Ona raczej wkłada zakładkę między strony i mówi: dobrze, piszemy dalej.

Pięknie dziękuję ks. Biskupowi Michałowi za obecność, słowo, życzliwość i uważność. Dziękuję ks. Prałatowi Markowi oraz księżom: Piotrowi, Łukaszowi i Szymonowi, bo to ich codzienny wysiłek, modlitwa i zaangażowanie tworzą życie tej parafii.

Kulminacyjnym momentem wizytacji był sakrament bierzmowania, którego ks. Biskup udzielił naszej młodzieży, przygotowanej przez ks. Piotra. To był piękny znak nadziei: młodzi ludzie proszący o Ducha Świętego i wspólnota, która im towarzyszy modlitwą.



Po Eucharystii spotkaliśmy się przy wspólnym stole z kapłanami dekanatu wolskiego. Bo Kościół buduje się nie tylko przy ołtarzu, ale także w rozmowie, życzliwości i wspólnocie.

Dziękuję wszystkim grupom parafialnym, siostron zakonnym, Radzie Parafialnej, młodzieży, dzieciom, seniorom, rodzinom, parafianom i gościom.

Bo razem – i mówię to z wdzięcznością – tworzymy dobrą, piękną wspólnotę. Wspólnotę, w której dla każdego jest miejsce.

I oby tak dalej.

Z tą samą Ewangelią. Z tą samą modlitwą.

Z tą samą nadzieją. I z jeszcze większą miłością.



Ewolucja miłości i więzi pomiędzy małżonkami kontra sakrament małżeństwa

Bogdan Więckiewicz

Współczesny człowiek coraz częściej oceniany jest przez pryzmat sukcesu zawodowego. Na dalszy plan schodzi udane życie małżeńskie, czyli coś, co jeszcze nie tak dawno uważane było za najważniejszy cel w życiu. Większość badań socjologicznych wskazuje, że spośród wybieranych przez społeczeństwo polskie wartości, małżeństwo i rodzina nadal umieszczane są najczęściej na szczycie preferowanych wartości. Jednak badania wskazują, że są to często wartości deklarowane, a już niekoniecznie realizowane [1]. Wszystko to wynika z faktu, że dziś częściej liczy się dla człowieka kariera zawodowa, a nie ślub.

W obecnych czasach małżeństwo nie jest już postrzegane przez młodych w tak jednoznaczny sposób, jak jeszcze związek ich rodziców i dziadków. Wcześniej małżeństwo miało najczęściej charakter kościelny i było związkiem trwałym.



Od czasów Rewolucji Francuskiej wprowadzono instytucję rozwodów. Od tego okresu rozwody stają się coraz bardziej powszechne.

W XXI wieku małżeństwa są bardziej różnorodne. Zarówno pod względem trwałości związku, jak i osób, które decydują się na zawarcie małżeństwa. Jedne związki trwają kilka lat, inne kilkadziesiąt. Część związków jest po zdradach, terapii, a jeszcze



inne, chociaż na pozór wyglądają na idealne, tworzą toksyczne relacje. Dla wielu wyobrażenie o idealnym małżeństwie często jest konfrontowane z rzeczywistością życia. Współczesna kultura konsumpcyjna promuje utrzymywanie relacji, dopóki trwa miłość i dopóki dają one satysfakcję. Jeśli jedno i drugie ustają, to osoby te szukają nowych związków, a proces ten może się powtarzać wielokrotnie. Dziś coraz częściej obserwuje się erozję życia małżeńskiego. Jest to konsekwencja dominującej współcześnie kultury postmodernistycznej, laicyzacji i sekularyzacji życia społecznego obserwowanego we współczesnej Europie, w tym także w Polsce [2].

Można zauważyć pojawienie nowych wzorców oraz modeli życia rodzinnego, co nie oznacza, że dotychczasowe zanikają. Obecnie obserwuje się z jednej strony koegzystencję i formy mieszane, a z drugiej konkurencję różnych modeli życia małżeńsko-rodzinnego.

W aspekcie relacji: miłość, małżeństwo, szczęście rodzinne w życiu, socjologowie wyróżniają kilka podstawowych modeli.



Pierwszy model, powszechnie występujący wcześniej, to: ślub – dzieci – być może miłość. Taka forma zawierania związków małżeńskich charakterystyczna była dla przednowoczesnej Europy. Głównym celem człowieka było podporządkowanie się potrzebom wspólnoty. Podstawowym motywem ożenku było posłuszeństwo regułom stanu społecznego i majątku. Z tego względu nie zawsze uczucia i miłość były w centrum uwagi, co nie oznaczało, że w ówczesnych związkach miłość w ogóle nie miała znaczenia lub nie była czynnikiem sprawczym małżeństwa [3]. Najczęściej w tych czasach zdobywało się dobrą lub złą „partię”, wykonywało obowiązki na rzecz rodziny i wychowywało dzieci. Indywidualne szczęście miało nieco wtórny charakter.

Rozwód był w zasadzie niemożliwy. W takim związku niewiele było miejsca na prawdziwe uczucia miłości oraz partnerstwo duchowe [4]. Z czasem narastała pewna forma bliskości i miłości. Był to najczęściej efekt rodzicielstwa, troski o dzieci, wspólne wychowanie, opieka, praca w domu, wspólnym gospodarstwie, jak również wsparcie w kryzysach i chorobach.

Później pojawił się nowy model: miłość – ślub – dzieci. Ten model relacji małżeństwa i rodziny najbardziej charakterystyczny był dla drugiej połowy XX wieku. W Europie typowa rodzina składa się z męża, żony i dzieci. Miłość jest głównym czynnikiem sprawczym związku małżeńskiego. Żona przybiera nazwisko męża, obydwoje są tej samej narodowości, wyznają podobną religię, związek ten ma przetrwać całe życie. Na początku była romantyczna miłość, później ślub, następnie poświęcenie w celu wychowania dzieci. W tym czasie religia nadal odgrywa ważną rolę, podobnie jak tradycja, konwencje oraz normy obyczajowe i moralne regulujące życie małżeńskie i rodzinne.

Rozwód jest możliwy, ale łączył się zazwyczaj z obniżeniem reputacji, z tego względu decyzja o nim podejmowana jest zazwyczaj w przypadku permanentnego konfliktu [5].

W późniejszym czasie obserwujemy modyfikację podejścia do małżeństwa i rodziny. W ten sposób wyłania się trzeci model: miłość – ślub – być może dzieci – być może rozwód. Po koniec ubiegłego stulecia obserwuje się osłabienie wcześniejszych norm małżeńskich i rodzinnych. Instytucje te podlegają krytyce, szczególnie ze strony środowisk liberalnych, lewicowych oraz sympatyzujących z nimi ruchami feministycznymi. Coraz popularniejsze stają się związki dwojga osób bez ślubu, jako konsekwencja dominującej w tym czasie zindywidualizowanej miłości. Obowiązuje podstawowa dewiza, że należy realizować swoje życie bez oglądania się na zasady, także w sprawach miłości. Ze ślubu można zrezygnować lub na niego poczekać. Uczucia mają charakter niestabilny. Najpierw jest wielka romantyczna miłość oparta na bazie osobistego wyboru, atrakcyjności fizycznej oraz wizji nieograniczonych możliwości w realizacji wspólnego szczęścia.

Ponieważ miłość ta nie jest potwierdzona żadnym trwałym formalnym związkiem, gdy przemija, zanikają także podstawy trwania partnerstwa, podobnie jak i obietnice wspólnego szczęścia. Uważa się, że wręcz nakazem rozsądku jest przerwanie relacji, która nie daje satysfakcji. Jeżeli ktoś był w związku małżeńskim, to czymś normalnym jest rozwód jako następstwo niezrealizowania szczęśliwej miłości.

Kolejne przemiany życia małżeńsko-rodzinnego prowadzą do powstania czwartego modelu: miłość – być może dziecko – być może ślub – być może rozwód – być może znowu miłość – być może znowu dziecko. Ten model zindywidualizowania miłości upowszechnił się na początku obecnego stulecia. Model ten ma formę bardziej radykalną od poprzedniego. Podstawowe nastawienie jest na zaspokojenie przede wszystkim własnej satysfakcji. Dążenie do szczęścia nie zna w tym przypadku niemalże żadnych granic [6]. Zmienia się postrzeganie miłości, postrzeganie dziecka, troska o powiększanie majątku i utrzymanie, ale także postrzeganie partnera/partnerki, ewentualnie męża/żony. Osoby w związku

skupiają się przede wszystkim na sobie. Partner musi się czymś wyróżniać, być atrakcyjny pod jakimś względem – być oryginalny. Nieważna jest narodowość, wyznanie drugiej osoby.

Następuje przejście od miłości do partnerstwa, ewentualnie małżeństwa lub za jakiś czas rozwodu. W tej radykalnie zindywidualizowanej miłości winą za rozwód zawsze obarcza się drugą stronę. W tym modelu czymś niemalże normalnym staje się drugi związek, a gdy i ten nie daje satysfakcji, to można zdecydować się na ponowny. Z każdego z nich mogą zrodzić się dzieci, dla których problemem jest to, kogo zaliczyć do członków rodziny, gdyż potencjalnych ciotek, wujków czy innych kuzynów jest zbyt wielu. Mamy tu do czynienia z rodziną patchworkową. Na rodzinnych uroczystościach można spotkać byłą żonę, a do tego dochodzi mąż drugiej żony, dzieci z pierwszego i drugiego małżeństwa i ich potomstwo. Ślub lub rozwód stają się powszechne i mają charakter przede wszystkim manifestacji własnej indywidualizacji życia.

Obecnie można mówić o tzw. rodzinach światowych. Tworzą je osoby różniące się pod wieloma względami. Małżonkowie mogą pochodzić z innego kraju, jedno z nich może być wierzące, a drugie przeciwnikiem religii, jedno z nich może mieć poglądy liberalne, a drugie konserwatywne. Podobne zróżnicowanie dotyczy pozostałych członków rodziny: dzieci lub teściów. Zarówno w małżeństwie, jak i rodzinie mogą występować różne sprzeczności pomiędzy wzorcami miłości, modelu rodziny, sposobu wychowania dzieci czy celów życiowych.

Współczesna tzw. nowoczesna kultura promuje zmianę podejścia do miłości i intymności. Podejście to określane jest mianem „uniwersalistycznego” oraz „kosmopolitycznego”. Podejście uniwersalistyczne podkreśla wielką transformację intymności oraz miłość połączoną z tzw. europejską nowoczesnością, połączoną z nowymi pojęciami miłości, równości i wolności. Konsekwencją tych zmian jest redefinicja miłości

nazywana przez socjologów jako „chaos miłości”. W podejściu kosmopolitycznym, w rodzinach modele miłości i kultury różnych krajów łączą się ze sobą, a często zderzają. Rodziny światowe tworzą swego rodzaju mieszaninę nowoczesności i tradycji, dystansu i bliskości, obcości i zaufania, nierówności i równości. Wszystkie te zawirowania i mieszanki są rezultatem procesów globalizacji, kultury postmodernistycznej, a w konsekwencji trendy te odzwierciedlają się także w życiu prywatnym małżonków i rodziny.

Współcześnie mamy różnorodne formy życia małżeńsko-rodzinnego. Wynika to między innymi z dużego przyzwolenia społecznego. Można zdecydować się na zawarcie związku małżeńskiego, być w związku nieformalnym, zdecydować się na rozwód, założyć ponowny związek lub być osobą samotną – tzw. singlem. Może to być osobisty wybór człowieka, ale w niektórych przypadkach jest to podyktowane sytuacją życiową, wbrew danej osobie. Wszystko to dzieje się we współczesnej rzeczywistości, w której jednym z naczelnych wartości jest indywidualizm [7]. Człowiek może wybierać spośród szerokiej palety możliwości i różnorodności form życia. Także charakterystycznym zjawiskiem życia jest niestabilność rodziny. Natomiast badania socjologiczne potwierdzają, że osoby żyjące w trwałych związkach małżeńskich, w których jest wzajemny szacunek, miłość, zrozumienie i wsparcie, częściej doświadczają poczucia zdrowia psychicznego, bezpieczeństwa i stabilności. Dla dzieci trwałe związki małżeńskie swoich rodziców indukuje stabilność emocjonalną, poczucie miłości i bezpieczeństwa. Chociaż małżeństwo samo w sobie nie jest sposobem na pozbycie się problemów w relacji, to jednak ułatwia radzenie sobie z nimi – znacznie bardziej niż w związku partnerskim, nieformalnym lub w samotności. Tam kłopoty o wiele szybciej można rozwiązać – rozstając się z partnerem, pozostawiając go samego z bagażem problemów.

Należy mieć świadomość, że sam związek małżeński nie oznacza braku problemów, różnicy zdań i konfliktów. Zwłaszcza po dłuższym stażu

małżeńskim, gdy słabnie zauroczenie, więź emocjonalna czy miłość. Kryzys małżeński często jest wpisany w związek. Natomiast poradzenie sobie z nim wymaga otwartości, komunikacji, rozmowy, często ustępstw, kompromisów, gotowości do porozumienia i zmiany własnego stanowiska. Według Karla Pillemera, który zajmuje się tematyką rozwodów i radzeniem sobie z konfliktami małżeńskimi, na podstawie badań i obserwacji naukowych twierdzi, że ochłodzenie relacji małżeńskich zagraża ludzkiemu szczęściu i zdrowiu na cztery sposoby. Po pierwsze, konflikty lub utrata relacji małżeńskich często prowadzą do permanentnego stresu. Po drugie, osłabienie relacji małżeńskich zakłóca biologiczne wzorce przywiązania, powoduje poczucie niepewności oraz wzbudza lęk. Po trzecie, rozwód może powodować odrzucenie społeczne. Po czwarte, rozłam małżeński narusza jedną z podstawowych potrzeb psychologicznych, jaką jest poczucie bezpieczeństwa i pewności. Skutki rozwodu małżeńskiego mogą być odczuwane nawet po wielu latach, czego jedną z istotnie szkodliwych konsekwencji jest życie w chronicznym stresie przez długi czas [8].

Dla katolika szczególną rolę pełni sakrament małżeństwa, którego właściwe zrozumienie pozwala przetrwać wszelkie trudności. Znaczenie małżeństwa wielokrotnie podkreślali w swoim nauczaniu papieże, jak chociażby Jan Paweł II, Benedykt XVI czy Franciszek. Papież Franciszek tak definiuje małżeństwo: „Małżeństwo chrześcijańskie, będące odzwierciedleniem jedności między Chrystusem a Jego Kościołem, realizuje się w pełni w jedności i jedności mężczyzny i kobiety, którzy oddają się sobie nawzajem w wyłącznej miłości i dobrowolnej wierności, należą do siebie aż do śmierci, nie przekazując życia, święceni sakramentem, który udzielił im łaski, aby stawali się Kościołem domowym i zaczęli nowego życia dla społeczeństwa. Inne formy związków są radykalnie sprzeczne z tym ideałem, chociaż niektóre z nich realizują go przynajmniej częściowo i analogicznie.”

— Franciszek, *Amoris Laetitia* 202

Franciszek, *Przemysław, Adhortacja Apostolska „Amoris laetitia” o miłości o miłości w rodzinie*, Wydawnictwo 2016, s. 230



się w pełni w jedność mężczyzny i kobiety, którzy oddają się sobie nawzajem w wyłącznej miłości i dobrowolnej wierności, należą do siebie aż do śmierci i są otwarci na przekazywanie życia, uświęceni sakramentem, który udziela im łaski, aby stawali się Kościołem domowym i zaczynem nowego życia dla społeczeństwa. Inne formy związków są radykalnie sprzeczne z tym ideałem, chociaż niektóre z nich realizują go przynajmniej częściowo i analogicznie” (Franciszek 292) [9].

Puentą właściwie pojmowanego katolickiego małżeństwa niech będą słowa Jana Pawła II: „Sakrament zawiera w sobie wyraźne zobowiązania, wierność, miłość, uczciwość. Są to zobowiązania natury moralnej. Małżeństwo, rodzina buduje się na ich gruncie. W ten sposób staje wspólnotą godną ludzi, prawdziwą wspólnotą życia i miłości. Arką przymierza z Bogiem, Chrystusem” (Jan Paweł II) [10].

Jakże wymowne jest zdanie na temat małżeństwa, które często wypowiadał znany kaznodzieja ksiądz Piotr Pawlukiewicz: „Kto rozumie sakrament małżeństwa, jest mądry; kto go przestrzega, jest święty”.

Bibliografia i przypisy

1. Mariański J., *Małżeństwo i rodzina w świadomości młodzieży maturalnej – stabilność i zmiana*, Toruń 2012.
2. Mariański J., *Sekularyzacja i desekularyzacja w nowoczesnym świecie*, Lublin 2006.
3. Dyczewski L., *Więź między pokoleniami w rodzinie*, Lublin 2020.
4. Adamski F., *Rodzina. Wymiar społeczno-kulturowy*, Kraków 2002.
5. Beck U., Beck-Gernsheim E., *Miłość na odległość. Modele życia w epoce globalnej*, Warszawa 2013.
6. Beck U., Beck-Gernsheim E., *Miłość na odległość. Modele życia w epoce globalnej*, Warszawa 2013.
7. Szwejka Ł., Więckiewicz B., Nowakowski P.T., *Między wspólnotą a wyobcowaniem. Człowiek w kontekście współczesnych przeobrażeń społeczeństwa i rodziny*, Kraków 2021.
8. Pillemer K., *Rozłam w rodzinie. Jak uzdrowić relacje z bliskim*, Kraków 2022.
9. Franciszek, *Posynodalna Adhortacja Apostolska „Amoris laetitia” o miłości w rodzinie*, Watykan 2016.
10. Słowa te pochodzą z homilii wygłoszonej przez papieża Jana Pawła II podczas Mszy św. w Kaliszu 4 czerwca 1997 roku podczas VI podróży apostolskiej do Polski.



*Kto rozumie sakrament małżeństwa, jest mądry;
kto go przestrzega, jest święty*

ksiądz Piotr Pawlukiewicz



fot. Lera Ferlij

Porwanie Europy

Agnieszka Machowska

Wieczór paniński zwykle kojarzy się z głośną muzyką, klubami i zabawą do białego rana. Tym razem postanowiłyśmy jednak świętować inaczej. Zamiast hałasu wybrałyśmy teatr. Zamiast przypadkowych atrakcji – spotkanie ze sztuką. I był to wybór, którego żadna z nas nie żałowała.



Nasz wieczór rozpoczęłyśmy w Teatrze Królewskim w Starej Oranżerii w Łazienkach Królewskich. Już samo miejsce tworzy niezwykłą oprawę wydarzenia. Kameralna przestrzeń, historyczne wnętrza i atmosfera dawnego teatru sprawiają, że człowiek od pierwszej chwili czuje się uczestnikiem czegoś wyjątkowego.

Na scenie zobaczyłyśmy spektakl „Porwanie Europy” Jarosława Marka Rymkiewicza w wykonaniu Teatru Klasyki Polskiej. Dla nas miał on jeszcze jeden szczególny wymiar – w tytułową rolę Europy wciela się przyszła panna młoda. To sprawiło, że emocje towarzyszyły nam od pierwszej do ostatniej minuty przedstawienia.

Sztuka Rymkiewicza okazuje się niezwykle aktualna. Autor z dużą dozą ironii i błyskotliwego humoru przygląda się współczesnej Europie, jej zagubieniu, kryzysowi wartości i poszukiwaniu własnej tożsamości. Brzmi poważnie, ale reżyser Jarosław Gajewski unika ciężkiego tonu. Zamiast wykładu otrzymujemy żywiołową farsę pełną energii, ciętych dialogów i komicznych sytuacji.

To właśnie humor jest jedną z największych sił tego spektaklu. Śmiech na widowni pojawiał się nieustannie. Były momenty, kiedy trudno było

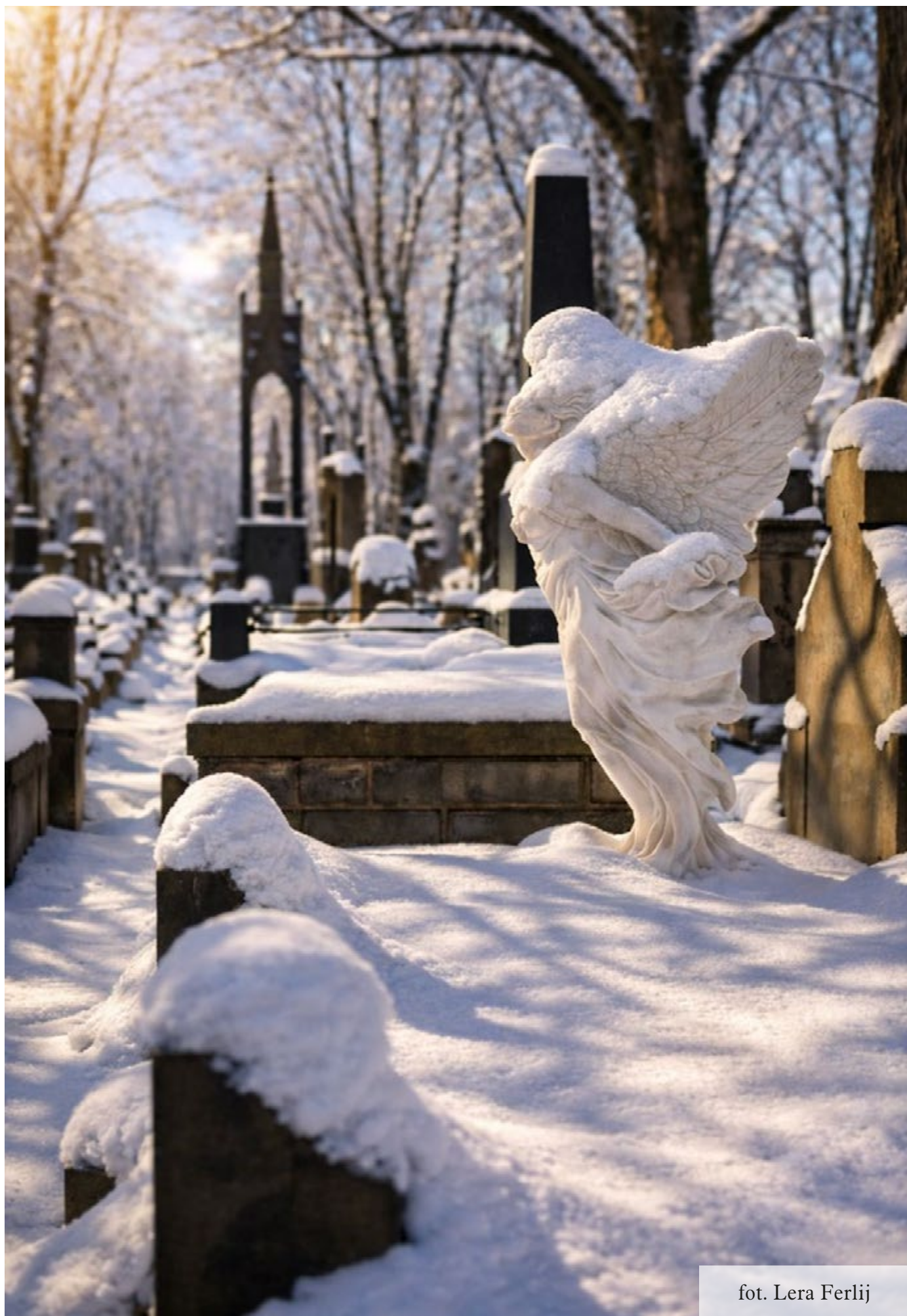


złapać oddech. Komizm nie służy tu jednak jedynie rozrywce. Pod warstwą dowcipu kryje się celna diagnoza współczesności. Widz śmieje się, a chwilę później zaczyna zastanawiać się, czy przypadkiem nie śmieje się także z samego siebie.

Na szczególne uznanie zasługuje zespół aktorski, który z ogromną swobodą prowadzi widza przez tę pełną absurdów opowieść. Każda postać jest wyrazista, a tempo spektaklu nie pozwala choćby na moment stracić uwagi. W roli Europy przyszła panna młoda zachwyca naturalnością, sceniczną energią i umiejętnością budowania kontaktu z publicznością. Byłyśmy dumne, wzruszone i pełne podziwu.

Po zakończeniu spektaklu długo jeszcze rozmawiałyśmy. O teatrze. O życiu. O tym, co nas rozbawiło, a co skłoniło do refleksji. I właśnie wtedy zrozumiałyśmy, że teatr okazał się idealnym początkiem wieczoru panińskiego. Pozwolił nam przeżyć coś razem. Dał wspólne emocje, wspomnienia i tematy do rozmów, które zostały z nami znacznie dłużej niż trwa samo przedstawienie.

„Porwanie Europy” to spektakl inteligentny, zabawny i zaskakująco aktualny. Pokazuje, że klasyka może być żywa, odważna i bardzo współczesna. A dla nas stał się również pięknym przypomnieniem, że najcenniejsze chwile nie zawsze rodzą się w blasku reflektorów klubowej sceny. Czasem wystarczy teatr, przyjaźń i kilka godzin spędzonych razem, by stworzyć wspomnienie, które pozostanie w sercu na długo.



fot. Lera Ferlij

Gdy piękno świeci

mec. Grażyna Kuźma

To duchowe serce stolicy, w którym piękno sztuki, dramat dziejów i codzienna troska o zmarłych splatają się w opowieść większą niż zwykły spacer po cmentarzu.

Warto wejść w tę opowieść, bo Stare Powązki przypominają, że Warszawa żyje nie tylko dzisiejszym rytmem, lecz także pamięcią, wdzięcznością i modlitwą za tych, którzy byli przed nami.



Stare Powązki – duchowe serce Warszawy

W Warszawie w dużej metropolii, w środku Europy, są miejsca tętniące życiem, głośnie ulice, place, mosty, ronda, ruchliwe skrzyżowania, ale są i miejsca zupełnie inne, takie, które przemawiają ciszą i spokojem. Do tych drugich należą nasze Stare Powązki, wspaniała nekropolia, w której pamięć osobista o naszych najbliższych splata się z pamięcią zbiorową, a historia z codziennym rytuałem odwiedzin, modlitwy i zadumy.



Założone w 1790 r. i poświęcone w 1792 r., Stare Powązki dziś zajmują ok. 44 ha, powierzchnię odpowiadającą powierzchni państwa Watykan i kryją ok. 1,5 mln pochówków, to swoiste miasto w mieście, ale zarazem przestrzeń, w której Warszawa odnajduje swoją duchową ciągłość.

Panteon narodowy: tożsamość zapisana w imionach i nazwiskach

O Powązkach mówi się czasem „narodowy panteon”... i nie jest to metafora na wyrost. Spoczywają tu pisarze, duchowni, uczeni, artyści, lekarze, prawnicy, żołnierze kolejnych zrywów i wojen, czyli ci, którzy współtworzyli język, kulturę i instytucje polskiej nowoczesności. Symbolicznym skrótem tej powązkowskiej opowieści jest Aleja Zasłużonych, wytyczona w 1925 r. przy katakumbach: miejsce honorowego pochówku wybitnych postaci kultury, sztuki czy polityki, w którym to miejscu pamięć państwowa spotyka się z pamięcią miasta.

Ale „duchowe serce” Warszawy bije nie tylko wśród nazwisk rozpoznawalnych z podręczników. W tej samej przestrzeni są groby warszawskich rodzin, powtarzające się imiona, stare i nowe zdjęcia w owalnych lub nowoczesnych ramkach, daty ludzkich historii przerwanych w połowie ich biegu. To właśnie współlistnienie „wielkiej historii” i tysięcy biografii codziennych „zwykłych” mieszkańców Warszawy czyni Stare Powązki miejscem, w którym warszawskość staje się czymś namacalnym: wspólnotą losu, pracy, cierpienia i nadziei mieszkańców Stolicy – jej duchowym sercem.



Obraz Aleksandra Lessera – Pogrzeb Pięciu Poległych 1861 r. /Wikipedia/
Sam A. Lesser jest pochowany na sąsiednim Cmentarzu Żydowskim.

Duchowość i historia: rytuały, które budują wspólnotę

W czasie zaborów cmentarze w wymazanej z mapy świata Polsce były jednymi z niewielu przestrzeni, w których można było opowiadać o polskiej wspólnocie narodowej bez słów – symbolami, pieśnią, konduktem, pomnikiem, bukietami biało-czerwonych kwiatów, stawianymi pomnikami i napisami na nagrobkach. Stare Powązki stały się wówczas nie tylko miejscem pochówków, lecz także sceną zbiorowych pożegnań, które zamieniały się w manifestacje pamięci i narodowego sprzeciwu. Miejscem, gdzie pomniki i napisy na nich podlegały ocenzurowaniu, aby nie mogły za bardzo odzwierciedlać patriotycznego, narodowego ducha. Ten wymiar „obywatelskiej żałoby” przetrwał w tradycji miasta do dzisiaj w listopadowym świetle zniczy zapalanych przez

obcych na grobach nieznanym spoczywającym na Starych Powązkach ludzi, których rodziny już dawno odeszły. Idąc w tłumie alejkami, w odruchu zatrzymania się przy mogile nieznanej osoby tylko dlatego, że obok płonie świeca i zapalając znicz tam, gdzie go zabrakło, bo nie ma już tych, którzy mogliby taki znak pamięci i modlitwy postawić.

Stare Powązki pamiętają pogrzeby, które stały się manifestacją patriotyzmu i sprzeciwu przeciwko zaborcom. Szczególne miejsce w pamięci Warszawy zajmuje pogrzeb tzw. Pięciu Poległych – ofiar starcia z wojskiem rosyjskim 27 lutego 1861 r. podczas patriotycznej manifestacji na Krakowskim Przedmieściu. Warto w tym miejscu opisać dodatkowy dramatyzm tej sytuacji i wspomnieć, że ciała zabitych złożone w Hotelu Europejskim były pilnowane przez

Gdy piękno świeci

społeczny komitet złożony z członków Towarzystwa Rolniczego w obawie przed próbą wykradzenia ich przez carską policję. Mający swój zakład fotograficzny na parterze Hotelu Europejskiego Karol Beyer sfotografował poległych każdego z profilu, na zdjęciach widać odsłonięte rany ofiar. Zdjęcia skomponowane razem złożyły się na patriotyczne tableau – zapomnianą dzisiaj formę, jakże analogiczną do znanych nam dzisiaj mediów społecznościowych – wyobraźmy sobie ówczesne „zasięgi” tableau, które zostało powielone w wielu egzemplarzach i rozpowszechnione w całym kraju.

Uroczystości żałobne 2 marca 1861 r. rozpoczęły się w kościele Świętego Krzyża i stały się wielką demonstracją przeciwko zaborcy, kondukt żałobny przeszedł przez centrum Stolicy ówczesnym

placem Saskim i dalej ówczesnymi ulicami Wierzbową, Bielańską i Nalewkami na Powązki.

W kondukcie pogrzebowym, którego wielkość ówczesna prasa szacowała na ponad 100 tys. osób, tłumnie uczestniczyli mieszkańcy Warszawy, przedstawiciele różnych stanów oraz wyznań – obok duchowieństwa katolickiego szli także duchowni ewangeliccy i rabini, robotnicy i zacni mieszcianie, obywatele ziemscy i rzemieślnicy, reprezentanci różnych cechów. Na pogrzeb przybyły także delegacje patriotyczne z poznańskiego i krakowskiego. Poległych złożono we wspólnym grobie niedaleko katakumb, byli to: Filip Adamkiewicz – czeladnik krawiecki, Michał Arcichiewicz – 16-letni uczeń Gimnazjum Realnego, Karol Brendel – robotnik metalowiec, ślusarz, Marceł Paweł Karczewski – ziemianin,



ORSZAK POGRZEBOWY k. p. STANISŁAWA MONIUSZKI W DNIU 7 CZERWCA R. B. (22/89)

(Krakowskie-Przedmieście.) Rysował z natury Henryk Pillati.

Rycina – orszak pogrzebowy Stanisława Moniuszki – źródło Wikipedia



Nekrolog Grzegorza Przemyka – źródło Wikipedia

i Zdzisław Rutkowski, także ziemianin. Miejsce ich pochówku na Starych Powązkach szybko stało się celem patriotycznych pielgrzymek. Pomnik na ich grobie wobec ograniczeń zaborcy, projektu Bolesława Dobrzyńskiego, mógł powstać dopiero w 1915 r. Do dziś najbliższa od strony centrum miasta brama cmentarna nosi symboliczną nazwę Bramy Pięciu Poległych.

Podobny charakter miało ostatnie pożegnanie Stanisława Moniuszki w 1872 r. – kompozytora, którego twórczość była szczególnie dla Jego współczesnych nośnikiem „polskości” mimo cenzury i represji zaborców. Jak przypominają historycy, na podstawie doniesień ówczesnej prasy, pogrzeb Moniuszki przerodził się w patriotyczną manifestację, w której uczestniczyły dziesiątki tysięcy mieszkańców Warszawy. W tych chwilach patriotycznych uniesień

Powązki były nie tylko miejscem ciszy i zadumy, ale też zbiorowym głosem miasta – głosem, który mówił o godności i trwaniu w polskości, gdy ze względów politycznych nie można było powiedzieć tego wprost.

W czasie II wojny światowej Stare Powązki pozostawały świadkiem dramatycznych losów Stolicy. Pod koniec wojny spłonął kościół św. Karola Boromeusza i zabudowania kancelarii parafialnej wraz z archiwum, co na lata utrudniło identyfikację znajdujących się na cmentarzu grobów. Jednocześnie wiemy, że na terenie nekropolii działała Armia Krajowa, a cmentarne nagrobki i zabudowania służyły m.in. jako miejsce konspiracyjnej aktywności. W ten sposób przestrzeń modlitwy i pożegnań stała się w czasach II Wojny Światowej duchowym sercem oporu niezwykłego walczącego miasta.

Także w czasach PRL-u Stare Powązki nie przedstawiały pełnić swojej roli duchowego serca Stolicy. Ten sam mechanizm jak w czasach rozbioru – żałoba przeradzająca się w publiczny sprzeciw – powrócił na Stare Powązki przy okazji pogrzebu Grzegorza Przemyka, syna poetki Barbary Sadowskiej i działaczki Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, dziewiętnastoletniego maturzysty śmiertelnie pobitego przez funkcjonariuszy milicji i zmarłego 17 maja 1983r. Pogrzeb Grzegorza Przemyka odbył się 19 maja 1983 r. i stał się jedną z największych manifestacji społecznych w Polsce po wprowadzeniu stanu wojennego. Ceremonię poprzedziła Msza Św. w Kościele pod wezwaniem św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Według danych Instytutu Pamięi Narodowej w uroczystościach uczestniczyło kilkadziesiąt tysięcy osób. Mszy żałobnej przewodniczył śp. Bp Władysław Miziołek (także spoczywający na Naszym Cmentarzu), a w koncelebrze uczestniczył m.in. Bł. Ks. Jerzy Popiełuszko. Pamiętamy zapewne tę scenę z filmu „Popiełuszko, wolność jest w nas”gdy zebrani w kondukcje pogrzebowym, idąc w milczeniu na Stare Powązki, unoszą ręce w geście solidarności – kto nie widział tego filmu, niech koniecznie zobaczy, kto oglądał – warto obejrzeć jeszcze raz... Sprawę śmierci Grzegorza Przemyka przywoływał później wiele razy w kazaniach Bł. Ks. Jerzy Popiełuszko.

Stare Powązki po raz kolejny zadziałały jak swoiste zwierciadło miasta, to na Starych Powązkach, jak wiele razy w historii Warszawy, w chwili próby wspólnota znalazła potrzebne to specjalne miejsce, tą swoistą platformę i duchową przestrzeń, gdzie wspólnota potrafi przemawiać jednym, cichym, ale czytelnym znakiem.

Sztuka i architektura – uczta duchowa – muzeum pod gołym niebem

Wystarczy kilka kroków spaceru po Starych Powązkach, by zrozumieć, dlaczego Powązki nazywa się galerią sztuki sepulkralnej. Nagrobki i kaplice – od klasycyzmu, przez romantyzm, po secesję – tworzą opowieść o języku symboli o aniołach,

płaczkach, wieńcach, kolumnach i krzyżach, które mówią o przemijaniu, ale też o godności i miłości. To „muzeum” ma przy tym szczególną cechę – nie odgradza gości od eksponatów. Tu sztuka jest częścią rytuału pamięci, a piękno nie jest pustą dekoracją, tylko formą hołdu i miarą pamięci – swoistą wizualizacją miłości najbliższych.

U początku kompozycji cmentarza stoi myśl urbanistyczna końca XVIII wieku. Cmentarz założono 4 listopada 1790 r., a w 1792 r. ukończono budowę kościoła św. Karola Boromeusza, projektu Dominika Merliniego, który do dziś pozostaje symbolicznym centrum nekropolii. Jeszcze przed poświęceniem cmentarza wystawiono też tzw. katakumby, jedne z najnowocześniejszych w ówczesnej Europie, ich długi mur i arkady porządkują przestrzeń, a zarazem wprowadzają ton powagi, który odróżnia Stare Powązki od zwykłego cmentarza czy parku pamięci.

Współczesność: ochrona dziedzictwa i codzienna odpowiedzialność za duchowe serce Warszawy...

Dziś Stare Powązki są jednocześnie zabytkiem i wciąż czynną nekropolią, a także skarbnicą pamięci i jedynym miejscem, gdzie zachowała się dusza przedwojennej Warszawy. Czuje się w tym miejscu napięcie pomiędzy przeszłością a teraźniejszością i jest to jedno z największych wyzwań – jak zachować historyczny charakter tego wspólnego miejsca, a zarazem nie zamienić go w „zamknięte muzeum” oderwane od współczesnego ducha miasta. Jak dbać o kruche nagrobki i ich detale rzeźbione mozolnie i z pietyzmem w epoce, w której miasto przyspiesza, a zanieczyszczania i czas wykonują swoją niszczyielską pracę szybciej niż konserwatorzy...

Odpowiedź Warszawy na to napięcie ma znowu charakter wspólnotowy – w opiekę nad cmentarzem oprócz wspólnoty Kościoła włączają się różne instytucje, organizacje społeczne i mieszkańcy. Coroczne zbiórki na ratowanie nagrobków Starych Powązek stały się niemal osobnym rytuałem

już nie tylko miasta, ale całego kraju, transmitowane przez niemal wszystkie kanały telewizyjne. Jest to bez wątpienia najbardziej rozpoznawalna w kraju listopadowa kwesta, podczas której co roku kwestują na Starych Powązkach ludzie kultury i sztuki, zbierając środki na konserwację kaplic, rzeźb i nagrobków. Dzięki inicjatywom Fundacji Archidiecezji Warszawskiej Stare Powązki na Starych Powązkach odbywają się spotkania muzealne dla dzieci i młodzieży, dostępna jest bezpłatna aplikacja umożliwiająca zwiedzanie cmentarza różnymi trasami, pozwalająca na wszechstronne poznanie historii nekropolii. Liczne konferencje naukowe i wydawnictwa książkowe na temat Starych Powązek – to wszystko sprawia, że Stare Powązki nie są wyłącznie miejscem pochówku zmarłych, a są miejscem, w którym żywi uczą się odpowiedzialności za pamięć o tych, którzy odeszli do życia wiecznego i, jak wierzymy, którzy spotkają się z nami na końcu czasów.

Właśnie dlatego Stare Powązki nie przestają być dla mieszkańców stolicy, dla nas wszystkich tym duchowym gorąco bijącym sercem Warszawy. Nie tylko dlatego, że są najspokojniejszym nostalgicznym fragmentem miasta, ale dlatego, że skupiają jego sumienie, przypominają o ciągłości pokoleń, o cenie wolności, o wartości pracy i talentu, a także o kruchości ludzkiego życia doczesnego.

Kiedy wychodzi się poza bramę Św. Honoraty, przechodzi się symboliczną granicę – ruch i gwar ulicy sprawia, że niemal natychmiast wracamy do współczesności, lecz przez chwilę łatwiej nam pamiętać, że miasto to nie tylko teraźniejszość, lecz także ci wszyscy, którzy je zbudowali i którym wciąż jesteśmy winni pamięć i modlitwę – w samym duchowym sercu Warszawy – na Starych Powązkach.



fot. Lera Ferlij



NOWOŚĆ
W BIBLIOTECE CYFROWEJ

POWĄZKOWSKIE BIOGRAFIE

CZĘŚĆ 1

Pierwsza część
nowego rocznika
już **dostępna**

BEZPŁATNIE
DO POBRANIA



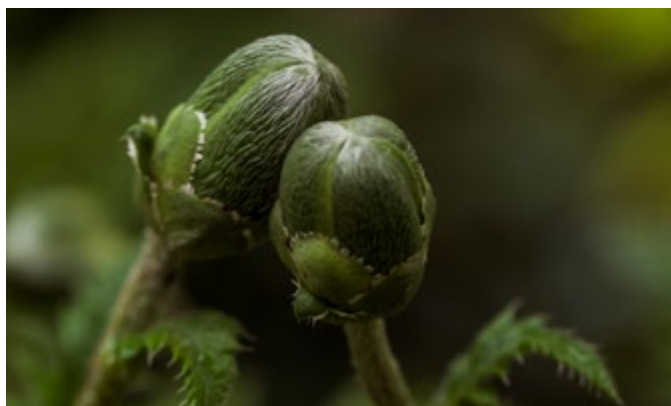
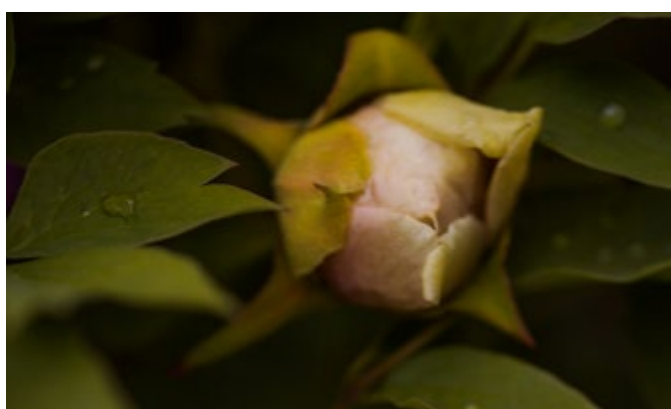
ODWIEDŹ:
fundacja.stare-powazki.pl/biblioteka



PUBLIKACJE WYDAWANE PRZEZ FUNDACJĘ STARE POWĄZKI

Obowiązek wobec życia i śmierci

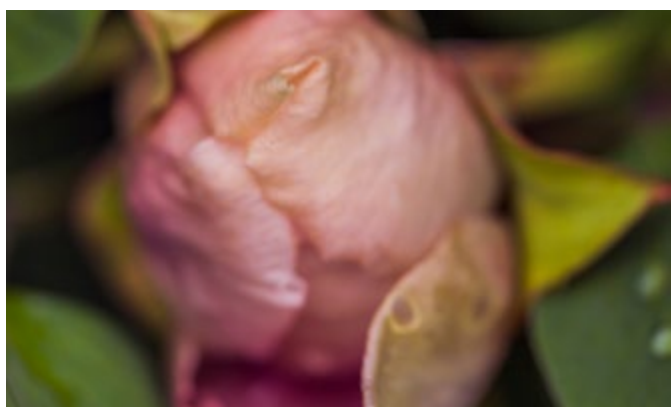
tekst i zdjęcia: Beata Bartecka



W życiu jest jedna niezaprzeczalna pewność – że przyjdzie moment, w którym wszystko, co znamy, rozpuści się w ciszy.

Ciało odda się ziemi. Rzeczy stracą znaczenie. To, co materialne, opadnie jak liście z drzew u kresu sezonu.

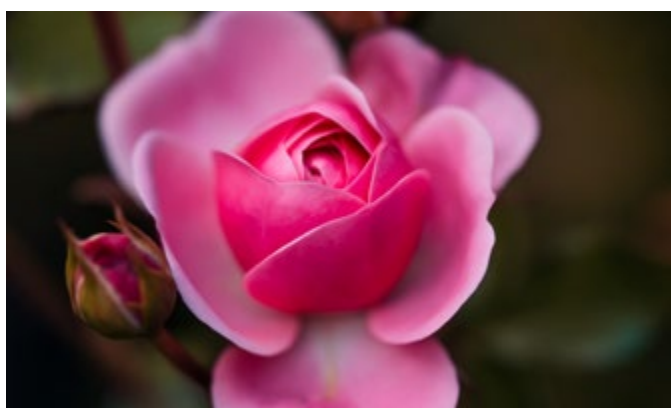
I zostanie tylko to, co było naprawdę przeżyte.



Życie płynie jak rzeka – czasem niesie nas gwałtownie, czasem kołysze spokojnie. A my, idąc jego brzegiem, nieustannie zbieramy.

Nieruchomości. Meble. Przedmioty. Ubrania. Bibeloty. Rzeczy praktyczne i te, które jedynie zdobią. Pamiątki. Wspomnienia. Relacje. Ślady bliskości.

Z biegiem czasu nasze dłonie stają się pełne.



Naturalne jest posiadanie. Nienaturalne – zatrzymywanie wszystkiego bez refleksji.

Dlatego jedną z najważniejszych umiejętności, jakie warto w sobie rozwijać, jest zdolność regularnego porządkowania i rozstawania się z tym, co spełniło już swoją rolę.

Równie ważna jak przyjmowanie jest umiejętność puszczania.

Dzieci wiedzą to najlepiej. Szybko przechodzą etapy przywiązywania i odwiązywania się od swoich zabawek. To właśnie wtedy rodzic może przekazać dziecku jedną z ważniejszych lekcji życia – że rzeczy również mają swój cykl.

Może zaprosić dziecko do świadomej decyzji: co warto przekazać dalej, być może do domu dziecka, co sprzedać na lokalnym pchlim targu, a co po prostu oddać ziemi i pozwolić temu odejść.

To lekcja porządku, ale też odpowiedzialności.

Posiadanie jest formą opieki.

Każda rzecz chce być widziana i używana zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Przedmioty pozostawione w zapomnieniu powoli tracą swoją funkcję i sens, obrastając kurzem.

Prawdziwy gospodarz powinien choć raz do roku zajrzeć do najdalszego i najciemniejszego kąta swojego królestwa – po to, by nie dopuścić do wolnej degradacji.

Dlatego warto pytać siebie cicho i uczciwie: ile naprawdę mogę unieść? Ile przestrzeni jestem w stanie wypełnić sobą i otoczyć troską? Czy naprawdę jeszcze tego potrzebuję?

Bo nie tylko rzeczy się gromadzą.

Są też rozmowy, które nigdy nie zostały dokończone. Relacje, które pozostały niedomknięte. Słowa zatrzymane w gardle. Decyzje odkładane przez lata.

One często obciążają bardziej niż przedmioty.

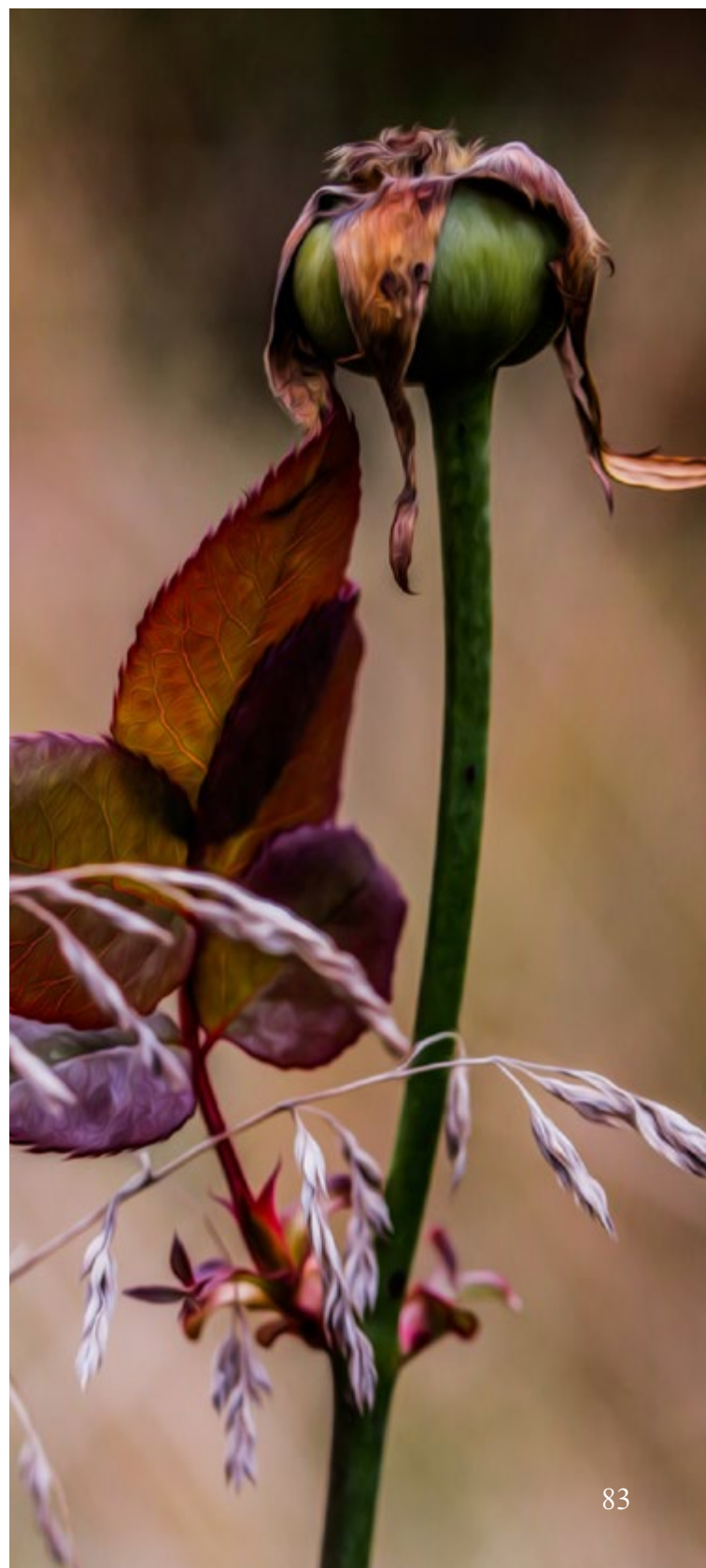
Domykanie jest sztuką odwagi i szacunku – wobec siebie i wobec innych. To właśnie najtrudniejsze, najdłużej odwlekane rozmowy przynoszą często największą ulgę i przywracają porządek w sercu.

To jest nasz obowiązek wobec życia – żyć tak, by prostować swoje ścieżki i oczyszczać zarówno wnętrze, jak i przestrzeń wokół siebie.

A wobec śmierci?

Przygotować się. Uporządkować sprawy. Wyrazić swoją wolę. Zostawić po sobie jasność zamiast chaosu.

Bo im mniej niesiemy, tym łatwiej przejść na drugi brzeg.





fot. Lera Ferlij

Pamięć i mózg

Jak zachować jasność umysłu na długie lata – perspektywa lekarza

Marek Laskowski, lekarz

Pamięć zapisana w kamieniu i w człowieku

Spacer po Cmentarzu Powązkowskim skłania do refleksji nad pamięcią. Pamięcią pokoleń, utrwaloną w nazwiskach, datach i historiach zapisanych w kamieniu, oraz pamięcią osobistą, zapisaną w strukturach mózgu. Jedna i druga decyduje o tym, kim jesteśmy jako ludzie i jako społeczeństwo. Bez pamięci nie ma tożsamości, ciągłości ani sensu doświadczeń. Różnica polega na tym, że o pamięć mózgu można i trzeba dbać świadomie. Jest to proces rozłożony na lata, wymagający konsekwencji, ale dostępny dla każdego.

Sprawny umysł oznacza samodzielność, zdolność podejmowania decyzji, zachowanie relacji i jakości życia. Dbanie o pamięć nie jest luksusem ani fanaberią. Jest elementem odpowiedzialności za własną przyszłość.

Starzenie mózgu nie jest nagłe

Mózg nie starzeje się z dnia na dzień. Proces ten przebiega powoli i podstępnie. Najczęściej nie daje ostrych objawów, lecz drobne sygnały, które łatwo zignorować. Problemy z koncentracją, wolniejsze przypominanie sobie słów, zmęczenie psychiczne – to nie są „naturalne objawy wieku”, lecz często efekt wieloletnich zaniedbań.

Styl życia ma większe znaczenie niż wiek metrykalny. To codzienne wybory – sen, ruch, jedzenie, sposób reagowania na stres – decydują o tym, jak długo mózg zachowa sprawność. Dlatego profilaktyka funkcji poznawczych powinna zaczynać się wcześniej i trwać przez całe życie.

Sen – nocna regeneracja pamięci

Sen to fundament pracy mózgu. To właśnie w czasie snu dochodzi do konsolidacji pamięci, czyli utrwalania informacji zdobytych w ciągu dnia. Mózg porządkuje bodźce, wzmacnia istotne

wspomnienia i eliminuje nadmiar informacji. Bez odpowiedniej ilości snu ten proces zostaje zaburzony.

Przewlekły niedobór snu prowadzi do pogorszenia koncentracji, obniżenia zdolności uczenia się i zwiększa ryzyko chorób neurodegeneracyjnych. Szczególnie szkodliwe są nieregularne godziny snu oraz wieczorne korzystanie z ekranów, które zaburzają rytm dobowy.

Co robić konkretnie: spać 7–8 godzin każdej nocy, również w weekendy. Kłaść się spać i wstawać o stałej porze. Wyłączyć telefon, komputer i telewizor co najmniej 60 minut przed snem. Unikać alkoholu wieczorem. Zapewnić w sypialni ciszę, chłód i ciemność. Traktować sen jako element terapii, a nie stratę czasu.



Pamięć i mózg – jak zachować jasność umysłu na długie lata

Ruch – dotlenienie i sprawność neuronów

Mózg jest narządem wyjątkowo wrażliwym na przepływ krwi i dostęp tlenu. Regularna aktywność fizyczna poprawia ukrwienie mózgu, zwiększa produkcję czynników neurotroficznych i sprzyja powstawaniu nowych połączeń nerwowych. Ruch realnie spowalnia starzenie się struktur odpowiedzialnych za pamięć.

Brak aktywności prowadzi do pogorszenia krążenia, spadku wydolności mózgu i szybszego zmęczenia psychicznego. Nie chodzi o intensywny sport, lecz o systematyczność.

Najlepsze formy aktywności: codzienny szybki marsz przez 30–45 minut. Nordic walking kilka razy w tygodniu. Jazda na rowerze w umiarkowanym tempie. Pływanie. Lekkie ćwiczenia siłowe dwa razy w tygodniu w celu utrzymania masy mięśniowej, która również wpływa na metabolizm mózgu.

Odżywianie – paliwo dla mózgu

Mózg zużywa około 20% energii całego organizmu. Jego funkcjonowanie zależy od jakości dostarczanego paliwa. Nadmiar cukru, żywność wysoko przetworzona i nieregularne posiłki prowadzą do wahań glukozy we krwi, co bezpośrednio pogarsza koncentrację i pamięć.

Najlepiej przebadaną dietą wspierającą funkcje poznawcze jest dieta śródziemnomorska. Opiera się ona na naturalnych produktach, zdrowych tłuszczach i regularności.



Co jeść częściej: tłuste ryby morskie, mięso, jajka, oliwę z oliwek, orzechy włoskie, warzywa zielone, buraki, rośliny strączkowe, produkty pełnoziarniste.

Czego unikać: słodkich napojów, nadmiaru słodczy, białego pieczywa, jedzenia późno w nocy i częstego podjadania.

Naczynia krwionośne a pamięć

Większość zaburzeń pamięci ma charakter naczyniowy. Oznacza to, że mózg nie otrzymuje odpowiedniej ilości tlenu i składników odżywczych z powodu uszkodzeń naczyń. Nadciśnienie tętnicze, cukrzyca i hipercholesterolemia działają powoli, często bezobjawowo, ale konsekwentnie.

Profilaktyka chorób naczyniowych to jedna z najskuteczniejszych metod ochrony pamięci.

Co robić: regularnie mierzyć ciśnienie krwi. Raz w roku kontrolować glukozę i lipidogram. Reagować wcześniej na nieprawidłowe wyniki. Ograniczyć sól i cukier. Dbać o masę ciała i regularny ruch.

Stres – cichy wróg jasności umysłu

Przewlekły stres prowadzi do podwyższonego poziomu kortyzolu, który uszkadza struktury mózgu odpowiedzialne za pamięć i uczenie się. Osoby żyjące w ciągłym napięciu szybciej się męczą psychicznie, gorzej zapamiętują i częściej popełniają błędy.

Stresu nie da się całkowicie wyeliminować, ale można zmienić sposób reagowania.

Jak realnie obniżyć stres: codziennie poświęcić kilkanaście minut na wyciszenie. Stosować spokojne oddychanie. Ograniczyć nadmiar informacji i wiadomości. Robić przerwy w pracy. Oddzielać czas pracy od czasu odpoczynku.

Trening umysłu – używaj albo tracisz

Mózg, podobnie jak mięśnie, podlega zasadzie „use it or lose it”. Brak stymulacji przyspiesza

Pamięć i mózg – jak zachować jasność umysłu na długie lata

jego starzenie. Nowe bodźce wzmacniają rezerwę poznawczą, która chroni przed utratą funkcji poznawczych w przyszłości.

Przykłady skutecznego treningu: nauka języka obcego. Czytanie książek wymagających skupienia. Rozwiązywanie krzyżówek i zadań logicznych. Zmiana codziennych schematów. Nauka nowych umiejętności, nawet prostych.



Relacje społeczne – naturalny trening pamięci

Kontakt z innymi ludźmi angażuje jednocześnie pamięć, uwagę, emocje i język. Regularne relacje społeczne są jednym z najsilniejszych czynników ochronnych dla mózgu. Samotność przyspiesza spadek funkcji poznawczych.

Co pomaga: regularne spotkania z rodziną i przyjaciółmi. Rozmowy twarzą w twarz. Wspólne aktywności. Podtrzymywanie więzi nawet krótkim, ale systematycznym kontaktem.

Używki – im mniej, tym lepiej

Alkohol i nikotyna działają neurotoksycznie. Nawet niewielkie, ale regularne dawki mają znaczenie w perspektywie wielu lat. Ograniczenie używek jest jedną z najprostszych form ochrony mózgu.

Wczesne sygnały i szybka reakcja

Zaburzenia pamięci rzadko zaczynają się gwałtownie. Częściej są subtelne i narastające. Wczesna reakcja, diagnostyka i modyfikacja stylu życia dają największe szanse na zatrzymanie procesu.

Pamięć jako codzienna odpowiedzialność – na dalszą drogę

Powązki przypominają, że pamięć jest wartością, która trwa dłużej niż jedno życie. Zanim jednak zostanie zapisana w kamieniu, przez lata istnieje w mózgu. I to od codziennych decyzji zależy, w jakim stanie przetrwa.

O pamięć mózgu nie dba się okazjonalnie. Chroni ją codzienność: regularny sen, stały ruch, rozsądne jedzenie, umiejętność wyciszenia i żywe relacje z innymi ludźmi. Nie pojedyncze działania, lecz ich powtarzalność buduje odporność umysłu na czas.

Jasność umysłu na długie lata nie jest kwestią szczęścia ani przypadku. Jest efektem tysięcy drobnych, świadomych wyborów. Każdy dobrze przespany wieczór, każdy spacer i każda rozmowa to inwestycja w przyszłość.

Pamięć warto traktować jak odpowiedzialność. Tak samo jak zdrowie i relacje. Nie z lęku przed starością, lecz z szacunku do życia i do drogi, która jeszcze przed nami.





fot. Lera Ferlij

Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus.

Przyjaciele czy rywale?

Joanna Faber

Bolesław Prus, obok Henryka Sienkiewicza i innych im współczesnych pisarzy, że wymienię tu tylko Władysława Reymonta i Stefana Żeromskiego, był jednym z najwybitniejszych literatów, których dzieła powstawały na przełomie XIX i XX wieku, w epoce określanej przez literaturoznawców pozytywizmem. Bolesław Prus i Henryk Sienkiewicz byli równolatkami (Prus był o rok młodszy od Sienkiewicza), obaj byli znakomitymi powieściopisarzami, a także, w pewnym sensie rywalizowali ze sobą na polu osiągnięć literackich, aczkolwiek realia historyczne, miejsce akcji ich powieści przeważnie znacząco się różniły.

Poza tym na tę rywalizację przekładały się tak prozaiczne powody jak życiorysy, powodzenie u kobiet, wygląd zewnętrzny, kariera literacka. Dzieciństwo i młodość Prusa były bardzo trudne, w dzieciństwie nie zaznał rodzinnego ciepła, jako młody chłopak walczył w Powstaniu Styczniowym.



Sienkiewicz pochodził ze zwyczajnej rodziny, miał rodziców, rodzeństwo i uporządkowane dzieciństwo. Prus nie znosił podróży. Sienkiewicz był obieżyświatem. Prus lubił kobiety, nie unikał romansów, ale dbał o zachowanie wizerunku dobrego męża. Sienkiewicz był ulubieńcem kobiet, które zabiegały o jego względy. Prus był niewysoki, przygarbiony, niewyróżniający się w tłumie, sprawiał wrażenie szarego człowieka. Sienkiewicz był przystojny, choć również niezbyt wysoki,



Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus – przyjaciele czy rywale?

jednak emanował jakąś wewnętrzną pogodną aurą, co zjednywało mu rzesze bliższych i dalszych przyjaciół i znajomych.

Obaj panowie rozpoczynali literacką drogę w tym samym czasie. Początkowo większą poczytnością cieszyły się dzieła Prusa, ale po ukazaniu się Trylogii, a szczególnie „Quo vadis”, Sienkiewicz zaczął robić zawrotną światową karierę. Prus ze swoimi dziełami musiał oddać palmę pierwszeństwa Sienkiewiczowi. Stąd wzięła się opinia, że Prus był zazdrosny o Sienkiewicza. I zapewne tak było, bo obaj panowie krańcowo się od siebie różnili. Obaj pisarze odegrali znaczącą rolę w dziejach literatury polskiej. Henryk Sienkiewicz pisał ku pochrępieniu serc, a Bolesław Prus uczył czytelników miłości do ojczyzny i ukochanej Warszawy.

Po tym krótkim porównaniu obu pisarzy, zanim przejdziemy do postaci Bolesława Prusa, pośrednio głównego bohatera tej opowieści, zainicjujmy od krótkiego przypomnienia postaci Henryka Sienkiewicza. Od wczesnej młodości przejawiał ambicje literackie. Co prawda matka powtarzała mu, że „Kraszewskim nie będzie i z pióra nie wyżyje”, to na szczęście dla niego samego i dla jego wiernych czytelników, nie tylko w Polsce, ale i na świecie, nie zrezygnował ze swoich pisarskich marzeń. Obrona przez niego ścieżka nie była początkowo łatwa, wiele lat żył w niedostatku, przeżył osobisty dramat – śmierć ukochanej żony, ale wreszcie osiągnął olbrzymi sukces.

Biografowie Sienkiewicza podkreślają, że był pozytywistą, społecznikiem, wyczulonym na ludzką niedolę i krzywdę. Jednocześnie był bywalcem salonów literackich, światowcem, podróżnikiem, a nawet... myśliwym. Wieloletnia przyjaźń łączyła go z aktorką Heleną Modrzejewską. O tę przyjaźń był też zazdrosny Prus, który jako pierwszy zaprzyjaźnił się z Modrzejewską i bywał u niej „na salonach”, ale pojawienie się tam Sienkiewicza wszystko zmieniło. Jego otwarty charakter, radość życia, elegancja sprawiły, że Prus musiał się wycofać, jego miejsce zajął Sienkiewicz. I właśnie Sienkiewicz wraz z grupą znajomych i Modrzejewską wybrał się do Ameryki, gdzie spędził dwa

lata. W wyniku tego pobytu powstały jego „Listy z podróży do Ameryki”, publikowane początkowo w „Gazecie Polskiej”, której był korespondentem, a następnie wydane w formie książkowej.

Pomimo trudnych warunków finansowych, z którymi borykał się, zanim stał się uznanym na świecie pisarzem, wiele podróżował. Na trasie jego licznych podróży znalazły się m.in. wspomniane Stany Zjednoczone, Anglia, Francja, Hiszpania, Rosja i Szwajcaria, a nawet Afryka, w tym Zanzibar, gdzie w 1890 roku wybrał się na wyprawę myśliwską.

Henryk Sienkiewicz był nowelistą, publicystą, spod jego pióra wyszło wiele nowel, opisów licznych podróży, jednak największą sławę przyniosły mu jego powieści. W świadomości Polaków był i pozostaje po dziś dzień przede wszystkim autorem „Trylogii”, dzieł Polski XVII-wiecznej, tworzących tryptyk powieści: „Ogniem i mieczem”, „Potop” oraz „Pan Wołodyjowski”, dzieł napisanych „ku pochrępieniu serc” Polaków, wtedy, gdy Polski nie było przez wiele lat na mapie Europy.

Wybitny historyk literatury, Julian Krzyżanowski, tak scharakteryzował ten historyczny tryptyk autorstwa Sienkiewicza: *Przypominając czasy, gdy na Polskę waliły się klęski zagrażające jej bytowi politycznemu, z których to klęsk podniosła się ona dzięki siłom własnym narodu, „Trylogia” darowała czytelnikom polskim „pochrępienie serc”, artystyczną lekcję patriotyzmu, niosła wiarę w wartość ludzkiego bohaterstwa. Aureolą bohaterstwa otaczał ludzi zwykłych, nieraz śmiesznych, dostrzegał je ze sprawiedliwością epicką także u wrogów. Ta jakość społeczna, ceniona przez ludy całej kuli ziemskiej, znamienita dla poezji epickiej wszystkich czasów, znalazła w prozie powieściowej Sienkiewicza znakomity wyraz, co zadecydowało o jej sławie światowej.*

Obok „Trylogii”, spod pióra Henryka Sienkiewicza wyszły tak doskonałe i słynne powieści jak „Krzyżacy”, „Rodzina Połanieckich”, „W pustyni i w puszczy”, a także nawiązująca fabułą do czasów wczesnochrześcijańskich „Quo vadis”, powieść ciesząca się największą sławą, obok Polski, w Stanach Zjednoczonych i we Włoszech.

Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus – przyjaciele czy rywale?

Ten niezwykle bogaty dorobek literacki Sienkiewicza, powieści, których akcje toczą się w różnych miejscach i w różnych epokach, został doceniony. W 1905 roku Akademia Szwedzka przyznała Sienkiewiczowi najwyższe wyróżnienie – Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury za „wybitne osiągnięcia w dziedzinie eposu i rzadko spotykany geniusz, który wcielił w siebie w ducha narodu”.

Wcześniej, w 1900 roku, z okazji 25-lecia pracy oraz w podziękowaniu za jego twórczość, polskie społeczeństwo ufundowało i podarowało Sienkiewiczowi dworek w Oblęgorku. I jak tu Prus miał nie być zazdrosny o Sienkiewicza?

Po wybuchu Wielkiej Wojny Henryk Sienkiewicz wyjechał do Vevey nad Jeziorem Genewskim w Szwajcarii, gdzie w 1916 roku zmarł i tam został pochowany. Ówczesny biskup Krakowa Adam Sapieha nie zgodził się na pochowanie pisarza w Katedrze Wawelskiej. Dopiero w 1924 roku prochy Sienkiewicza zostały sprowadzone do Polski i pochowane w podziemiach Katedry Św. Jana w Warszawie. Życie Henryka Sienkiewicza mogłoby śmiało posłużyć za kanwę pasjonującej powieści obyczajowo-podróżniczej.

Powieści Sienkiewicza, pomimo upływu lat, zmieniającego się świata, są pozycjami, po które chętnie sięgają producenci i reżyserzy filmowi. Na podstawie jego książek wybitni polscy reżyserzy zrealizowali cieszące się powodzeniem, można powiedzieć, po dziś dzień, filmy fabularne. Adaptacji filmowych doczekały się: „Trylogia”, „W pustyni i w puszczy”, „Quo vadis”, „Krzyżacy” i „Rodzina Połanieckich” oraz liczne nowele w formie adaptacji telewizyjnych.

Bolesław Prus był przeciwieństwem swego słynnego kolegi po piórze. Stroniący od dalekich podróży, skupiający się najdalej na wyjazdach do Nałęczowa, cierpiący na agorafobię i zaburzenia lękowe, będące między innymi skutkiem bardzo ciężkiego dzieciństwa oraz powstańczych przeżyć. Nienawidził dużych pomieszczeń, schodów, dworców kolejowych, to wszystko wywoływało u niego panikę. Jeden raz w życiu, chcąc

dorównać choć trochę Sienkiewiczowi w jego dalekich podróżach, postanowił wybrać się do Szwajcarii, aby odwiedzić przebywających tam Oktawię i Stefana Żeromskich. Podróż była dla niego źródłem tak wielkiego stresu, że po powrocie musiał przez kilka miesięcy leczyć się psychiatrycznie. Miał ponoć nawet zapędy samobójcze, stąd w „Lalce” zawarł opis samobójczej próby Wokulskiego na stacji w Skierniewicach. Po tej nieszczęsnej podróży do Szwajcarii najdalsze wyprawy, jakie podejmował, kończyły się w ulubionym przez niego Nałęczowie. Najlepiej czuł się w domowym zaciszu w Warszawie.

Bolesław Prus był człowiekiem skromnym, starającym się zachować szczegóły prywatnego życia z dala od rozgłosu. Nie bez przyczyny Stefan Żeromski wspominając „Lalkę” wyraził się o Prusie: „trudno uwierzyć, że ta szara człeczyna napisać zdołała takie arcydzieło”.

W świadomości społecznej Prus na zawsze pozostaje powieściopisarzem, nowelistą i publicystą, kronikarzem Warszawy, działaczem społecznym, myślicielem i propagatorem idei pozytywizmu nad Wisłą. Oprócz „Lalki” spod jego pióra wyszły m.in. „Emancypantki” oraz „Faraon” i szereg nowel. Trzeba tu zaznaczyć, że w swoich powieściach i nowelach Prus nie unikał szczerych opisów ówczesnej Warszawy oraz jej społeczności. Opisywał salony, bogatych lub udających bogatych ludzi (takich też nie brakowało), a jednocześnie, szczególnie w „Lalce”, ukazywał biedę Powiśla, beznadzieję losu jego mieszkańców, bezrobotnych, robotników, kobiety pracujące jako praczki lub żyjące z nierządu, po to, aby utrzymać się przy życiu. Unikał lukrowanych, nieprawdziwych postaci, zarówno tych z wyższych sfer, jak też tych z najbiedniejszych nizin społeczeństwa. Demaskował ich prawdziwe oblicza.

Najwspanialszym dziełem publicystycznym Bolesława Prusa (pamiętajmy, że był przede wszystkim dziennikarzem) są jego „Kroniki tygodniowe” – felietony pisane głównie dla „Tygodnika Ilustrowanego” i „Kuriera Warszawskiego”. Zaczęły się one ukazywać w 1875 roku i Prus z przerwami

Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus – przyjaciele czy rywale?

pisał je przez blisko 40 lat, do końca życia, czyli do 1912 roku. W latach 1953–1970 profesor Zygmunt Szweykowski, historyk literatury polskiej, zebrał i opracował „Kroniki”, które zajęły aż dwadzieścia opasłych tomów.

W „Kronikach tygodniowych” Bolesław Prus opisywał codzienne życie w Warszawie, komentował wydarzenia, a także wielokrotnie reagował na niesprawiedliwości społeczne. Poruszał w nich także wątki polityczne, kulturalne i społeczne.

Jakim kunsztem kronikarskim, barwnym i żywym językiem informacji posługiwał się Prus w swoich „Kronikach”, niech świadczy chociażby fragment z 27 czerwca 1908 roku, opisujący w „Tygodniku Ilustrowanym” nie lada wydarzenie, jakim było rozpoczęcie w Warszawie eksploatacji tramwajów elektrycznych 26 marca 1908 roku.

Już nie pamiętam, kiedy Warszawa, rumieniąc się i skromnie spuszczaając oczy, wyszeptwała po raz pierwszy: „Spodziewam się... tramwajów elektrycznych”. No i owo „spodziewanie się” trwało tak długo, że przez ten czas mogło przyjść na świat ze dwadzieścia stoni i ze cztery wieloryby... (...) Wkrótce zapowiedziano, że ruch elektrowozów rozpocznie się niebawem, następnie zrobiono poprawkę, że ruch jeszcze się nie zacznie. Potem odbyło się poświęcenie i pierwsze próby elektrowozów w remizach i na przyległych podwórkach...

A potem zaczęto sobie życzyć z powodu rozmaitych uroczystości: Bodajbyś doczekał wypuszczenia tramwajów elektrycznych!... (...)

Kiedy pierwszy raz pokazały się olbrzymie, niby meblowe, wozy bez koni, publiczność skupiła się na chodnikach tak gęsto, jak w czasie przejazdu nieboszczyka szacha perskiego (Szach perski Nasr-ed-din był w Warszawie w czerwcu 1900 r., zmarł 8 stycznia 1907 r.).

A kiedy pierwszy raz pozwolono dostać się do wnętrza, ludzie pchali się, jak po bilety loteryjne. I przez kilka dni należało do szyku, jeżeli mógł kto powiedzieć o sobie: Jechałem tramwajem elektrycznym! Takich szczęśliwców pokazywano palcami na ulicach.

Oczywiście, w kolejnych „Kronikach” Prus nie unikał krytycznych komentarzy związanych z rozpoczęciem w Warszawie eksploatacji elektrycznych tramwajów – były relacje z protestów dorożkarzy, opisy wypadków, również śmiertelnych, spowodowanych przez te tramwaje, a wynikających przeważnie z nieuwagi pieszych. Krytykował rozgłos towarzyszący ich uruchomieniu, bo przecież nie wyeliminowano od razu tramwajów konnych, a elektryczne obsługiwały początkowo tylko jedną linię w mieście.

Dzięki Prusowi możemy wyobrazić sobie wygląd dawnej Warszawy z końca XIX i początków XX wieku, napawać się opisami galerii charakterów bohaterów jego powieści i nowel. Tak jak Canaletto zostawił potomnym wygląd Warszawy z XVIII wieku, tak Prus słowem malował Warszawę i jej mieszkańców.

Kunst Bolesława Prusa doceniają po dziś dzień twórcy filmów fabularnych i seriali. Ulubionymi powieściami autorstwa Prusa, które były i są przenoszone na duży i mały ekran w formie kolejnych adaptacji, są przede wszystkim wielokrotnie realizowana „Lalka” i „Faraon” oraz nowele, m.in. „Kartarynka” i „Kamizelka”.

Bolesław Prus zmarł w Warszawie w maju 1912 roku. Został pochowany na Starych Powązkach. Nie było jeszcze na tym cmentarzu Alei Zasłużonych, która powstała dopiero w 1925 roku, a pierwszym pochowanym tam pisarzem był Władysław Reymont. Można żałować, że prochy Bolesława Prusa nie znalazły się w Alei Zasłużonych, a został pochowany w grobie rodzinnym, nieopodal. Ten fakt rekompensuje jednak w całości pomnik, który kilka lat po śmierci Prusa stanął na jego nagrobku.

Ale to już zupełnie inna historia...

Pisząc niniejszy artykuł, korzystałam, oprócz źródeł podanych w tekście, z następujących publikacji:

1. Sławomir Koper „Nobliści skandaliści”,
2. Monika Piątkowska „Prus. Śledztwo biograficzne”.
Obie te książki serdecznie polecam.



*Lepiej jest zapalić świecę, niż
przeklinać ciemność. Nigdy nie poznamy
całego dobra, jakie może dać zwykły uśmiech.*

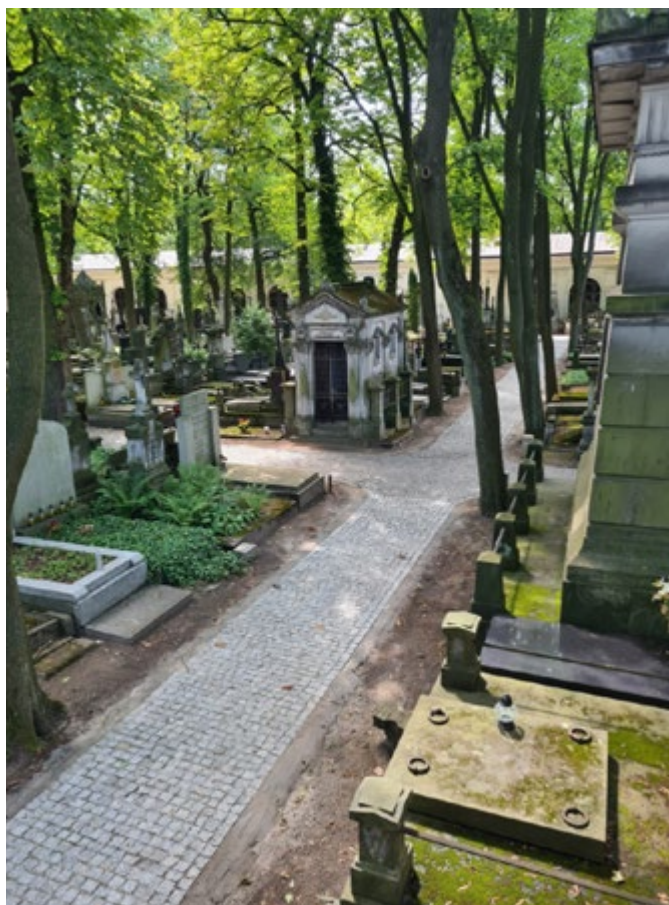
*św. Matka Teresa z Kalkuty
1910-1997*

Cyfrowy wymiar pamięci

Stare Powązki między historią a nowoczesnością

Karol Gądzik

Fundacja Stare Powązki z radością realizuje projekt upowszechniania wiedzy z zakresu historii i historii sztuki, oparty na dziedzictwie Cmentarza Stare Powązki – jednej z najważniejszych narodowych nekropolii, miejsca od pokoleń nazywanego duszą Warszawy. To przestrzeń szczególna: pełna ciszy, ale i opowieści; zadumy, ale też nieustannego dialogu między przeszłością a teraźniejszością.



Misją Fundacji jest nie tylko troska o materialny wymiar nekropolii – o kamień, rzeźbę, inskrypcję i detale architektoniczne – lecz także o to, co niewidzialne, a najcenniejsze: o pamięć. Stare Powązki są jak wielka księga miasta, w której zapisano losy ludzi tworzących Warszawę i Polskę. Spoczywają tu twórcy i naukowcy, społecznicy i lekarze, artyści, żołnierze, ludzie znani i ci, których imiona nie trafiły do podęczników, a których życie było ciche, pracowite



i wierne wartościom. Fundacja podejmuje wysiłek, by ta księga pozostała czytelna – także dla współczesnych odbiorców.

Szczególną uwagę poświęcono młodemu pokoleniu, które coraz częściej poszukuje wiedzy w świecie cyfrowym: na ekranie telefonu, w przestrzeni internetu, w krótkich, wizualnych opowieściach. Jeśli tam dziś skupia się uwaga młodego człowieka, właśnie tam powinna trafić mądra, piękna i prawdziwa pamięć. Projekt Fundacji łączy więc



tradycyjną edukację historyczną z nowoczesnymi narzędziami, odpowiadając na potrzeby odbiorców wychowanych w kulturze obrazu i interaktywnego doświadczenia.

Jednym z filarów działań są lekcje edukacyjne prowadzone na terenie cmentarza. Skierowane do uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych oraz grup zorganizowanych, zajęcia realizowane przez licencjonowanych przewodników pokazują historię Warszawy i Polski w sposób niepodręcznikowy – przez konkretne twarze, biografie, wybory i dramaty. Uczestnicy stają przed nagrobkiem i w tym momencie historia przestaje być zbiorem dat, a staje się spotkaniem z człowiekiem. To doświadczenie, które uczy, że wielkość bywa codziennością, a piękno – odpowiedzialnością.

Drugim ważnym elementem projektu jest digitalizacja wybranych zabytkowych nagrobków i rzeźb w formie precyzyjnych modeli 3D. To działanie o podwójnym znaczeniu. Z jednej strony stanowi nowoczesne narzędzie dydaktyczne – pozwala przyrzeć się detalom, zrozumieć symbolikę i kunszt rzeźbiarski, nawet bez fizycznej obecności na cmentarzu. Z drugiej strony jest formą archiwizacji dziedzictwa: dokumentuje stan obiektów i może w przyszłości wspierać prace konserwatorskie.

Cyfrowe modele, wzbogacone o opisy symboliki, stylistyki oraz dokumentację fotograficzną, będą udostępniane szerokiej publiczności. Dzięki temu każdy – z domu, szkoły czy biblioteki – będzie mógł wejść w opowieść o Starych Powązkach i odkrywać ich znaczenie na własnych zasadach. Wirtualność nie musi być powierzchowna; może stać się drzwiami do głębi. Dobrze opowiedziana historia, precyzyjny model 3D i czytelny kontekst kulturowy mogą stać się początkiem fascynacji, która prowadzi do realnego spotkania z dziedzictwem: spaceru po alejkach, chwili zadumy, pytania o sens i ciągłość.

Fundacja Stare Powązki nadaje dziś cyfrowy wymiar duszy Warszawy. Nekropolia pozostaje

żywym miejscem pamięci w przestrzeni fizycznej, ale zyskuje również nowe życie w przestrzeni wirtualnej – tam, gdzie rodzą się współczesne pytania, zachwyty i wybory. Projekt jest odpowiedzią na wyzwania naszych czasów: jak opowiadać historię w świecie pośpiechu, jak chronić dziedzictwo, by nie stało się jedynie tłem, i jak budować most między pokoleniami.

Dzięki tym działaniom opowieść o Starych Powązkach może docierać dalej, mądrzej i trwalej – zachowując swoją głębię, a jednocześnie otwierając się na nowe formy dialogu z przyszłymi pokoleniami.





fot. Lera Ferlij

Dobry czas

ks. Piotr Hejna

Święta Katarzyna, Ćmielów, Kielce, Bodzentyn, Dąb Bartek i kilka zdobytych świętokrzyskich szczytów górskich. Tak w skrócie można opisać pięć intensywnych dni, które część duszpasterstwa młodzieży w naszej parafii, spędziło na letnim wyjeździe formacyjno-rekreacyjnym. Wyjazd stał się możliwy między innymi dzięki wsparciu naszych parafian, za które serdecznie dziękujemy.



Trzynastego lipca, pallotyński ośrodek rekolekcyjny w Świętej Katarzynie przyjął nas z wielką serdecznością i tak rozpoczęła się przygoda wyjazdowa KAROLA. Od początku zarówno samo miejsce zamieszkania, jak i okolice sprawiły że tryb wakacyjny został aktywowany. Piękne okolice Świętokrzyskiego Parku Narodowego dały się poznać z bardzo dobrej strony. Lasy, łąki, pola tuż przed żniwami, śpiewające od wczesnego rana ptaki i cisza nocnego odpoczynku złożyły się na kilka dni budowania wspólnoty, górskich wędrówek i modlitwy.

Zwiedzaliśmy między innymi Żywe Muzeum Porcelany w Ćmielowie, Rezerwat Przyrody Kazielnia w Kielcach, Park Rozrywki i Miniatur, Muzeum Miniatur i Skamieniałości w Świętej Katarzynie. Łysa Góra i Sanktuarium Świętego Krzyża stanowiło wisienkę na torcie, odwiedzone przez młodzież ostatniego dnia, pozwoliło doświadczyć piękna przyrody i Bożej Obecności.

W Ćmielowie poznawaliśmy historię powstawania porcelanowych dzieł sztuki, od ręcznie malowanych filiżanek po różnokolorowe obrazy. Udało się także pomalować specjalnymi farbami kubki, podczas warsztatów w jednej z muzealnych sal. Później nasze małe dzieła sztuki, bo takimi pozostały w naszych oczach, zostały wypalone w specjalnym piecu, żeby utrwalić farby i wzory. Każdy z uczestników zabrał swój kubek do domu na pamiątkę. Do każdego egzemplarza dołączony był także certyfikat autentyczności Ćmielowskiej porcelany.



Dobry czas

Codzienna Msza Święta stanowiła centrum dnia i formacji podczas wyjazdu. Wsłuchiwalismy się w Słowo Boże i szukaliśmy śladów Bożej obecności w różnych sytuacjach codziennego dnia. Ważnym świadectwem działania Pana Boga była wspólnota, którą tworzyliśmy z życzliwością, pomocą i wzajemnym zrozumieniem. Pogoda także sprzyjała górskim wędrówkom, odpoczynkowi na łonie natury, poznawaniu okolicy i odkrywaniu nowych smaków lodów w pobliskiej rzemieślniczej kawiarni i cukierni.

Cały czas wyjazdu, choć niezbyt długi, pozwolił na chwilę odpoczynku i wyciszenia. Planujemy podobny w swoim kształcie wyjazd w przyszłym roku. Chcemy także rozwijać naszą wspólnotę KAROL. Zapraszamy nowych chętnych do budowania duszpasterstwa. Spotykamy się w każdy drugi piątek i czwartą sobotę miesiąca w sali na plebanii. Modlimy się wspólnie, także za siebie nawzajem, poznajemy ciekawych ludzi, którzy przyjeżdżają na spotkania podzielić się z nami świadectwem swojej wiary. Czasami także stawiamy sobie trudne pytania o działanie Pana Boga czy wyzwania współczesności, szukając wspólnie odpowiedzi w oparciu o Słowo Boże i nauczanie Kościoła. Zdarza się również wspólne gotowanie, pieczenie ciastek, jak również zwykłe, towarzyskie spędzanie czasu. Z radością i otwartością przyjmujemy nowych członków, żeby budować wspólnotę i trwać w Kościele. Wszelkie informacje o spotkaniach można znaleźć w ogłoszeniach parafialnych oraz na profilu naszej grupy na Instagramie: [idziemy_z_karolem](#).





WIRTUALNY SPACER ALEJĄ KATAKUMBOWĄ



FUNDACJA
STARE POWĄZKI

PATRONEM
PROJEKTU JEST
FUNDACJA PGE

Dostojne popiersie hrabiego Fryderyka Karola Nesselrode, a na nagrobku, w którym pochowana jest również jego córka Maria Kalergis, pogodna marmurowa twarz Stanisława Jachowicza czy piękny biały pomnik Marii Wisnowskiej. Te i wiele innych pomników stojących w Alei Katakumbowej już wkrótce będzie można obejrzeć z każdego miejsca na świecie. Trwają prace nad stworzeniem wirtualnego spaceru po tej wyjątkowej alei. Będzie to kolejna część Starych Powązek, którą będzie można zwiedzić online, oglądając trójwymiarowe skany zabytkowych pomników i zapoznając się z biogramami spoczywających tam osób.

Msze święte gregoriańskie

Szczególna modlitwa za zmarłych

ks. Łukasz Wawro

Skąd wzięła się ta tradycja?

Tradycja Mszy świętych gregoriańskich sięga VI wieku i wiąże się ze św. Grzegorzem Wielkim. W swoich Dialogach opisał on historię z czasów, gdy był opatem klasztoru św. Andrzeja.

Jeden z mnichów, Justus, złamał regułę zakonną, ukrywając pieniądze. Po jego śmierci Grzegorz, zatroskany o los współbrata, polecił przez trzydzieści kolejnych dni odprawiać Mszę świętą w jego intencji. Po zakończeniu tego cyklu Justus miał ukazać się jednemu z braci i oznajmić, że został uwolniony od pośmiertnego cierpienia.

Opisane wydarzenie dało początek praktyce, którą z czasem nazwano gregorianką. Przez kolejne stulecia utrwaliła się ona w Kościele jako szczególna i wytrwała forma modlitwy za zmarłych.

Na czym polega gregorianka?

Msze święte gregoriańskie to trzydzieści Mszy odprawianych przez trzydzieści kolejnych dni w intencji jednej zmarłej osoby. Nie musi ich sprawować ten sam kapłan. Ważne jest natomiast zachowanie ciągłości, o którą troszczy się parafia lub wspólnota przyjmująca intencję.

Kościół otacza tę praktykę szacunkiem, nie traktuje jej jednak jako „magicznego klucza do nieba” ani automatycznej gwarancji zbawienia. Eucharystia nie jest działaniem magicznym. Jest najważniejszą modlitwą Kościoła, w której powierzamy zmarłego miłosierdziu Boga.

Siła gregorianki nie wynika z samej liczby odprawionych Mszy, lecz z ofiary Chrystusa, z wierności modlitwie oraz z ufności, z jaką oddajemy bliską osobę w ręce Boga.



Jak przeżyć te trzydzieści dni?

Zgłoszenie Mszy gregoriańskich może stać się dla rodziny szczególnym czasem pamięci i modlitwy. Jeśli jest to możliwe, warto uczestniczyć we Mszy świętej, przystępować do Komunii, modlić się za zmarłego oraz ofiarować w jego intencji dobre uczynki.

Nie trzeba jednak codziennie uczestniczyć w tej konkretnej Mszy ani przychodzić do kościoła, w którym odprawiana jest gregorianka. Nie zawsze pozwalają na to obowiązki, odległość, stan zdrowia czy sytuacja rodzinna. Można zachować duchową łączność, poświęcając każdego dnia chwilę na osobistą modlitwę.

Dobrym przygotowaniem może być również spowiedź, pojednanie z bliskimi albo zakończenie trwającego sporu. Nie są to warunki ważności gregorianki, lecz owoce, które mogą zrodzić się z modlitwy za zmarłego. Pamięć o nim staje się wówczas również wezwaniem do przemiany życia tych, którzy pozostali.

Kilka słów o składanej ofierze

Przy okazji zgłaszania intencji mszalnej wierni zazwyczaj składają ofiarę. Nie jest ona zapłatą za Mszę świętą, wynagrodzeniem za modlitwę ani sposobem kupowania łaski. Eucharystia nie ma ceny, a dóbr duchowych nie można przeliczać na pieniądze.



Ofiara jest tradycyjną formą troski o kapłanów oraz wspólnotę Kościoła. Dzięki niej wierni uczestniczą również w materialnej odpowiedzialności za tych, którzy poświęcają swój czas posłudze duszpasterskiej.

Ponieważ gregorianka obejmuje trzydzieści oddzielnych Mszy, parafia informuje o zwyczajowo przyjętej ofierze za cały cykl. Nie należy traktować tej informacji jak cennika usług religijnych. W razie trudnej sytuacji materialnej warto spokojnie powiedzieć o tym podczas zgłaszania intencji i zapytać o możliwe rozwiązanie.

Najważniejsze pozostają modlitwa, wiara i pamiętać o zmarłym – nie wysokość złożonej ofiary.

Gdzie można zgłosić intencję?

W kościele parafialnym św. Karola Boromeusza intencję Mszy gregoriańskich można zgłosić w zakrystii po każdej Mszy świętej. Należy podać imię, a w razie potrzeby także nazwisko zmarłej osoby. Po ustaleniu terminu rodzina otrzyma rozpiskę kolejnych Mszy.

Gregorianka jest jedną z wielu form modlitwy za zmarłych. Nie jest obowiązkiem ani jedynym sposobem niesienia im duchowej pomocy. Wybór tej praktyki powinien być zawsze osobistą i dobrowolną decyzją, wpływającą z wiary, miłości oraz pragnienia powierzenia bliskiej osoby Bożemu miłosierdziu.

Poezja – słowo, które budzi

Nie liczę na cuda, bo się zdarzają
Nie spodziewam się wygodnych dni ani lat
Nie myślę o codziennych wyjściach
Nie myślę nawet o codziennych powrotach

Przyjdzie taki czas, że cudem się okaże poranek
Przyjdzie taki czas, że cudem stanie się szara rzeczywistość
Przyjdzie taki czas, że na zawsze poczuję niezwykłość

Nie liczę na wyjątkowe miejsca
Zawsze ich mam pod niedostatkiem
Nie liczę na cuda, bo się zdarzają częściej niż
potrafisz sobie wyobrazić

Nie liczę na cuda, bo się zdarzają
I całe tomy książek powstały, aby opisać więcej
marzenia i plany
Nie liczę na cuda, jeśli ich nie spotykam w drugim

Przyjdzie taki czas, że cudem się okaże wieczór
Przyjdzie taki czas, że spokojnie minie dobry dzień
Przyjdzie taki czas, żeby przestać potrzebować
I nigdy nie przestawać kochać (2024)

ks. Piotr Hejna

Podzielę się z Tobą uśmiechem
Tylko bądź
Podzielę się z Tobą uśmiechem
Jak zawsze

Opowiem Ci o nadziei i przestaniesz płakać
Przypomnę Ci o życiu i zamienisz wieczór na dzień
Nawet pójde z Tobą na spacer
Bo wieczorem chłodniej

Podzielę się z Tobą uśmiechem, bo to najcenniejsze co mam
Serce Ci też oddam żebyś nie był samotny
I nieprzytulony

Porozmawiamy o tym kim jesteśmy
O marzeniach i planach
Wspólnie wymyślimy kim byśmy chcieli być
A kim byśmy mogli

Opowiem Ci o mnie, żebyś nie zapomniał
Że jestem
Opowiem Ci o nocach, żebyś miał świadomość dni

Podzielę się z Tobą uśmiechem, bo wtedy świat jest inny
Dobro bardziej działa i oczy głębiej patrzą w duszę

Podzielę się z Tobą uśmiechem
tylko bądź
Podzielę się z Tobą uśmiechem
zanim zasnę

Jesteś? Jeśli jesteś to niech powieje wiatr
Jeśli jesteś, to niech cicho robi się na świecie
Trudne? Podzielę się z Tobą uśmiechem
I razem damy radę (2024)



Piknik parafialny



Zapraszamy na kolejny piknik 15 maja 2027 roku w wigilię Zestania Ducha Świętego



fot. Lera Ferlij



Wejście do Starej Warszawy

Karol Gądzik

Na Starych Powązkach człowiek szybko odkrywa, że pamięć nie zawsze ma kształt nagrobka. Czasem staje się bramą – taką, przez którą przechodzi się niemal odruchowo, nie wiedząc, że powstała z czyjegoś bólu, miłości i decyzji, by prywatną stratę zamienić w publiczny dar. Jednym z najpiękniejszych, a może i najpiękniejszym takim miejscem w Warszawie jest właśnie Brama św. Honoraty.

Stare Powązki są duszą Warszawy w wielu odcieniach. Ten odcień, który opowiada o czułości, wierności i klasie gestu, ma swój materialny znak właśnie tutaj, tuż przy kościele, w pobliżu głównych cmentarnych ścieżek. Brama św. Honoraty jest paradna, reprezentacyjna, a jej monumentalna rzeźba i cała oprawa robią wrażenie od pierwszego spojrzenia. I nie jest przypadkiem, że to właśnie tą bramą najwięcej ludzi wchodzi na teren nekropolii, by poczuć ducha starej Warszawy. Wielu nie wie, że nie ogląda wyłącznie architektonicznego detalu, lecz pomnik bardzo osobisty – stworzony po to, by upamiętnić Honoratę Landsbergową.

.....

Stare Powązki są duszą Warszawy w wielu odcieniach. Ten odcień widać wyraźnie w dziele, którym jest Brama św. Honoraty

.....

Honorata zmarła 25 stycznia 1915 roku. Jej mąż, doktor Mieczysław Landsberg, postanowił uczcić ją w sposób nietypowy. Nie wzniosł dla niej wspólnego grobowca. Zamiast tego wybrał gest, który dzisiaj nazwalibyśmy wielkodusznym i zarazem inteligentnym: zaproponował miastu, że ufunduje monumentalną oprawę drugiej bramy cmentarza powązkowskiego. Pamięć o Honoracie miała stać się bramą – przejściem – doświadczeniem wspólnym, dostępnym każdemu.

Życiorys Honoraty, jak wiele biografii tamtej epoki, miał kilka rozdziałów. Jej panięńskie nazwisko to Zwolińska, po pierwszym mężu nosiła nazwisko Jeziorowska, a po ślubie z Mieczysławem została Landsbergową. Z drugim mężem nie mieli dzieci (Honorata miała syna z pierwszego małżeństwa). Sam Mieczysław Landsberg był w Warszawie uznanym lekarzem praktykującym pod koniec XIX wieku i na początku XX. Urodził się w latach sześćdziesiątych XIX wieku, przez pewien czas praktykował w Moskwie, ostatecznie przyjechał do Warszawy. Słynął z tego, że bezinteresownie pomagał najbiedniejszym mieszkańcom miasta. Był też człowiekiem zamożnym – dobry lekarz, ceniony i doceniany, nie narzekał na brak środków.

A jednak w tej historii najważniejsze nie są pieniądze, lecz żal po śmierci żony i pragnienie, by uczcić ją w sposób spektakularny, ale nie próżny: z myślą o wspólnocie miasta.

Brama miała zostać wykonana według rysunku przygotowanego przez samego doktora Landsberga. I tutaj opowieść nabiera tempa, które – zwłaszcza na tle realiów wojennych – do dziś zaskakuje. Landsberg złożył swoją propozycję w marcu 1915 roku, a już w czerwcu dokonano odświeżenia imponującej furty. Trzy miesiące. W trakcie szalejącej I wojny światowej, kiedy na froncie nieodległym od Warszawy toczą się ciężkie walki, a miasto podlega przyfrontowemu chaosowi. To tempo było naprawdę błyskawiczne. Widać w tym determinację człowieka, który w żałobie nie potrafił stać w miejscu: musiał działać, jakby budowanie miało nadać sens temu, czego nie dało się unieść w ciszy.

Bramę wykonał i wkomponował w wejście Leopold Wasilkowski, tworząc dzieło modernistyczne „o syntetycznej, nieco zgeometryzowanej formie” – jak pisała o Bramie św. Honoraty Maria Irena Kwiatkowska. Rzeczywiście, w tej formie jest dyscyplina, powściągliwość i siła. To nie jest ozdoba dla ozdoby. To świadomy język znaku, który ma przemawiać bez nadmiaru słów.

.....

I nie jest przypadkiem, że to właśnie tą bramą najwięcej ludzi wchodzi na teren nekropolii, by poczuć ducha starej Warszawy

.....

Dzięki darowi doktora Mieczysława Landsberga w bramie cmentarnej stoi dziś postać wojownika Bożego, stylizowanego na legionistę rzymskiego, w nadnaturalnej wielkości. Wojownik opiera się na mieczu, który przecina martwego węża – symbol pokonania zła. Na tarczy umieszczono Oko Opatrzności wewnątrz korony cierniowej oraz trzy gwoździe, będące symbolami męki Chrystusa. Na drugim filarze znajduje się chrystogram umieszczony w wieńcu.

Wejście do Starej Warszawy

Jak możemy przeczytać w wydanej przez Fundację Stare Powązki publikacji „W poszukiwaniu ukrytych znaczeń” autorstwa Marii Bryzgalskiej, „w chrześcijaństwie zachodnim oko wpisane w trójkąt jest symbolem Opatrzności Bożej (...) i Trójcy Świętej”. Trójkąt równoboczny ze szczytem skierowanym ku górze oznacza równość Trzech Osób Boskich, a wpisane w niego Oko czuwa – jak mówi Biblia – nad dobrymi i złymi. W tej samej publikacji, opisując chrystogram, autorka przypomina jego genezę: z zapisanego po grecku imienia Jezus Chrystus brano dwie pierwsze litery I oraz X lub też dwie pierwsze z samego słowa Chrystus – X i P, czasem dodając poprzeczną belkę ze znakiem krzyża. Mono-gram Chrystusa był znajdowany w katakumbach, a umieścił go na swoim sztandarze także cesarz Konstantyn, przekonany we śnie o słuszności swej decyzji.

Finał tej historii jest krótki, a przez to jeszcze bardziej przejmujący. Zrozpaczony Mieczysław Landsberg przeżył swoją żonę zaledwie o półtora roku. Zmarł w lipcu 1916 roku i spoczął



w katakumbach, podobnie jak Honorata. Została po nich brama – nie prywatna, nie „rodzinna”, lecz miejska, otwarta, wspólna. Brama, która nie zamyka pamięci w kamieniu, tylko prowadzi przez nią dalej.

Dlatego Brama św. Honoraty jest tak ważna dla opowieści o Warszawie. Jej historia pokazuje jeden z odcieni duszy tego miasta – tej samej duszy, którą są Stare Powązki: zdolnej zamieniać ból w znak, stratę w dar, żalobę w piękno. I dlatego tylu ludzi wybiera właśnie to wejście, by poczuć ducha starej Warszawy: przejść pod spojrzeniem Opatrzności, obok rycerza, który depcze zło, i wejść w przestrzeń, gdzie pamięć nie jest ciężarem, lecz drogą.

Warto dodać, że Fundacja Stare Powązki dokonała skanowania Bramy św. Honoraty, dzięki czemu dziś można ją oglądać w aplikacji z każdej strony – jakby stało się tuż obok rzeźby, bez pośpiechu, z czasem na dostrzeżenie detali, które umykają podczas zwykłego przejścia.





fot. Lera Ferlij

Powązki – codzienna bitwa o Duszę Warszawy

Piotr Maślanka, konserwator zabytków, rzeźbiarz

Powązki to doskonały przykład trwania pamięci zbiorowej – tego, kim byliśmy oraz dokąd zmierzamy. Dlatego są miejscem ciągłych zmagania o zachowanie tego dziedzictwa kultury. Ilu jednak wie, jaka to jest walka? I z jakimi wyzwaniem mierzymy się, podejmując ten – w pewnym sensie heroiczny – wysiłek zatrzymania czasu i starzejącej się materii?

Wielu z nas zapewne przyjmuje to jako pewnego rodzaju oczywistość, że miejsca takie jak Cmentarz Powązkowski istnieją, i nie dopuszczają do myśli, że mogłoby być inaczej. Powązki są miejscem wyjątkowym, oddziałującym na nas jako jednostki, jak i całą wspólnotę. Mają swoją historię, są miejscem pamięci, zapisem dziejów narodu i jego kultury materialnej. Spoczywają tu jednostki wybitne, które tą historię kreowały i się w niej chwalebnie zapisały.

Cmentarz Powązkowski jest przez nas odwiedzany przy różnych okazjach oraz z różnych powodów. Jednym miejsce to ułatwia koncentrację, swego rodzaju skupienie i wyciszenie, możliwość obcowania z historią. Rodziny tu spoczywających odwiedzają miejsca, w których spoczywają ich bliscy. Wszyscy bez wyjątku widzą jednak wpływ mijającego czasu na substancję cmentarza. Dla jednych jest to zapewne rzecz dość oczywista – kamień to materiał jak każdy inny, stąd też podlega naturalnym procesom starzenia – można by powiedzieć: naturalna kolej rzeczy. Konserwator zabytków z kolei widzi zachodzące procesy, dostrzega ich skutki, próbuje ograniczyć przyczyny – zaiste heroiczna to walka – z czasem i materią, przeciwnikami nie znającymi słowa „pardon” i nie dającymi żadnej taryfy ulgowej.

Jednym z największych przeciwników zabytkowych obiektów kamiennych i wykonanych z innych materiałów mineralnych o strukturze porowatej jest woda. Zdawałoby się, że czynnik



zupełnie naturalny i niegroźny na pierwszy rzut oka. Nic jednak bardziej mylnego – w warunkach zwiększonej wilgotności, zacienienia spowodowanego wysokim drzewostanem oraz tym, jaki tworzą wyższe pomniki, stanowi ona kluczowy czynnik niszczący. Duże zawilgocenie powoduje z kolei zwiększony rozrost mchów, glonów i porostów. Te z kolei działają agresywnie, osłabiając lepiszcze kamienia – zwłaszcza kamieni porowatych, takich jak wapienie, piaskowce oraz marmury. Osłabiony kamień jest bardziej podatny na procesy przemarzania, w których woda zawarta w kapilarach zwiększa swoją objętość i działa mechanicznie, rozsadzając powoli kamień. Taki cykl na przestrzeni dekad w połączeniu z nasłonecznieniem doprowadza do procesu dezintegracji granularnej, tzw. pudrowania się kamienia, w przypadku marmurów zwanego scukrzaniem.

Czynnikiem, który również jest bardzo szkodliwy i przynosi podobne skutki, jest pokrywanie powierzchni pomników z kamienia wszelkimi farbami olejnymi, szlichtami cementowymi itp., co powoduje zatrzymywanie wody wewnątrz pomnika i jego przyspieszoną destrukcję. Jeśli dochodzi do tego tzw. podciąganie kapilarne wody z gruntu – a jest ono nieuniknione, w przypadku braku izolacji fundamentu komory grobowej, to mamy przepis na bardzo szybkie niszczenie zabytku, którego skutki mogą być bardzo trudne i kosztowne w konserwacji, w skrajnych

przypadkach wręcz niemożliwe. Uszkodzenia mechaniczne obiektów mogą być skutkiem czynników naturalnych – pracą systemu korzeniowego drzew, spadającymi gałęziami, w przypadkach skrajnych skutkiem zwykłego wandalizmu. Są to czynniki, na które mamy znikomy wpływ.

.....

Wszyscy bez wyjątku widzą jednak wpływ mijającego czasu na substancję cmentarza

.....

W przypadku elementów wykonanych z metalu głównym czynnikiem niszczącym będzie ich korozja chemiczna. Wiąże się ona z powstawaniem na powierzchni elementów metalowych produktów korozji, tzw. rdzy (produkty utleniania się żelaza i jego stopów). Elementy ze stopów metali kolorowych będą się patynować, będą się na nich również osadzać wszelkie zanieczyszczenia atmosferyczne, powodujące ciemne naloty, zacieki itp.

W przypadku gdy nie mamy do czynienia z całkowitym skorodowaniem elementów metalowych, są one po poddaniu zabiegom oczyszczenia i zabezpieczenia zdadne do ponownego pełnienia przewidzianej dla nich roli – w przypadku przeciwnym konieczne jest wykonanie ich replik, które je zastąpią, zachowując charakter obiektu dla potomnych.

Poruszona tu problematyka jest tylko zarysem problemów, z jakimi mierzy się w swojej pracy konserwator. Każdy jeden przypadek należy rozpatrywać indywidualnie, uwzględniając różne możliwe przyczyny dające zbliżone objawy, wymagające jednak różnych zabiegów. Choć celem jest zawsze zachowanie obiektu, drogi do tego prowadzące mogą być bardzo różne. Dlatego tak ważnym, a często niedocenianym działaniem jest profilaktyka – profilaktyka, która dla obiektu może być czynnikiem nieocenionym, a dla nas wysiłkiem marginalnym...



Czy On mnie widzi?

Opowieść o cmentarzu, modlitwie i nadziei

ks. Jacek Laskowski



Spacerowałem po cmentarzu tak, jak czasem spaceruje ksiądz: nie „turystycznie”, tylko służbowo – sercem. Okiem doglądałem porządku, krokiem mierzyłem alejki, a w głowie miałem to nasze duszpasterskie pytanie: „co tu jeszcze zrobić?” – bo cmentarz uczy, że nawet cisza ma swoje obowiązki.

Mijałem groby jak kartki w grubej księdze. Jedne były świeżo przystrojone, inne trochę zapomniane, jakby komuś zabrakło sił, czasu albo odwagi, żeby wrócić. I wtedy zobaczyłem Panią – stała przy grobie męża. Nie z tych, co „odwiedzą i uciekają”. Ona stała, jakby rozmawiała z kimś naprawdę obecnym. Usta poruszały się cicho, dłonie ścisnęły różaniec, a twarz miała w sobie to, co zna tylko człowiek po stracie: determinację i kruchość w jednym.

Podszedłem, przywitałem się. Zamieniliśmy kilka zdań zwyczajnych, takich cmentarnych – o zimnie, o tym, że wiatr znów poprzestawiał znicze, że czas szybko biegnie. A potem ona spojrzała na mnie prosto i zapytała bez ozdobników, jak się pyta o sprawy najważniejsze:

„Proszę księdza, a czy zmarli... czy ten mój mąż widzi mnie, jak ja tu do niego przychodzę? Czy słyszy, jak do niego mówię? Czy odczuwa te moje modlitwy, które za niego zanoszę?”

To pytanie ma w sobie całą teologię i całe serce naraz. I ma jeszcze coś: wstydliwą obawę, że może miłość po śmierci trafia na ścianę.

A ona nie trafia na ścianę. Ona trafia... wyżej.

Najpierw pewność, nie domysły: modlitwa za zmarłych ma sens

Powiedziałem Pani to, co Kościół mówi najpewniej i najprościej: modlitwa za zmarłych nie jest tylko wspomnieniem. Jest realną pomocą.

Czasem ludziom się wydaje, że modlitwa przy grobie to „gest dla żywych”, żeby łatwiej znieść tę pustkę. Owszem – ona pomaga i żywym, bo leczy serce. Ale w wierze Kościoła jest coś więcej: to jest czyn miłości wobec tych, którzy odeszli.

Dlatego Kościół od wieków modli się za zmarłych. Nie dlatego, że lubi rytuały, tylko dlatego, że wierzy w więź mocniejszą niż śmierć. I dlatego tak mocno stawia na Eucharystię, bo tam miłość nie jest symbolem – jest wydarzeniem.



„Czy on mnie widzi i słyszy?” Kościół nie robi z nieba monitoringu, ale daje nadzieję większą niż „podśluch”

Tu trzeba uczciwie powiedzieć: Kościół nie ogłasza dogmatu w stylu: „zmarli widzą każdą wizytę na cmentarzu i słyszą każde słowo jak przez mikrofon”. Po śmierci nie żyjemy już w tych samych warunkach czasu i zmysłów. To, co my nazywamy „widzeniem i słyszeniem”, może działać inaczej – albo w ogóle nie w tych kategoriach.

Ale Kościół mówi coś, co jest ważniejsze niż techniczna odpowiedź: istnieje komunია świętych – realna więź w Chrystusie między żywymi i zmarłymi.

To oznacza, że nasza relacja nie jest „rozmową z powietrzem”. Jest raczej jak list, który trafia do właściwych rąk – tylko że adresatem ostatecznym jest Bóg. A Bóg nie jest skrzynką pocztową. On jest Ojcem. I On potrafi połączyć to, co dla nas jest już rozdzielone.

Mówiąc prościej: Twoje słowa i Twoja modlitwa nie muszą być „usłyszane po ludzku”, żeby były przyjęte po Bożemu.

.....

***Eucharystia, tam miłość nie jest symbolem –
jest wydarzeniem***

.....

**Najważniejszy „kontakt”: przez Boga, w Bogu,
do Boga – bo oni żyją w Bogu**

W pewnym momencie rozmowy zobaczyłem, że ta Pani nie szuka sensacji. Ona szuka sensu. Więc powiedziałem jej coś, co brzmi prosto, ale jest fundamentem nadziei:

Jeśli mąż jest w Bogu, to twoja troska o niego jest spotkaniem z Bogiem. Nie „obok Boga”, nie „mimo Boga”, tylko w Nim.

Nasza więź ze zmarłymi w wierze nie polega na tym, że próbujemy „przebić się” do nich jak przez mur. Ona polega na tym, że wznosimy ich ku Bogu – i jednocześnie pozwalamy, by Bóg unosił nas. To dlatego modlitwa nie jest próbą „nawiązania połączenia”, tylko zawierzeniem.

Czy On mnie widzi? Opowieść o cmentarzu, modlitwie i nadziei

I to jest piękne: chrześcijaństwo nie mówi „urwij kontakt, bo to niemożliwe”. Mówi: przenieś kontakt na wyższy poziom – do Boga, który jest Życiem.

Dlaczego Msza Święta jest miejscem spotkania żywych i umarłych

A potem dochodzimy do tego, co w chrześcijaństwie jest najmocniejsze, a bywa niedopowiedziane: Msza Święta jest miejscem, gdzie spotykają się żywi i umarli.

.....

*Nasza więź ze zmarłymi w wierze nie
polega na tym, że próbujemy „przebić się”
do nich jak przez mur*

.....

Nie symbolicznie. Nie „wspomnieniowo”. Tylko naprawdę – na miarę wiary.

Bo w Eucharystii dzieje się coś, czego nie potrafi zrobić żaden cmentarz, nawet najpiękniejszy: Bóg składa Ofiarę. Chrystus umiera i zmartwychwstaje. I w tej Ofierze jest miejsce dla każdego: dla żywych, którzy niosą swoje zmęczenie i miłość, i dla zmarłych, których powierzamy Miłosierdziu.

To jest jak wielkie zgromadzenie rodziny, tylko że gospodarzem jest Bóg. A On nie wyprasza nikogo ze stołu.

Dlatego Msza za zmarłych nie jest „formą pamięci”. Jest najgłębszą formą komunii: tam nasza miłość zostaje włączona w miłość Chrystusa – tę miłość, która przeszła przez śmierć i jej nie oddała ostatniego słowa.

Nadzieja na koniec: twoja troska nie jest daremna

Na odchodnym ta Pani jeszcze raz spojrzała na grób męża. I w jej oczach było coś, co wraca po każdej dobrej rozmowie: odrobina ulgi, że nie jest w tej miłości sama.

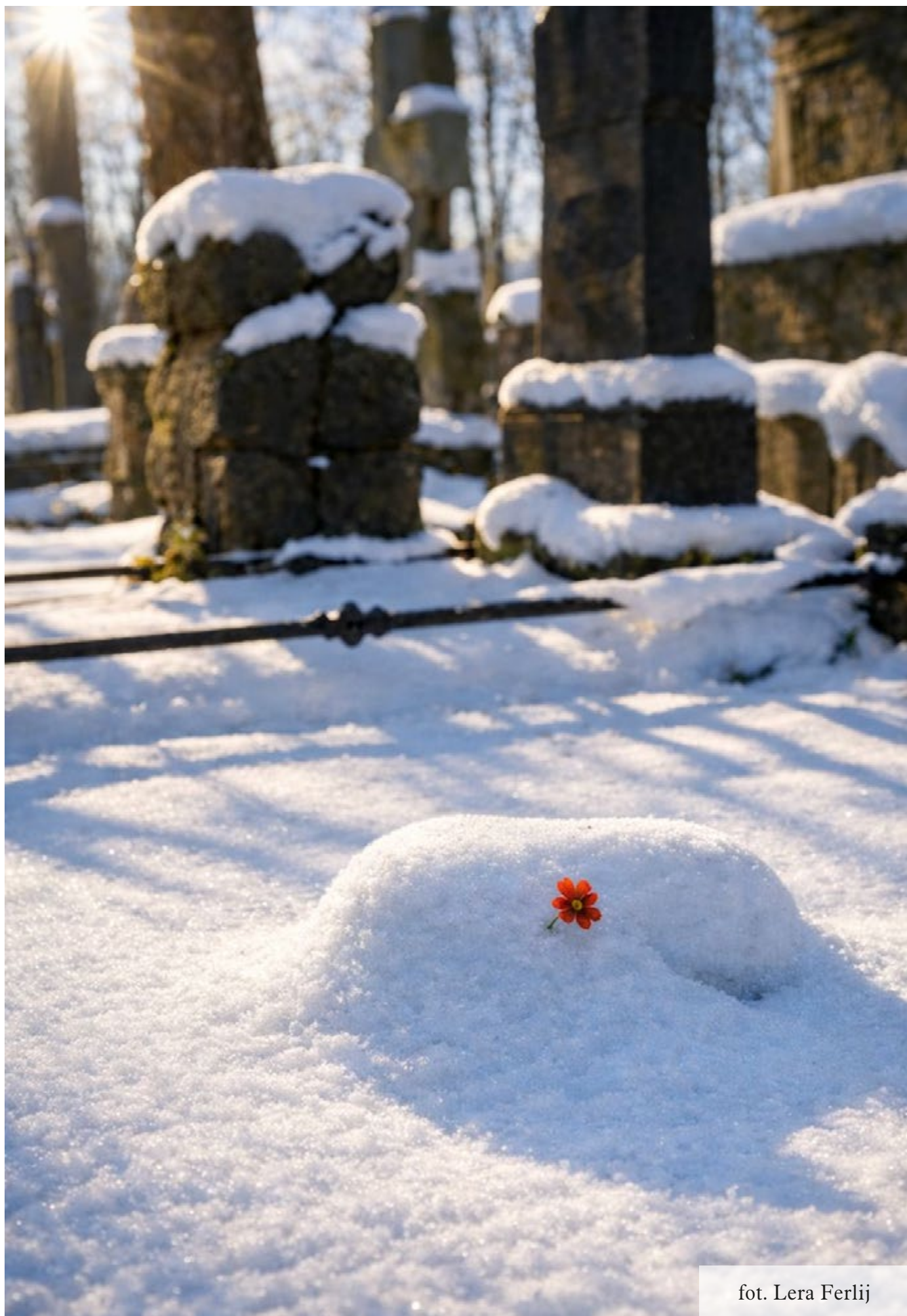
Bo to jest najważniejsze zdanie, które chciałbym zostawić czytelnikowi. Twoja troska o zmarłych ma sens. Jest wyrazem miłości. A miłość, która przechodzi przez Boga, nie ginie po drodze.

Możesz więc przychodzić. Możesz mówić „dziękuję”. Możesz szeptać „przepraszam”. Możesz odmawiać różaniec, „Wieczny odpoczynek”, możesz ofiarować Mszę Świętą. I nawet jeśli nie potrafimy opisać, jak dokładnie wygląda „widzenie i słyszenie” po tamtej stronie, jedno pozostaje pewne. Bóg słyszy.

A skoro oni żyją w Bogu, to twoja modlitwa jest najbardziej realnym spotkaniem, jakie dziś potrafimy nazwać.

I jeszcze jedno – trochę przewrotne, ale prawdziwe: na cmentarzu człowiek czasem szuka odpowiedzi „czy on mnie widzi?”. A wiara odpowiada: „ważniejsze jest, że Bóg widzi was oboje – i trzyma was w jednej dłoni”.





fot. Lera Ferlij

Brama, której nie ma

Opowiadanie

ks. Jacek Laskowski



Mur był jeszcze świeży od odbudowy.
Czerwona cegła trzymała chłód.
Na niej czarny granitowy krzyż.
I napis prosty, aż przykry:
„Tu była trzecia brama zniszczona przez wojska
sowieckie”.

Chłopak szedł kawałek przed dziadkiem. Miał
może dziesięć lat. Czapkę zsuniętą na tył głowy
i ten rodzaj ciekawości, który nie pyta z grzecz-
ności, tylko dlatego, że nie daje człowiekowi
spokoju.

Staął.
Przeczytał jeszcze raz.
Potarł rękawem kamień, jakby chciał sprawdzić,
czy litery są prawdziwe.

– Dziadku... – powiedział. – A co się z nią stało?
Stary poprawił szalik. Nie odpowiedział od razu.
Spojrzał na mur, potem na alejkę, potem gdzieś
dalej, jakby za cegłą stało jeszcze tamto lato.
Przygryzł dolną wargę.

– Zniknęła – mruknął.

– No widzę. Ale jak?

– Jak to na wojnie. Głupio. Strasznie. I nie do końca
przez przypadek.

Chłopak podszedł bliżej.

– To opowiedz.

Dziadek oparł dłoń o mur. Cegła była zimna.
Po drugiej stronie kołysały się drzewa nad
grobami.

Ktoś dalej stawiał znicze.

Ktoś szurał butami po żwirze.

– To było wtedy, kiedy Warszawa już umierała
i jeszcze nie chciała umrzeć – zaczął. – Niemcy
od jednej strony. Sowietów od drugiej. A pośrodku
ludzie. Jak okruszek szkła między dwoma butami.

Chłopak nic nie powiedział.

Tylko patrzył.

– Mieli bombardować niemieckie cele. Dworzec
Gdański. Tory. Rejon Cytadeli. To było blisko
stąd. Bardzo blisko. Tam szły transporty, tam
Niemcy mieli ruch, żelazo, ogień, wszystko,
co na wojnie jest ważniejsze od człowieka. I sam
plan nie był z księżycy. Tyle że między planem
a bombą siedzi jeszcze człowiek. A czasem sie-
dzi strach. A czasem wódka. A czasem rozkaz tak
twardy, że człowiek mięknie.

Ruszyli powoli wzdłuż muru.

Dziadek mówił, jakby odgarniał popiół.

Na polowym lotnisku za Wisłą noc leżała nisko.
Mokro było.

Błoto ciągnęło się do kostek.

Mechanik szedł z latarką zasłoniętą dłonią.
Światło było żółte, chore. Przy skrzydłach stały
bombowce z czerwonymi gwiazdami. Ciemne,
ciężkie, z brzuchem pełnym żelaza. Niby ma-
szyny. A wyglądały jak zwierzęta, które wiedzą,
po co je obudzono.

Porucznik Aleksiej Gromow siedział na skrzyn-
ce po amunicji i palił papierosa do samego filtra.
Nie lubił latać nad Warszawę. Niby cel był znany.
Niby miasto leżało prawie pod ręką. Ale właśnie
dlatego było złe. Blisko frontu. Blisko niemiec-
kiej artylerii przeciwlotniczej. Blisko ognia, któ-
ry strzelał z ziemi prosto w brzuch samolotu.

Obok niego na beczce siedział drugi pilot, Misza
Bielajew. Chudy, z twarzą tak ostrą, jakby ktoś
ją wyciął z blachy. Pił z menażki. Nie herbatę.

– Daj – powiedział Aleksiej.

Misza podał bez słowa.

Wódka była ciepła.

Pachniała jak lekarstwo i kara.

– Znowu nad miasto? – spytał Misza.

– Znowu.

– Dworzec?

– Dworzec. Tory. Cytadela. Tak mówią.

– Tak mówią – powtórzył Misza i splunął w błoto.

Milczeli chwilę.

W oddali ktoś zakaszłał.

Ktoś inny śmiał się za głośno.

Tak się śmieją ci, którzy się boją.

Do samolotów szedł major Siergiej Fiedotow.
Długi płaszcz miał rozpięty, jakby i mróz, i woj-
na były dla niego sprawą papierkową. Szli za nim
oficer nawigacji i politruk. Politruk był mały,
tłustawy, z twarzą czerwoną jak po gorącej zupie.
Nikt go nie lubił. Każdy go słuchał.

– Towarzysze lotnicy! – rzucił major, nie pod-
nosząc głosu. – Cel: rejon Dworca Gdańskiego
i węzeł kolejowy. Uderzenie szybkie. Bez krą-
żenia. Bez bohaterstwa. Wchodźcie, zrzućcie,
wracacie.

– Wysokość? – spytał ktoś z tyłu.

– Taka, żeby was nie zdjęli.



Kilku parsknęło krótko.

Nie z rozbawienia.

Z nerwu.

Politruk poprawił rękawiczki.

– Pamiętać – powiedział. – Tam są Niemcy. Nie sentymenty. Kto zacznie filozofować nad tym, co widać w dole, ten może potem filozofować w batalionie karnym.

Aleksiej odwrócił głowę.

Miał ochotę powiedzieć coś głupiego.

Nie powiedział.

Major rozwinął mapę na skrzydle.

Latarka chodziła po papierze.

– Tu rzeka. Tu Cytadela. Tu stacja. Tu tory. Nie ma czasu na poprawki. Nie ma czasu na drugie podejście. Niemieckie działa nie śpią. Wchodzić, zrzucać, odchodzić na wschód. Jasne?

– Jasne – odburknęli.

– I jeszcze jedno – dodał major. – Stalin nie pyta, czy wam było wygodnie. Stalin pyta, czy rozkaz wykonano.

To zdanie zawisło nad nimi jak drut.

Każdy znał ten ton.

Każdy wiedział, że w tamtej armii człowiek był tańszy od śruby.

Misza nachylił się do Aleksieja.

– Wiesz, czego ja chcę?

– Czego.

– Żeby mnie nie trafili. Żeby wrócić. Żeby zasnąć raz bez silnika w głowie.

– I żeby ci dali urlop do domu?

– Nie żartuj.

Ale jednak przez chwilę obaj pomyśleli o domu.

O kuchni.

O kobiecie stawiającej miskę na stole.

O dziecku śpiącym z otwartą ręką.

Wojna jest podła także dlatego, że nawet kat marzy czasem o ciepłej zupie.

– Oni byli źli? – spytał wnuczek.

Dziadek wzruszył ramieniem.

– Byli różni. Jak ludzie. Jeden tępy. Drugi przestraszony. Trzeci posłuszny. Czwarty może nawet miał sumienie. Ale bomba nie pyta, jaki charakter ma ręka, która ją puściła.

Minęli grób z przekrzywionym lampionem.

Na mokrej płycie leżały dwa klonowe liście.

Dziadek mówił dalej.

– Nie wszyscy, którzy nosili czerwoną gwiazdę, byli potworami z natury. Wielu było złamanych wcześniej niż inni zginęli od ich bomb. W tym właśnie cały dramat. Bezwzględny rozkaz wpada w ręce człowieka, który sam już dawno przestał być wolny.

Silniki ruszyły jeden po drugim.

Najpierw kaszel.

Potem ryk.

Powietrze zrobiło się tłuste od spalin.

Mechanik kręcił ręką.

Ktoś pokazał kciuk.

Koła chlustały błotem.

Aleksiej siedział już w kabinie. Dłonie miał suche, aż za suche. To było złe. Zawsze przed lotem robiły mu się suche. Nawinał raz, drugi pasek od rękawicy na nadgarstek. Obok nawigator Ilja Czernow pochylał się nad mapą.

– Jak myślisz? – spytał Ilja przez zęby. – Trafimy?

– Jak będą rakiety oświetlające, to może.

– A jak dym?

– To trafimy w dym.

Ilja chrząknął.

– Wiesz, co mówił mój ojciec?

– Co.

– Że na wojnie najbardziej giną ci, których nie było w rozkazie.

Samolot ruszył.

Drżał cały.

Blacha jęczała.

Potem ziemia puściła.

W dole zgasło lotnisko.

Została tylko noc i kilka ciemniejszych plam.
Lecieli ku miastu.
Warszawa z góry nie wyglądała jak miasto.
Bardziej jak dogasające palenisko.
Tu coś się żarzyło.
Tu coś dymiło.
Tu ktoś jeszcze strzelał.
Nawigator podniósł głowę.
– Wisła.
Aleksiej zobaczył ją jak czarny pas.
Potem zarys mostów.
Potem płataninę ulic.
Potem ogień.
Potem błyski artylerii.
– Rejon celu za chwilę – powiedział Ilja. – Szybko, szybko.
W słuchawkach trzaskały głosy.
Niektóre spokojne.
Niektóre za szybkie.
– Widzę stanowiska...
– Ogień z ziemi, prawa strona...
– Nie schodź niżej, durniu...
– Zrzucaj i wracaj...
Misza leciał kilkaset metrów obok. W jego maszynie bombardier Sasza Kriukow miał spoczną twarz i palce czarne od smaru. Patrzył w dół przez celownik i niewiele widział. Dym. Ogień. Zabudowę. Mur. Tory. Jakiś kościół. Cień bramy. Wszystko blisko siebie, jakby miasto specjalnie poprzestawiało rzeczy, żeby człowiekowi pomyliły się w ostatniej chwili.
– Rejon stacji? – krzyknął Misza.
– Chyba!
– Chyba?
– A co ja mam ci powiedzieć? Tu wszystko się pali!
Niemiecka artyleria zaczęła strzelać.
Czarne wybuchy otwierały się w powietrzu.
Samolot szarpnęło.
– Zrzucaj! – wrzasnął Misza.
– Jeszcze nie!
– Zrzucaj, do cholery!
To jest właśnie moment, w którym historia przestaje być na mapie.
Wchodzi w miłośń.
W gardło.
W odruch.



Bombardier nacisnął.
Z brzucha samolotu poleciały bomby.
Nie pytały już o nic.
Na Powązkach ludzie kryli się, gdzie mogli.
W murach.
Przy grobach.
W zagłębieniach.
W katakumbach.
Cmentarz bywał schronieniem, bo gdzie indziej miało się schować miasto, które paliło się od środka?
Była tam tamtej nocy kobieta z dwojgiem dzieci. Nazywała się Antonina Kulesza. Miała włosy przykryte chustką i ręce tak spękane, jakby nawet skóra nie miała już siły. Siedziała pod murem od strony Okopowej. Chłopiec spał jej na kolanach. Dziewczynka ssła guzik od płaszcza.
Obok kucał grabarz Wawrzyniec, ten sam, co jeszcze przed wojną prostował przewrócone krzyże po wichurach. Teraz patrzył w niebo i kłął półgłosem.
– Znowu lecą – powiedział.
– Niemcy? – spytała kobieta.
– Skąd ja mam wiedzieć. Z góry wszystko jedno, czyja bomba. Na dole każda jest po polsku.
Nad cmentarzem przeszło wycie.
Najpierw dalekie.
Potem nagłe.
Potem już w człowieku.
Ktoś krzyknął:
– Do środka! Do katakumb!
Ludzie ruszyli.
Jedni biegli.
Drudzy padali.



Trzeci nie wiedzieli, w którą stronę.
Jakiś ksiądz ciągnął starszą kobietę pod rękę.
Jakiś chłopak niósł klatkę z kanarkiem, jakby to jeszcze miało znaczenie.
Miało. Na wojnie byle co staje się całym światem.
Pierwsza bomba wałnęła dalej, od strony torów.
Ziemia się uniosła i opadła.
Druga przyszła bliżej.
Posypała się cegła.
Ktoś wrzasnął tak, że aż ucichł zaraz potem.
Antonina przycisnęła dzieci do siebie.
– Nie patrzcie, nie patrzcie – szeptała.
Ale człowiek patrzy.
Zawsze patrzy.
Nad murem przemknęło światło pożaru.
Potem huk.
Potem kolejny.
Trzecia brama stała jeszcze chwilę.
Ciemna w nocy.
Ciężka.
Przyzwyczajona do ludzi wchodzących z kwiatami, z płaczem, z modlitwą, z ciszą.
Aż nagle dostała ciosem nie od ludzi, tylko z nieba.
Nie rozsypała się od razu ładnie, jak na obrazku.
Pękła.
Szarpnęło nią.
Poszła cegła.
Poszedł pył.
Żelazo jęknęło.
Potem wszystko znikło w tumanie wapna i dymu.
Jakby ktoś wymazał wejście.
Brama nie miała nawet kiedy się pożegnać.
W tej samej serii nalotów ucierpiała część

cmentarza od strony Okopowej, katakumby i fragmenty zabudowań kościelnych; sowieckie naloty na Warszawę wielokrotnie miały trafiać w niemieckie cele wojskowe i komunikacyjne, ale w praktyce bomby często spadały również na obszary cywilne. Rejon Dworca Gdańskiego i Cytadeli był w 1944 roku celem ataków, a relacje historyczne podkreślają niską precyzję części nalotów.

Wawrzyniec dostał odłamkiem w ramię.

Nie od razu zrozumiał.

Spojrzał tylko, że rękaw mokry.

Nie od deszczu.

Antonina biegła z dziećmi między nagrobkami. Potykała się o krawężniki grobów, o wiadra, o cudze nogi. Dziewczynka płakała bez głosu. Tak czasem płaczą dzieci naprawdę przerażone. Chłopiec obrócił głowę i zobaczył mur.

– Mamo... brama...

Nie dokończył.

Bo jej już nie było.

W powietrzu też nie było odwagi.

Był tylko pośpiech.

– Zrzut wykonany! – meldował ktoś w słuchawkach.

– Wracaj! Wracaj!

– Dostałem po lewej!

– Ciągnij na wschód!

Aleksiej jeszcze patrzył w dół.

Widział pożary.

Widział, że coś poszło nie tam.

Nie wiedział, co dokładnie.

Ale wiedział.

– Ilja...

– Co.

– To nie był tylko dworzec.

Nawigator nie odpowiedział.

Po chwili powiedział cicho:

– Chcesz żyć, to leć.

Samolot wszedł w chmurę dymu.

Kabina śmierdziała spalenizną.

Aleksiej przełknął ślinę.

Pomyślał o matce.

Pomyślał o tym, że jak wróci, znowu będą pić.

Pomyślał też, że może kiedyś ktoś stanie przy jakimś murze i będzie czytał kamień po tych bombach.

Tego już nie dopił.
Na lotnisku przyjęli ich bez słów.
Mechanicy podeszli.
Ktoś liczył maszyny.
Zawsze się liczy maszyny.
Ludzi trochę mniej.
Major Fiedotow stał z rękami założonymi na plecach.
– Wykonane?
– Wykonane – odpowiedział Aleksiej.
Major skinął głową.
Jak urzędnik przy pieczęcie.
– Straty?
– Jedna maszyna nie wróciła.
– A cel?
– Rejon zbombardowany.
Major popatrzył chwilę.
Nie mrugnął nawet.
– Dobrze.
To „dobrze” było gorsze od krzyku.
Misza po wyjściu z kabiny zwymiotował pod koło.
Otarł usta rękawem.
Politruck to zobaczył.
– Słaby jesteś?
– Nie.
– To czemu rzygasz?
– Od zapachu paliwa.
Politruck uśmiechnął się cienko.
– Lepiej od paliwa niż od sumienia. Sumienie w lotnictwie przeszkadza.
Misza nic nie odpowiedział.
Patrzył tylko w błoto.
W błocie odbijała się gwiazda z kadłuba.
Tego wieczoru znowu pili.
Nie za zwycięstwo.
Przeciw pamięci.
Jeden opowiadał o żonie.
Drugi o krowie w rodzinnym kołchozie.
Trzeci śpiewał ochryple.
Aleksiej siedział z kubkiem w ręku i nic nie mówił. Tylko kciuk chodził mu po rancie menażki.
– Co ci? – spytał Misza.
– Nic.
– Nic?
– Widziałem mur.
– Jaki mur.
– Cmentarny chyba.

– Wojna.
– Wojna – powtórzył Aleksiej. – Wszystko wojna. I wypił.

– To oni wiedzieli? – spytał wnuczek.
– Część wiedziała. Część się domyślała. Część nie chciała wiedzieć. To też jest ludzka sztuka. Bardzo stara. Nie wiedzieć na własne życzenie.
Stanęli znowu przy czarnym krzyżu na murze.
Ludzie mijali ich powoli.
Ktoś niósł chryzantemy.
Ktoś rozmawiał przez telefon, ciszej niż na ulicy.
– I tej bramy już nie odbudowali? – spytał chłopak.
– Nie. Numer został. Bramy nie ma.
Chłopak długo patrzył na napis.
Potem spojrzał na dziadka.
– To znaczy, że tu też była wojna?
Stary uśmiechnął się smutno.
Tak, jak się człowiek uśmiecha, kiedy pytanie jest dziecinne tylko z pozoru.
– Nie „też”. Tu była bardzo. Tu nawet umarli nie mieli spokoju.
Przez chwilę stali bez słowa.
Wiatr przeleciał po murze.
Zadrżał płomień znicza.
Gdzieś trzasnęła gałązka.
– Dziadku?
– No.
– A ta brama... ona przegrała?
Stary popatrzył na cegłę.
Na czarny granit.
Na litery, które wykuł proboszcz Marek, żeby pamięć nie uciekła.
– Nie – powiedział. – Przegrali ci, co myśleli, że po bombie nic nie zostaje.
Chłopak kiwnął głową.
Jeszcze nie wszystko rozumiał.
Ale coś już tak.
Ruszyli dalej aleją.
Za nimi został mur z czerwonej cegły.
Czarny krzyż.
I miejsce po bramie, której nie ma.
A jednak stoi.



fot. Lera Ferlij

Korzenie, które trzymają świat

ks. Jacek Laskowski

Pytanie o przyszłość konserwatyzmu jest w istocie pytaniem o przyszłość człowieka. Bo konserwatyzm – niezależnie od politycznych etykiet, które raz świecą, raz blakną jak szyldy na dworcu – rodzi się z bardzo prostej intuicji: nie wszystko, co nowe, jest automatycznie lepsze, i nie wszystko, co stare, nadaje się tylko do muzeum. Człowiek ma w sobie dziwną mądrość: umie zachwycić się nowym mostem, ale jednak woli, żeby fundamenty domu nie były „w wersji beta”.

Konserwatyzm w swojej najgłębszej postaci jest jak pamięć, która nie daje się wyrzucić do kosza razem z zesłorocznym kalendarzem. Ma przyszłość tak długo, jak długo człowiek potrzebuje zakorzenienia. Każda wspólnota – rodzina, naród, Kościół – żyje dzięki temu, że ma korzenie. Drzewo bez korzeni może wyglądać imponująco przez chwilę: stoi, błyszczy liśćmi, udaje niezależność. Ale przy pierwszym silniejszym wietrze kończy się filozofia, zaczyna fizyka. Korzenie nie są balastem; one są systemem podtrzymywania życia. I dlatego konserwatyzm bywa jak stary dąb: nie dlatego przetrwał, że bał się wiosny, tylko dlatego, że miał gdzie trzymać się ziemi, kiedy przychodziła burza.



A burze dziś przychodzą często. Żyjemy w świecie przyspieszenia: technologie, trendy, opinie zmieniają się szybciej niż pogoda w marcu – rano słońce, w południe grad, wieczorem ktoś w internecie ogłasza, że jednak „to już nieaktualne”. W takim tempie wielu ludzi zaczyna odczuwać zmęczenie, jakby ich dusza miała włączony tryb „ciągłe aktualizacje”. I wtedy pojawia się tęsknota: za czymś stałym, trwałym, przewidywalnym. Nie z nostalgii za przeszłością jak z pocztówki w sepii, lecz z prostej potrzeby stabilności. Jeśli przyszłość będzie chaotyczna, konserwatyzm będzie potrzebny bardziej, nie mniej – jak latarnia w porcie: im większa mgła, tym bardziej docenia się światło, które nie zmienia zdania co kwadrans.

Druga intuicja konserwatyzmu to odpowiedzialność. W swojej najlepszej formie nie jest lękiem przed zmianą, lecz ostrożnością wobec zmiany nieprzemyślanej. To pytanie, które brzmi mało efektownie, a jest bardzo mądre: „co stracimy, jeśli to zburzymy?”. W czasach, gdy wiele rzeczy wymienia się szybciej niż baterie w pilocie, konserwatyzm przypomina, że nie wszystko da się „odtworzyć z backupu”. Są rzeczy, których kopii zapasowej nie ma: zaufanie w rodzinie, kultura rozmowy, pamięć miejsc, sens słów, które budowały wspólnotę.

Prawdziwy konserwatyzm nie polega na zamrażaniu świata w XIX wieku, tak jak zdrowy rozsądek nie polega na mieszkaniu wiecznie w przedszkolu. Polega na tym, by zmieniać to, co trzeba – nie niszcząc tego, co nas buduje. Jest jak praca konserwatora zabytków: nie bierze wiadra farby i nie maluje wszystkiego na biało, żeby wyglądało „nowocześnie”, bo wtedy można by równie dobrze bielić katedrę wałkiem od sufitu w kuchni. Konserwator czyści, wzmacnia, uzupełnia pęknięcia, szanuje materię i historię. Nie robi rewolucji dla efektu, tylko podejmuje trud dla trwałości. I tu jest próg przyszłości konserwatyzmu: jeśli będzie potrafił być mądry, a nie jedynie reaktywny – przetrwa. Jeśli stanie się jedynie sprzeciwem wobec wszystkiego, umrze na własnym „nie”, jak człowiek, który odmawia każdej potrawy, a potem dziwi się, że jest głodny.



Jest jeszcze trzecia przestrzeń: konserwatyzm jako odpowiedź na lęk. Współczesność produkuje ogromną ilość niepewności: kryzysy demograficzne, kulturowe, technologiczne, moralne. Człowiek stoi czasem jak na ruchomych schodach, które jadą w dół, a dookoła wszyscy mówią: „spokojnie, to postęp”. Ludzie więc szukają punktów odniesienia: czegoś, co nie jest hasłem, tylko oparciem. I konserwatyzm ma przyszłość o tyle, o ile nie będzie jedynie ideologią, lecz stanie się propozycją sensu. Jeśli będzie umiał powiedzieć nie tylko „czego broni”, ale „po co broni” – wtedy stanie się atrakcyjny. Bo ostatecznie człowiek nie żyje z hasła. Żyje z nadziei.

Paradoks jest prosty: im bardziej świat będzie płynny, tym bardziej wzrośnie zapotrzebowanie na stałość. Ale stałość nie jest betonem wylanym na życie, tylko mądrością, która wie, gdzie trzeba postawić filar, a gdzie zostawić okno. Każda idea – także konserwatyzm – może się skompromitować, jeśli zapomni o człowieku. Jeśli stanie

się wyłącznie strachem, przegra. Jeśli zamieni się w moralną pałkę albo w klub wzajemnej adoracji dla „tych, co wiedzą lepiej”, straci wiarygodność szybciej niż moda na wczorajszy trend.

Konserwatyzm ma przyszłość wtedy, gdy łączy pamięć z odpowiedzialnością i nie zamyka się na dialog. Gdy potrafi być jak most: stoi na solidnych filarach, ale prowadzi do przodu. Gdy szanuje korzenie, ale nie myli korzeni z kajdanami. Gdy wie, że tradycja nie jest popiołem, który przecho- wuje się w urnie, tylko ogniem, który przekazuje się dalej – tak, by nie spalić domu, lecz ogrzać tych, którzy w nim mieszkają.

A może najważniejsze pytanie brzmi nie: „czy konserwatyzm ma przyszłość?”, lecz: „czy przyszłość może istnieć bez pamięci?”. Bo jeśli wyrwiemy korzenie, może jeszcze przez chwilę będziemy stać prosto. Tylko że wtedy wystarczy jeden wiatr – i dyskusję zakończy nie argument, ale upadek.

.....

***Jeśli przyszłość będzie chaotyczna, konserwatyzm będzie potrzebny bardziej,
nie mniej – jak latarnia w porcie***

.....

Cytaty – Tomasz à Kempis
O naśladowaniu Chrystusa

*Nie buduj swego pokoju na wypowiedziach innych ludzi,
bo czy dobry, czy zły sąd o tobie wydadzą,
nie staniesz się przez to innym człowiekiem*

SYBIR.

Tam, gdzie mróz nie zgasił pamięci

Halina Bieniakońska-Żak

To opowieść o rodzinie wyrwanej z domu na Wileńszczyźnie i zesłanej w głąb sowieckiej Syberii, gdzie mróz, głód i łagier miały złamać człowieka. Nie złamały jednak pamięci, wiary, języka polskiego i matczynej miłości, która ocaliła dzieciom życie oraz tożsamość.



31 sierpnia 1950 roku około północy NKWD wtargnęło do naszego domu, otaczając go żołnierzami i psami. Oficer sowiecki przedstawił rodzicom nakaz deportacji. Wedle władzy sowieckiej byliśmy osobami niebezpiecznymi, działającymi przeciwko ZSRR, jako że byliśmy Polakami, którzy pomagali polskim „bandytom” z AK w latach 1944–45. Dostarczaliśmy żywność, lekarstwa i informacje o ruchach wojsk sowieckich i litewskich, współpracujących z Rosjanami.

Obydwoje nasi Rodzice nie przyjęli dowodu Litewskiej SRR. Bracia mamy, Aleksy i Aleksander, działali w Armii Krajowej. Młodszy z nich, Aleksander, został złapany i wywieziony do obozu karnego na Kaukazie w Kutaisi. I tam zamordowany. Rodzice nie puścili 7-letniego syna do szkoły rosyjskiej. Nasza mama zorganizowała, wraz z innymi rodzinami polskimi, prywatne nauczanie dzieci, opłacając polską nauczycielkę, p. Irenę Malewską. Mama miała duży księgozbiór polski, który również wypożyczała dzieciom i dorosłym.



Cała ta sytuacja przyczyniła się do wciągnięcia naszej rodziny, wraz z Babcią ze strony Mamy, na listę NKWD. Dano nam jedną godzinę na spakowanie rzeczy, załadowano na ciężarówkę, wywieziono do Ponar k. Wilna i załadowano w bydłące wagony po 6–7 rodzin w każdym. W wagonach nie było podstawowych urządzeń sanitarnych – wycięta dziura w podłodze wagonu służyła jako toaleta. Podróż w tych nieludzkich warunkach trwała miesiąc. Na dużych stacjach prowadzono pod bronią Rodziców po wodę. Wiele ludzi, szczególnie małe dzieci i starszankowie, nie wytrzymały tych warunków i umierali – ich ciała były wyrzucane z wagonów na tory kolejowe. 1 października 1950 r. dotarliśmy do Chabarowska nad Amurem. Tam zrobiono jeszcze raz selekcję rodzin. Naszą rodzinę, wraz z czterema innymi jako najbardziej niebezpiecznych wywieziono 250 kilometrów w kierunku Władywostoku. Umieszczono nas w dziesiątym wychowawczo-poprawczym obozie pracy nad rzeką Chor, dopływem Ussuri. Łagier ten, otoczony elektrycznymi drutami, podzielony był na dwie części. W jednej byli umieszczeni zesłańcy polityczni – my, w drugiej – rosyjscy niebezpieczni przestępcy, skazani przeważnie na dożywocie. W barakach były półki do spania (nary) i pośrodku jeden piec grzewczy. W baraku umieszczono około 10 rodzin. Następnego dnia zagoniono dorosłych do pracy w tajdze, przy ręcznym wyrębie drzew cedrowych. Praca trwała po 10 godzin

dziennie. W tym czasie – październik – temperatura wynosiła około -20°C , zimą temperatury dochodziły do -40°C . Dorośli otrzymywali dziennie po 400 albo 450 gramów czarnego chleba, a dzieci po 250 gramów, i po jednej menażce zupy-lury. Podczas morderczej pracy rodziców na mrozie w barakach małymi dziećmi zajmowali się starszaki i dzieci starsze. Przychodziła też nauczycielka, która uczyła nas języka rosyjskiego. Chłopcy po ukończeniu 12. roku życia musieli iść do pracy w tajdze – w innym przypadku nie otrzymywaliby talonów na chleb. Podczas krótkich przerw w pracy rodzice zbierali latem w tajdze dziki czosnek, dziką cebulę, żurawinę, jagody czerwone, a nawet małe ślimaki, aby móc ugotować dodatkowo zupę i zapobiec skorbutowi.

Byliśmy w tym obozie prawie przez trzy lata. Po śmierci Stalina – w lutym 1953 – roku nieco zelżało. Dzięki staraniom naszej Mamy i jej biegłej znajomości języka rosyjskiego, przeniesiono nasze cztery rodziny Polaków do większej osady, w której były siedmioklasowa szkoła, poczta i sklep. Tam chodziłam aż do VI klasy szkoły podstawowej, a brat mój Rajmund, po ukończeniu 12 lat musiał pracować w tajdze. Był to obóz półwolnościowy – rodzice musieli meldować się u komendanta obozu raz w tygodniu. Mama została zatrudniona w szwalni, a Tata na stacji paliw. W tym obozie życie było już łatwiejsze – można było nałapać ryb, posadzić ziemniaki w wydartej tajdze ziemi oraz mieć kozę (!).

Rodzice ciągle pisali do najwyższych władz sowieckich o zwolnienie nas z łagru oraz wyjazd



do Polski. W połowie 1955 roku zostało zawarte porozumienie między rządami Polski i ZSRR, dotyczące powrotu Polaków do Polski. Wyjechaliśmy z tej „niehumanitarnej ziemi” na początku 1956 r., bez naszego Taty, który zmarł 16 lutego 1955 r. Wróciliśmy do Polski z jednym drewnianym kuferkiem na punkt repatriacyjny w Sanoku. W Warszawie mieszkał rodzony brat Mamy – Aleksy, który zabrał nas do siebie.

Największe osiągnięcie naszej Mamy: utrzymanie nas przy życiu, dopilnowanie, abyśmy z bratem mówili po polsku. Mama nauczyła nas czytać po polsku z książeczki do nabożeństwa oraz z „Pierwszej czytanki” – którą każdego dnia musieliśmy czytać w tajemnicy przed rosyjskim otoczeniem, przez pół godziny. Te dwie książeczki i ręczną maszynę do szycia przemyciła w worku z sucharami podczas wyjazdu na zesłanie. Dbła o nasze wykształcenie w Polsce: brat ukończył studia politechniczne, a ja Wyższą Szkołę Pedagogiki Specjalnej oraz Wydział Profilaktyki i Resocjalizacji na Uniwersytecie Warszawskim. Nasza najukochańsza i najdzielniejsza wśród Matek Sybiraczek zmarła w 2002 r., przeżywszy 94 lata.

Szacuje się, że w latach 1940–1956 wywieziono z dawnych ziem polskich około miliona trzystu tysięcy Polaków, a powróciło nas tylko około 180 tys.



Wspomnienia Sybiraczki Haliny Bieniakoskiej-Żak, o zesłaniu na Syberię w 1950 roku z Ziemi Wileńskiej, okolicy Michnokie, koło Ejszyszek

Ostatnio przeczytane

ks. Jacek Laskowski



Są książki, które nie tylko opowiadają historię, ale przywracają pamięć. Nie pozwalają przejść obojętnie obok ludzkiego losu. Zatrzymują nas na chwilę i przypominają, że za wielką historią zawsze stoją konkretni ludzie: matki, dzieci, ojcowie, sąsiedzi, przyjaciele, ci, którzy cierpieli, i ci, którzy po latach próbują zrozumieć własną przeszłość.

Do takich książek należy powieść Anny Rybakiewicz „Przez trudy do gwiazd”. Autorka prowadzi nas najpierw do roku 1940. Szesnastoletnia Anastazja Zielińska zostaje nocą wywleczona z rodzinnego domu i wraz z matką oraz rodzeństwem zesłana w głąb Syberii. W jednym momencie kończy się dzieciństwo. Dom, który dawał poczucie bezpieczeństwa, zostaje brutalnie odebrany. Zaczyna się droga przez zimno, głód, lęk i niepewność.

W tym samym bydlęcym wagonie znajduje się Leon Białowas – syn ludzi, którzy donieśli na rodzinę Zielińskich. Ten szczegół sprawia, że historia od początku niesie w sobie dramat nie tylko wojenny, ale także głęboko ludzki. Bo największe rany często nie przychodzą z daleka. Czasem mają twarz kogoś z sąsiedztwa.

Na kazachskich stepach Anastazja zaczyna prowadzić zeszyt. Zapisuje w nim codzienność zesłańców, ich zmagania, cierpienie, tęsknotę za domem, ale także rodzące się uczucia. I właśnie w tym jest niezwykła siła tej opowieści. Nawet tam, gdzie człowiekowi próbowano odebrać wszystko, pozostawało serce. A serce, choć poranione, potrafiło jeszcze kochać.

Druga część powieści przenosi nas do roku 1990. Anastazja doznaje rozległego udaru i traci pamięć. Z całego życia zostają jej jedynie obrazy dzieciństwa. Po powrocie ze szpitala nie ma przy niej nikogo bliskiego. Pomocną dłoń wyciąga do niej Leon – starszy sąsiad, człowiek z przeszłości. To on każdego dnia czyta jej pożółkłe zapiski z Syberii.

Ten obraz jest niezwykle poruszający. Człowiek, który przez lata nosił w sobie cień dawnych wydarzeń, staje się strażnikiem pamięci. Czytając Anastazji jej własne słowa, przywraca jej nie tylko wspomnienia, ale także część utraconego życia.

„Przez trudy do gwiazd” to powieść o Syberii, ale nie tylko. To książka o pamięci, która bywa bolesna, lecz jest potrzebna. O przebaczeniu, które nie jest łatwym gestem, ale długą drogą serca. O miłości, która potrafi narodzić się nawet tam, gdzie po ludzku powinien pozostać tylko żal.

Tytułowe słowa nabierają tutaj głębokiego znaczenia. Anastazja i Leon przechodzą przez cierpienie, winę, samotność i milczenie. A jednak ta droga nie prowadzi ich wyłącznie w ciemność. Prowadzi także ku światłu. Bo są takie historie, które pokazują, że nawet pośród największego bólu człowiek może ocalić w sobie dobro.

Warto sięgnąć po tę książkę. Nie tylko po to, by poznać losy bohaterów. Także po to, by przypomnieć sobie, że pamięć jest obowiązkiem, przebaczenie jest łaską, a nadzieja – nawet jeśli przychodzi późno – nigdy nie przychodzi za późno.

Ojciec Benoit – człowiek posłany z radością

ks. Jacek Laskowski

W sobotę, 24 maja, w naszej parafii gościliśmy o. Benoita Azametiego, misjonarza komboniani na pochodzącego z Togo, który obecnie posługuje w Polsce. Jego obecność była dla nas pięknym znakiem powszechności Kościoła i przypomnieniem, że Ewangelia przekracza granice krajów, języków i kultur.

W Uroczystość Zesłania Ducha Świętego o. Benoit skierował do nas Słowo Boże. Mówił o tym, jak bardzo potrzebujemy Ducha Świętego w naszym codziennym życiu. Nie tylko w chwilach wielkich decyzji, ale także w zwyczajności: w rodzinie, w pracy, w parafii, w relacjach z innymi ludźmi. Duch Święty umacnia nas, daje światło, odwagę i pokój. Pomaga otworzyć serce na Boga i na drugiego człowieka.

Ojciec Benoit przypominał również, że Duch Święty nie zamyka człowieka w sobie, ale posyła go dalej. Tak jak Apostołów, którzy po Zesłaniu Ducha Świętego wyszli z Wieczernika i zaczęli głosić Chrystusa. Wiara nie jest skarbem, który mamy zatrzymać tylko dla siebie. Jest światłem, którym trzeba się dzielić.

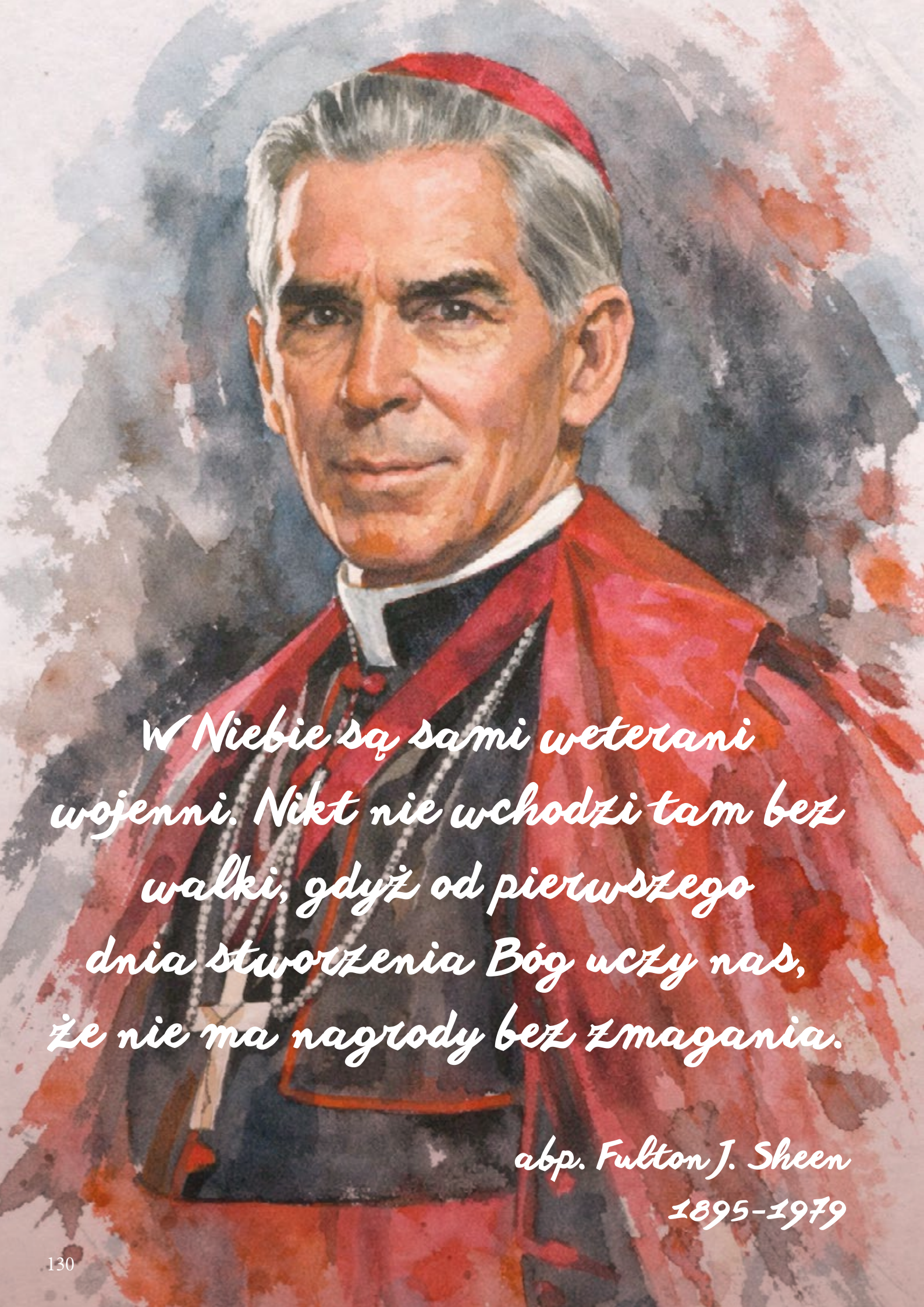
Ważnym tematem jego słowa były także misje. O. Benoit przypominał, że wciąż są ludzie, którzy nie znają Chrystusa i czekają na Dobrą Nowinę. Ale misje nie zaczynają się dopiero daleko, na innym kontynencie. One zaczynają się tutaj: w naszym domu, sąsiedztwie, parafii, w codziennych spotkaniach. Czasem misją jest dobre słowo. Czasem cierpliwość. Czasem uśmiech. Czasem prosta obecność przy kimś, kto przeżywa trudny czas.

Spotkanie z o. Benoitem było doświadczeniem człowieka ciepłego, dobrego i pełnego Boga. Jego radość, otwartość i prostota przypomniały nam, że Ewangelia naprawdę jest Dobrą Nowiną. Nie ciężarem, ale nadzieją. Nie teorią, ale życiem.

Nie tylko słowem wypowiedzianym z ambony, ale świadectwem, które widać w twarzy, geście i sposobie bycia.

Dziękujemy o. Benoitowi za obecność w naszej parafii, za skierowane do nas Słowo Boże, za świadectwo wiary i misyjne przypomnienie, że każdy z nas jest posłany. Duch Święty przychodzi nie po to, abyśmy tylko trwali, ale abyśmy szli dalej – do ludzi, z Bogiem, z miłością i z Ewangelią.



A watercolor-style portrait of Cardinal Fulton J. Sheen. He is an older man with grey hair, wearing a red zucchetto and a red cardinal's cassock over a black clerical shirt with a white collar. He is looking slightly to the left with a serious expression. The background is a soft, abstract wash of blue, grey, and red tones.

*W Niebie są sami weterani
wojenni. Nikt nie wchodzi tam bez
walki, gdyż od pierwszego
dnia stworzenia Bóg uczy nas,
że nie ma nagrody bez zmagania.*

*abp. Fulton J. Sheen
1895-1979*

Zszywali Polskę torami

dr Franciszek Adam Wielądek, pierwszy Minister Transportu III RP

Na Starych Powązkach są miejsca, przy których człowiek nagle rozumie, że państwo buduje się nie tylko wielkimi przemówieniami, ale także cichą, wytrwałą pracą. Kwatera „85” należy właśnie do takich miejsc. Spoczywają tam ludzie, którzy pomagali połączyć odrodzoną Polskę torami, stacjami i ruchem pociągów. A przecież po 1918 roku trzeba było nie tylko odzyskać kraj – trzeba go było jeszcze nauczyć jechać razem.



Po pierwszej wojnie światowej Polska była jak dom złożony z trzech różnych części. Inne prawa, inne urzędy, inne przyzwyczajenia, inne tory. Państwo wróciło na mapę, ale samo istnienie na mapie nie wystarczało. Trzeba było sprawić, by człowiek z jednego końca kraju mógł dojechać



na drugi, by towary mogły płynąć, by miasta zaczęły ze sobą rozmawiać nie tylko listem, ale codziennym ruchem.

Właśnie wtedy kolej stała się czymś więcej niż środkiem transportu. Stała się kręgosłupem państwa. Stalową modlitwą o jedność. Rytmem odradzającej się Polski.

W Europie wielu patrzyło na ten wysiłek z niedowierzaniem. Wątpiono, czy Polska przetrwa. Wątpiono też, czy polska kolej, rozbita po zaborach i wyniszczona wojną, zdoła się podnieść. A jednak podniosła się. I zrobiła to szybciej, niż przewidywali sceptycy. Już w 1923 roku działały połączenia między głównymi miastami, ruszyły relacje międzynarodowe, a kolej zaczęła zaspokajać podstawowe potrzeby państwa i gospodarki.

Za tym sukcesem nie stała abstrakcja. Stali za nim konkretni ludzie. Inżynierowie. Organizatorzy. Państwowcy. Ludzie, którzy umieli patrzeć dalej niż do końca własnej kadencji. W kwaterze „85” Starych Powązek spoczywają trzej z nich.

Kazimierz Tyszka Człowiek od trudnych czasów

Kazimierz Tyszka był inżynierem, który znał kolej nie z urzędowego papieru, lecz z życia. Ukończył Instytut Technologiczny w Petersburgu, pracował na liniach kolejowych w Europie i Azji, przeżył rewolucję, więzienie u bolszewików, powrót do Polski. Gdy w 1923 roku objął

Zszywali Polskę torami

stanowisko ministra kolei żelaznych, nie zastał eleganckiego gabinetu z gotowymi rozwiązaniami. Zastał kryzys.

Kolej była zadłużona, a sytuacja finansowa państwa dramatyczna. Trzeba było ciąć, porządkować, podejmować decyzje niepopularne, ale konieczne. Tyszka nie był od efektownych gestów. Był od pracy. Od porządkowania chaosu. Od przywracania sprawności organizmowi, który bez kolei nie mógł oddychać.



A jednak nawet w tych trudnych czasach nie zatrzymano rozwoju. Oddawano nowe odcinki linii. Polska nie tylko ratowała kolej – Polska przez kolej uczyła się znowu ufać własnym możliwościom.

W jego życiorysie jest coś bardzo polskiego: fachowość, doświadczenie, odpowiedzialność, a potem wojna i emigracja. Zmarł w Londynie, lecz po latach wrócił do ojczyzny. Jakby historia sama chciała dopisać ostatni, domknięty rozdział.

Alfons Kühn

Człowiek, który myślał szerzej

Alfons Kühn był inżynierem z wyobraźnią. Nie należał do ludzi, którzy widzą tylko szynę pod nogami. On widział całe państwo w ruchu. Studiował w Darmstadt, pracował w Warszawie, angażował się w rozwój miejskiej infrastruktury, a po odzyskaniu niepodległości kierował Tramwajami Miejskimi.

Kiedy został ministrem komunikacji, prowadził nie tylko sprawy kolejowe. Myślał o Polsce nowoczesnej. O Polsce, która nie wstydzi się marzyć odważnie. Za jego czasów rozwijano magistralę węglową, rozpoczęto ważne inwestycje kolejowe, budowano Warszawę Główną. Ale jest w jego pracy także pewien rys szczególny – przekonanie, że transport to nie tylko przewóz, lecz także styl życia, ambicja, oddech epoki.



To z jego czasów pochodzi intrygujący pociąg „Narty – Dancing – Brydź”. Sama nazwa brzmi dziś jak uśmiech międzywojnia, ale pokazuje coś ważnego: kolej nie była tylko techniką. Była także znakiem nowoczesności, elegancji, otwarcia na świat.

I jeszcze jedno: to za jego urzędowania powstały Polskie Linie Lotnicze LOT. To piękny paradoks historii, że minister kolei potrafił myśleć również o niebie. Widocznie prawdziwy człowiek komunikacji nie broni jednego środka transportu jak twierdzy. Prawdziwy człowiek komunikacji chce, żeby kraj po prostu był połączony.

Michał Butkiewicz

Człowiek, który budował mimo przeciwności

Michał Butkiewicz obejmował urząd w czasie ciężkim. Wielki kryzys gospodarczy nie sprzyjał wielkim planom. Budżet był napięty, infrastruktura wciąż niedostateczna, a potrzeb nie brakowało. To właśnie w takich chwilach najlepiej widać, kto naprawdę umie służyć.

Butkiewicz nie miał luksusu działania w łatwych warunkach. A jednak właśnie wtedy oddawano ważne linie kolejowe i kończono wielkie inwestycje, z których najważniejszą była Magistrala Węglowa Herby Nowe – Gdynia. To była jedna z tych budów, przy których słyszeć było nie tylko stukot narzędzi, ale i bicie serca państwa.

Rozumiał też, że nowoczesna Polska nie może opierać się wyłącznie na jednym rodzaju transportu. Dlatego za jego czasów zaczęto intensywniej rozwijać także sieć dróg. Myślał praktycznie. Nie ideologicznie. Nie dla pokłasku. Dla przyszłości.

W jego życiorysie zostaje pewna cisza. Dalsze losy z czasu wojny i po wojnie są słabo udokumentowane. Ale czasem właśnie to milczenie mówi wiele. Nie wszyscy budowniczowie państwa doczekali się pełnej pamięci. Tym bardziej warto ich dziś wydobywać z cienia.

Stare Powązki uczą, że historia nie należy wyłącznie do wodzów i polityków. Należy także do tych, którzy budowali mosty, kładli tory, planowali połączenia i czuwali, by kraj mógł żyć. Kwatera ministrów kolei jest więc czymś więcej niż miejscem pamięci. Jest opowieścią o służbie publicznej, która miała twarz kompetencji, wyobraźni i odwagi.

A człowiek odchodzi stamtąd z myślą prostą, ale ważną: dobrze jest być tym, kto łączy. Dobrze jest wykonywać pracę, dzięki której inni mogą ruszyć w drogę. I może właśnie dlatego zawód kolejarza ma w sobie coś z cichego bohaterstwa – bez fanfar, ale z ogromnym znaczeniem.





Babka Tower

Dobry adres, jeszcze lepsze sąsiedztwo

s. Julietta Homa, OP, dominikanka

Warszawskie Rondo „Radosława” to jedno z najbardziej ruchliwych miejsc w mieście. Codziennie mijają się tam tysiące samochodów, słysząc tramwaje, a wokół wyrastają szklane biurowce, w których czas bardzo często mierzy się tempem pracy i kolejnymi osiągnięciami.

A jednak, w samym środku tego zgiełku, na trzecim piętrze Babka Tower, odkrywamy coś zupełnie innego. Od dwudziestu pięciu lat mieszkamy tam jako Siostry dominikanki i uczymy się, razem z tym miejscem, że klasztor to nie tyle mury, ile obecność. Nawet jeśli za ścianą działa kancelaria prawna albo biuro pełne ludzi w biegu.

To miejsce jest jak skrót warszawskiego życia: dużo się dzieje, wszystko toczy się szybko, między spotkaniami, kawą na wynos i kolejnymi sprawami „na już”. A jednocześnie pod tym samym dachem istnieje przestrzeń, w której rytm jest trochę inny.

Na trzecim piętrze po prostu jesteśmy. Bez dystansu i bez wielkich słów. Staramy się być blisko, tak zwyczajnie, po ludzku. I może właśnie dzięki temu ten wieżowiec, choć tak nowoczesny i pełen ruchu, staje się dla wielu po prostu domem.

Misja: być obok

Nasza obecność tutaj tak naprawdę wyrasta z jednego bardzo prostego marzenia. Matka Kolumba Białecka chciała, żebyśmy były blisko ludzi, nie za furtą klasztorną, nie gdzieś obok, tylko dokładnie tam, gdzie toczy się życie.

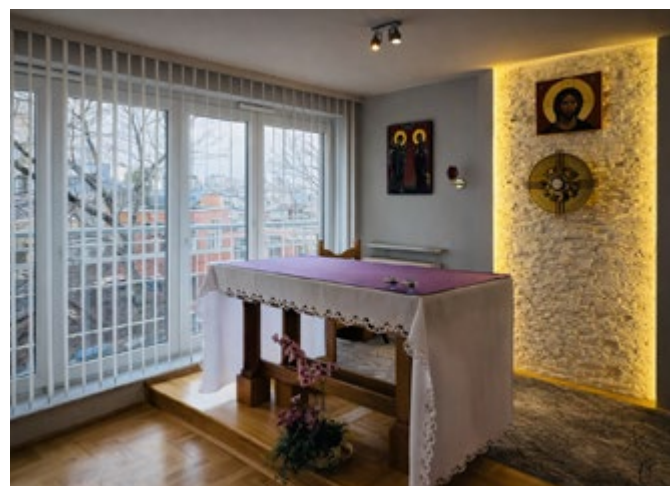
I kiedy patrzymy dziś na Babka Tower, symbol nowoczesnej Warszawy, widzimy, że to był wybór odważny, ale zaskakująco trafny. Bo umówmy się: klasztor w miejscu kojarzonym z kancelariami, apartamentami i szybkim tempem pracy? To brzmi trochę jak eksperyment. A jednak ten „eksperyment” trwa już 25 lat i ma się całkiem dobrze.



Bo odpowiedź, którą odkrywamy każdego dnia, jest naprawdę prosta: my tu po prostu jesteśmy.

Bez wielkich szyldów, bez dystansu, bez potrzeby tłumaczenia się z naszej obecności. Bardziej sąsiadki niż „instytucja”. Na korytarzach nie słysząc dzwonów, słysząc raczej zwyczajne: „Szczęść Boże” czy „dzień dobry, jak minął dzień?”. I szczerze mówiąc, mamy wrażenie, że właśnie ta normalność działa najmocniej.

Zresztą to nie jest nic nowego. Już w XIX wieku Matka Kolumba zrobiła coś, co wtedy było dość odważne, zamiast zamykać się za klauzurą, postawiła na bycie pośród ludzi. Tam, gdzie życie nie jest poukładane, gdzie są problemy, praca, zmęczenie i pytania bez szybkich odpowiedzi. I chyba miała rację, że właśnie tam najłatwiej spotkać Boga.



Babka Tower – dobry adres, jeszcze lepsze sąsiedztwo

Bo Babka Tower to nie jest spokojna przystań, to raczej centrum dowodzenia: briefy, deadline'y, szybkie decyzje, tempo, które nie bardzo pyta o zgodę. W tym wszystkim nie próbujemy nikogo zatrzymywać ani naprawiać świata. Staramy się raczej być takim spokojnym punktem odniesienia.

Nie mamy gotowych recept ani „złotych myśli”. Ale możemy dać coś, co w dużym mieście okazuje się naprawdę rzadkie: odrobinę spokoju, który nie ucieka przed hałasem.

I czasem okazuje się, że największym luksusem pod tym adresem wcale nie jest widok z okna. Tylko chwila zwyczajnej, życzliwej obecności drugiego człowieka i świadomość, że Siostra, którą dziś spotkałem w windzie, powiedziała, że będzie pamiętać o moich sprawach w modlitwie.

Teologia „pustej solniczki”

Nasze mieszkanie na trzecim piętrze naprawdę niczym się nie wyróżnia. To nie jest żadna forteca ani „duchowa enklawa”. To zwyczajny dom, taki, w którym czasem przepali się żarówka, coś przestaje działać albo trzeba zejść do administracji z pytaniem o ogrzewanie.

I właśnie w tej zwyczajności, trochę niepozornej, trochę codziennej, zaczyna się coś, co dla nas jest bardzo istotne.

Bo kiedy któraś z nas puka do drzwi obok, żeby pożyczyć trochę soli, nie ma w tym żadnej ukrytej strategii. Po prostu jej zabrakło. A jednak bardzo często to właśnie takie momenty otwierają przestrzeń, której nie da się zaplanować.

Krótką rozmowa, uśmiech, zdanie rzucone mimochodem. I nagle okazuje się, że za tą „solą” kryje się coś więcej, zmęczenie po całym dniu, stres związany z pracą, troska o bliskich.

W świecie, który bardzo mocno stawia na niezależność i samowystarczalność, taka drobna prośba bywa czymś zaskakującym przełamującym

dystans. Pokazuje, że można nie mieć wszystkiego pod kontrolą. Że można zapukać.

I co ciekawe, ludzie na to odpowiadają. Nie tylko podają solniczkę, ale często zostawiają uchylone drzwi. Na chwilę rozmowy. Na bycie wysłuchanym.

Z perspektywy czasu widzimy, że to właśnie te „małe sytuacje” budują najwięcej. Nie wielkie wydarzenia, nie deklaracje, ale wspólnota zwyczajnych spraw. Dzięki nim wiara przestaje być czymś odległym czy abstrakcyjnym. Staje się bliska, bardzo ludzka, obecna dokładnie tam, gdzie ktoś stoi w drzwiach z pytaniem: „Masz może chwilę?”.

I może właśnie dlatego ta nasza codzienność, tak zwyczajna i niepozorna, okazuje się najprawdziwszym miejscem spotkania.

Spotkania między piętrami

Winda w naszym wieżowcu to naprawdę osobny świat. Kilka metrów kwadratowych, a spotyka się tam wszystko: pośpiech, zmęczenie, ważne sprawy „na już” i ludzie, którzy próbują to wszystko unieść. I co ciekawe, to wcale nie jest miejsce niezręcznej ciszy. Nikt nie ucieka wzrokiem w podłogę, gdy spotka siostrę w białym habicie, nikt wtedy nerwowo nie chowa się w telefonie. Wręcz przeciwnie, to właśnie tam najczęściej zaczynają się najbardziej naturalne rozmowy.

Czasem ktoś rzuci półzartem, poprawiając torbę z laptopem: „Siostry to mają dobrze, tam u góry Szef pewnie wszystko słyszy bez kolejki!”.

Na co odpowiadamy: „Słyszysz, słyszysz! I proszę się nie martwić, o Pana projektach też Mu przypominamy”.

I wtedy dzieje się coś bardzo ciekawego. Napięcie znika. Twarz, jeszcze przed chwilą skupiona i zmęczona, łagodnieje. Pojawia się uśmiech. I choć to trwa zaledwie kilkanaście sekund, coś zostaje.



To jest właśnie ten moment, dla którego tu jesteśmy. Nie spektakularny, nie zaplanowany. Krótki błysk w oku, lekka zmiana perspektywy, która zostaje z człowiekiem jeszcze długo po tym, jak drzwi windy się otworzą i każdy wróci do swoich spraw.

Bo to nie jest kazanie. To nie jest nawet rozmowa „o wierze” w klasycznym sensie. To raczej subtelne przypomnienie, że nad tym całym pośpiechem, nad tabelkami w Excelu, terminami „na wczoraj” i kolejnymi spotkaniami, jest jeszcze coś więcej. Jakaś większa, życzliwa obecność, która nie znika, nawet gdy my jesteśmy już na granicy sił.

I paradoksalnie, dla kogoś, kto od dawna nie zaglądał do kościoła, taka krótka wymiana zdań między trzecim piętrem a parterem potrafi znaczyć bardzo dużo. Może nawet więcej niż długie, oficjalne spotkania. Bo to jest doświadczenie, a nie teoria.

Czasem myślimy o tym z uśmiechem, że to takie bardzo delikatne „pukanie” Pana Boga, bez patosu, bez wielkich słów. Raczej w stylu: „Nie martw się tak bardzo. Jestem tu. Właściwie... mieszkamy w tym samym bloku”.

Obecność, która po prostu jest

Często ktoś nas pyta, czasem z ciekawości, czasem z lekkim niedowierzaniem, jak to w ogóle jest możliwe: pogodzić życie zakonne, regułę i wspólną modlitwę z tym, że za ścianą trwa parapetówka, a piętro niżej ktoś właśnie zamyka ważny projekt i telefon nie przestaje dzwonić.

I wtedy same się uśmiechamy, bo odpowiedź jest prostsza, niż mogłoby się wydawać. Sacrum naprawdę nie potrzebuje sterylnych warunków. Nie obraża się na hałas ani na tempo miasta. Jeśli coś, to raczej szuka człowieka dokładnie tam, gdzie on naprawdę żyje.

Dlatego nasza modlitwa nie jest ucieczką od rzeczywistości. Raczej próbą objęcia jej, takiej, jaka jest. Z całym jej ruchem, napięciem, radością i zmęczeniem.

Kiedy rano modlimy się w kaplicy, nie myślimy abstrakcyjnie. Przed oczami mamy konkretne osoby. Tego pana, który zawsze wygląda na trochę zatroskanego. Sąsiadkę, która codziennie rano wychodzi z psem. Młodych ludzi z biura marketingu, którzy żyją w rytmie kampanii i deadline'ów.

Babka Tower – dobry adres, jeszcze lepsze sąsiedztwo

Ale ta modlitwa idzie też dalej, tam, gdzie już nie widać z zewnątrz. Obejmuje rodziny z dziećmi, których śmiech słychać czasem na korytarzu. I obejmuje także te mieszkania, za których drzwiami zapadła cisza, trudna, bo po stracie kogoś bliskiego.

Czasem same mówimy między sobą, trochę półgłosem: „Wystarczy przejść korytarzem”. I naprawdę coś w tym jest. Bo ludzie wcale nie oczekują od nas wielkich słów ani wykładów o wierze. Szukają raczej czegoś znacznie prostszego, potwierdzenia, że pokój serca jest możliwy. Nawet tutaj. W samym środku miasta, w biegu, w napięciu, między jednym a drugim spotkaniem.

I właśnie takie chcemy być. Nie idealne, bo dobrze znamy własne ograniczenia i słabsze dni. Ale obecne. Życzliwe. Uważne. Tak, żeby ktoś, kto nas mija na korytarzu, choćby przez chwilę pomyślał: „To jednak jest możliwe. Można żyć inaczej. Można żyć z nadzieją”.

Sąsiedztwo, które niesie pokój

Kiedy patrzymy na te minione dwadzieścia pięć lat, mamy w sobie coraz większe przekonanie, że intuicja Matki Kolumby Białeckiej była po prostu bardzo trafna. To, co kiedyś mogło wydawać się nietypowe, dziś widzimy jako coś głęboko potrzebnego. Nasza obecność tutaj nie jest żadnym anachronizmem ani ciekawostką. To raczej odpowiedź na bardzo konkretne pragnienie, takie, które w człowieku nie zmienia się mimo zmieniającego się świata.

Bo im więcej wokół nas rzeczy „na już”, tym wyraźniej widać, jak bardzo potrzebujemy tego, co „zawsze”. Czegoś stałego. Kogoś, kto jest.

I choć nie mamy dzwonnicy, czasem mamy wrażenie – mówimy to oczywiście z uśmiechem, że nasza obecność i tak niesie się po tym budynku całkiem daleko. Może nie w sposób słyszalny, ale odczuwalny. Trochę jak ciche przypomnienie, że życie to nie tylko lista zadań do odhaczenia.

Myślimy czasem o tych wszystkich ludziach, którzy mijają rondo, stoją na światłach, biegną na spotkania, wracają zmęczeni do domu. I bardzo chcemy, żeby – nawet jeśli nigdy o tym nie pomyślą wprost – wiedzieli, że nie są sami. Że ktoś o nich pamięta.

Po dwudziestu pięciu latach Babka Tower przestała być dla nas adresem. Stała się miejscem relacji. Wspólnotą, która nie potrzebuje wielkich deklaracji, żeby istnieć.

I może najważniejsze jest to, czego same się tutaj uczymy każdego dnia: że modlitwa nie zawsze zaczyna się od słów. Czasem zaczyna się od obecności. Od bycia obok.

A jeśli w tym wszystkim jest trochę pokoju, trochę nadziei i trochę zwyczajnego dobra – to znaczy, że to, co robimy, naprawdę ma sens.





Siostra Sebastiana

16 lat na Starych Powązkach



Droga Siostrzo Sebastiano,

*dziękujemy za szesnaście lat obecności,
modlitwy i cichej, wiernej służby
na Starych Powązkach.*

*Była Siostra dobrą duszą tego miejsca.
Swoją życzliwością, spokojem i dobrocią zjednała
Siostra serca wielu ludzi. Umiiała Siostra
prowadzić ich nie do siebie, ale dalej – do Jezusa.*

*Dziękujemy za każde dobre słowo, za uśmiech,
za troskę i za świadectwo wiary.
Prosimy, aby Siostra pamiętała, że na Starych
Powązkach zawsze będzie dla Siostry miejsce.
I w tym miejscu, i w naszych sercach.*

Powrót po latach milczenia

Pożegnaliśmy ofiarę zbrodni katyńskiej

opracował ks. Jacek Laskowski

Na Starych Powązkach, które są Duszą Warszawy, są takie chwile, kiedy cisza mówi więcej niż przemówienia. Tak było w poniedziałek, 13 kwietnia, w kościele św. Karola Boromeusza, gdzie odbyły się uroczystości pogrzebowe szczątków Ofiary Zbrodni Katyńskiej. Była modlitwa. Była pamięć. Była prawda, która po latach wróciła do domu.

Mszy Świętej w intencji wszystkich pomordowanych przewodniczył metropolita warszawski abp Adrian Galbas, SAC. Uroczystość miała charakter państwowy i zgromadziła przedstawicieli Instytutu Pamięci Narodowej, władz publicznych oraz tych wszystkich, dla których Katyń nie jest tylko datą z podręcznika, ale raną wpisaną w historię Polski.

Godną i spokojną oprawę ceremonii zapewnił Zakład Pogrzebowy Pruszyńscy. W takich chwilach szczególnie widać, że posługa wobec zmarłych nie kończy się na organizacji uroczystości. Jest także cichą służbą pamięci, szacunku i ludzkiej godności. Bo człowieka trzeba odprowadzić godnie nie tylko wtedy, gdy żegna go rodzina, ale także wtedy, gdy po wielu latach żegna go Ojczyzna.

Po Eucharystii ogłoszono przemówienia okolicznościowe, a następnie szczątki Ofiary Zbrodni Katyńskiej spoczęły w Panteonie Poległych i Pomordowanych na Wschodzie przy kościele św. Karola Boromeusza. To miejsce szczególne, założone przez śp. ks. Stefana Niedzielaka, a od 28 lat otaczane troską, rozwijane i strzeżone przez ks. prałata Marka Gałęziewskiego. Właśnie tam pamięć zyskuje formę modlitwy, a historia przestaje być tylko opowieścią o przeszłości i staje się zobowiązaniem dla żyjących.

Był to więc nie tylko pogrzeb. Był to akt sprawiedliwości. Po latach przemilczeń, kłamstw i prób wymazania ofiar z historii Polska pochyliła się nad swoimi synami z modlitwą, wdzięcznością i honorem.





Trzy myśli z homilii abp. Adriana Galbasa

Homilia metropolity warszawskiego abp. Adriana Galbasa była czymś więcej niż tylko słowem wygłoszonym podczas pogrzebu. Stała się próbą odczytania tej uroczystości w świetle wiary, historii i odpowiedzialności za przyszłość.

Z jednej strony prowadziła ku tajemnicy zmartwychwstania, z drugiej przypominała o obowiązku pamięci, a z trzeciej stawiała bardzo konkretne pytanie o pokój. Można ją streścić w trzech zasadniczych myślach.

Zmartwychwstanie jest konkretną nadzieją

Abp Adrian Galbas przypomniał, że jednym z najważniejszych owoców Zmartwychwstania Chrystusa jest wiara w przyszłe zmartwychwstanie człowieka. Nie jest to abstrakcyjna idea ani religijna metafora, ale konkretna nadzieja, która nadaje sens ludzkiemu życiu i śmierci. To właśnie dlatego Kościół z tak wielkim szacunkiem odnosi się do ciała człowieka także po śmierci. Ciało nie jest tylko śladem po życiu ani resztką historii, ale świątynią Ducha Świętego i uczestnikiem obietnicy życia wiecznego. W perspektywie katyńskiej tragedii ta prawda wybrzmiewa szczególnie mocno: oprawcy mogli odebrać życie, mogli próbować odebrać grób i pamięć, ale nie mogli odebrać człowiekowi jego ostatecznego przeznaczenia w Bogu.

Pamięć jest potrzebna żyjącym

Druga myśl dotyczyła pamięci. Arcybiskup podkreślił, że pamięć o zmarłych niczego już im nie dodaje, ale jest konieczna nam, żyjącym. Człowiek bez pamięci nie wie, kim jest, skąd przychodzi i dokąd zmierza. Dlatego pamięć o Katyniu nie może być traktowana jedynie jako obowiązek historyczny czy rocznicowy gest. Jest także moralnym i duchowym zobowiązaniem narodu. Przez dziesięciolecia próbowano nie tylko ukryć samą zbrodnię, ale również wymazać ją ze świadomości Polaków, jakby można było zakopać prawdę razem z ofiarami. Dzisiejszy godny pochówek staje się więc nie tylko aktem sprawiedliwości



Powrót po latach milczenia

wobec pomordowanych, ale także ważną lekcją dla współczesnych: naród, który pamięta, jest trudniejszy do oszukania, a człowiek zakorzeniony w historii łatwiej odnajduje sens własnej drogi.

.....

*Człowiek bez pamięci nie wie, kim jest ani
skąd przychodzi. Nie znając przeszłości,
nie może wybrać przyszłości, która
byłaby kontynuacją dziejów. Nie będąc
zakorzenionym w historii, staje się podatny
na każdy powiew mody, jak garść pyłu
rwana wiatrem*

abp Adrian Galbas

.....

Pokój zaczyna się w sercu człowieka

W trzeciej części homilii abp Galbas nawiązał do współczesnych wojen i niepokojów, zwłaszcza do wojny w Ukrainie i konfliktów, które rozdzielają dzisiejszy świat. Wezwał do modlitwy o pokój, ale równocześnie przypomniiał, że pokój nie rodzi się najpierw w politycznych deklaracjach, traktatach czy międzynarodowych rozmowach. Zaczyna się znacznie bliżej – w sercu człowieka. Człowiek pojednany z Bogiem, z samym sobą i z drugim człowiekiem staje się człowiekiem pokoju. To właśnie tacy ludzie mają moc przemieniania świata wokół siebie. Homilia była więc nie tylko wspomnieniem ofiar dawnej zbrodni, ale także apelem o odpowiedzialność za teraźniejszość, aby przyszłe pokolenia nie musiały przeżywać podobnych tragedii i po latach wydobywać z ziemi kolejnych świadectw ludzkiego okrucieństwa.



MASZ OPOWIEŚĆ DAJ JEJ GŁOS

Dołącz do autorów i redaktorów DeNews

Pisz. Redaguj. Fotografuj. Twórz.



Każdy człowiek jest opowieścią.

I każdy człowiek ma opowieść do powiedzenia.

ZAPRASZAMY DO DENEWS

Przelej na papier swoją historię, zainteresowania, świadectwo albo pracę naukową. Szukamy osób, które chcą pisać, redagować i wspólnie tworzyć kolejne numery magazynu.

Nie musisz być zawodowym dziennikarzem. Ważne, że masz coś istotnego do powiedzenia i chcesz nad tym pracować razem z redakcją.

TEMATY, KTÓRE SĄ NAM BLISKIE

- Stare Powązki
- psychologia
- sprawy społeczne
- kino
- nowe technologie
- filozofia
- renowacje
- duchowość
- literatura
- nauka
- teatr
- historia
- biografie
- tematy trudne i łatwe

Malujesz, fotografujesz albo rzeźbisz? Pokaż nam także swoją twórczość. To wszystko jest nam bardzo bliskie.

DOŁĄCZ DO GRONA AUTORÓW I REDAKTORÓW

magazyndenews@gmail.com

Napisz do nas. Zaczniemy od rozmowy.



DeNews 2/26 – autorzy

ks. Jacek Laskowski • Bożenna Ćwikła • s. Monika Tomczak • Tomasz Nasiłowski
 Paulina Piotrowska • ks. Jarosław Kamiński • Bogdan Więckiewicz • Agnieszka Machowska
 mec. Grażyna Kuźma • Beata Bartecka • Marek Laskowski • Joanna Faber • Karol Gądzik
 ks. Piotr Hejna • ks. Łukasz Wawro • Piotr Maślanka • Halina Bieniakońska-Żak
 dr Franciszek Adam Wielądek • s. Julietta Homa, OP



BEZ PŁATNE LEKCJE PAMIĘCI



TAJEMNICE I SKARBY STARYCH POWĄZEK

Wynalazcy, naukowcy, działacze społeczni, sportowcy, żołnierze i literaci – historie tych niezwykłych ludzi mogą poznać uczniowie podczas bezpłatnych lekcji na Starych Powązkach. Na zainteresowanych czeka ponad 50 tematycznych ścieżek edukacyjnych, po których prowadzą wykwalifikowani i doświadczeni przewodnicy. Zapraszamy również grupy zorganizowane na bezpłatne oprowadzanie po Starych Powązkach. Szczegóły na stronie...

www.edukacja.stare-powazki.pl

PARTNERZY
PROJEKTU



FUNDACJA



Fundacja



Bank Pekao
Fundacja



PRZEKAŻ 1,5% PODATKU



**FUNDACJA
STARE POWĄZKI**

**EDUKUJEMY, RATUJEMY ZABYTKI,
PODTRZYMUJEMY PAMIĘĆ**

KRS 0000886931